

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



• **Leki psychiatryczne**
są nadmiarowo przepisywane
i niekiedy niepotrzebnie
przyjmowane • **Jan Klata:**
Co nam dziś mówi Sokrates



**WYSOKIE
OBCASY**
**Monika
Borzym**
Jazz i seks



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Adam Bodnar:

Skala inwigilacji Pegasusem jest szokująca, widziałem listę

FOT. MACIEK JAZWIECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**Spór o Różę
Luksemburg**
Czy można czcić
socjalistkę?



Atom na papierze
Rakiety odziedziczone
przez Ukrainę po ZSRR
były bezużyteczne

**Protesty polskich
rolników**
To prezent dla Rosji
► 3 i 13

Agnieszka
Kublik

Swoi sypią Kaczyńskiego

Zaczęło się. Sypią Kaczyńskiego przed komisjami śledczymi – kopertową i wizową. Wychodzą na jaw brudne interesy i interesiki PiS.

To, jak Kaczyński wyobrażał sobie przeprowadzenie wyborów prezydenckich w pandemii – jako partyjnej imprezy zorganizowanej przez szefa rządu na polecenie szefa partii rządzącej – nie mieści się w głowie.

Edgar Kobos, bliski współpracownik byłego wiceministra spraw zagranicznych Piotra Wawrzyka, na jawnym posiedzeniu komisji wizowej zeznał, że kierownictwo Zjednoczonej Prawicy próbowało tuszować aferę wizową. Na posiedzeniu zamkniętym miał się przyznać się do brania łapówek za wizy dla cudzoziemców z Afryki i Azji i ujawnić, że w MSZ powszechnie wiadano o przepychaniu wniosków wizowych przez Wawrzyka. Ktoś zaplanował sobie niezły interes. Ktoś na to pozwolił. W państwie, w którym o wszystkim decyduje jeden człowiek, bo tak chce, odpowiada za wszystko, choć nie chce. Kaczyński.

Notowania PiS się pogarszają, w sondażach różnych pracowni są regularnie niższe niż PO. Przewaga Tuska waha się od 2 do 7 punktów procentowych.

Rzekomo torturowany w więzieniu Mariusz Kamiński brylował potem w telewizyjnych studiach i miał tyle siły, by się przepychać pod Sejmem. Bajka o umęczonych więźniach politycznych przysła, sami więźniowie ją ośmieszyli.

Komisja śledcza odkrywająca działanie Pegasusa może PiS pogрузić w jeszcze większym chaosie, jeśli okaże się, że Kamiński szpiegował swoich.

**Gdy o wszystkim
w państwie decydował
jeden człowiek, bo tak
chciał, jeden człowiek
odpowie za wszystko,
choć nie chce**

A prezydent Duda to demonstracyjnie bagatelizuje.

CBOS już pokazuje spadek zaufania do Dudy, Morawieckiego i Kaczyńskiego. W rankingu zaufania Dudę zdetronizował Szymon Hołownia. Gabinet Tuska systematycznie poprawia swoje notowania. Wybory samorządowe mogą okazać się kolejną porażką Kaczyńskiego. A potem i europejskie. Wedle sondażu Opinia24 dla More In Common Polska, to KO może zdobyć najwięcej euromandatów. Już teraz w PiS lękają się kolejnych przegranych. Tym bardziej, że ta ostatnia ani zdiagnozowana, ani przepracowana. Przez Kaczyńskiego.

Jacek Kurski, były szef TVP, usiłuje w raporcie dla Kaczyńskiego za październikową porażkę obwinąć TVP za jego następę. To propagandowe narzędzie okazało się mniej użyteczne w rękach Mateusza Matyszkowicza – twierdzą autorzy raportu. Ale przecież to prezes PiS pozbył się Kurskiego. Czyli, to wina...

Kaczyńskiego.

Prof. Andrzej Nowak, bliski przecież prawicy, postawił dramatyczną dla Kaczyńskiego diagnozę, że „nie sprostał tej wielkiej odpowiedzialności, którą sam na siebie przyjął”. Bo dziś profesor widzi „całkowitą bezradność partii opozycyjnej w jej obecnym kształcie”. ●

Andrzej rysuje



Na granicy Droga do szczęścia



Grupa migrantów próbuje dostać się z Meksyku do USA, przekraczając rzekę Rio Grande. Funkcjonariusze amerykańskiej Gwardii Narodowej czuwają. Eagle Pass, Teksas. 28 lutego 2024 r.

FOT. REUTERS/GO NAKAMURA

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Liczba dnia

269

MILIARDÓW TON lodu rocznie traci Grenlandia. M.in. dlatego mamy tak upalne i suche lata w Europie
► Więcej na wyborcza.pl

Filantropka Dobro w Bronksie

Ruth Gottesman, była profesor-ka Albert Einstein College of Medicine i wdowa po inwestorze z Wall Street przekazała uczelni miliard dolarów. Dzięki temu wszyscy obecni i przyszli studenci będą zwolnieni z czesnego.

Albert Einstein College of Medicine mieści się w Bronxie, jednej z najbiedniejszych dzielnic Nowego Jorku. Większość studentów musi brać kredyt. Roczne czesne wynosi 63 tys. dolarów, po czterech latach edukacji absolwenci mają do spłacenia długi przekraczające 200 tys. dolarów. Studenci medycyny z Bronxu to często dzieci pierwszego pokolenia emigrantów i osoby o niskich dochodach. Dług zaciągnięty na studiach spłacają potem przez lata.

Kwota przekazana Albert Einstein College of Medicine jest największą darowizną, jaka kiedykolwiek została przekazana uczelni medycznej. Co więcej, odsetki od podarowanego miliarda mają zapewnić środki, które pozwolą na bezpłatną edukację kolejnym rocznikom studentów.



FOT. GETTY IMAGES

93-letnia Ruth Gottesman jest związana z uczelnią od 55 lat. Kilkakrotnie była wybierana na członkinię rady nadzorczej. Jako pedagożka wprowadziła zajęcia dla studentów, którzy mieli problemy z nauką. Prowadziła także wykłady z medycyny wieku rozwojowego.

Podczas przemówienia w auli uniwersyteckiej Gottesman podziękowała zmarłemu dwa lata temu mężowi Davidowi „Sandyemu” Gottesmanowi, który pozostawił jej środki na przekazanie darowizny. Był finansistą, zbudował dom inwestycyjny First Manhattan na Wall Street i zasiadał w zarządzie Berkshire Hathaway, jednej z największych spółek publicznych. Jego majątek szacuje się na 3 miliardy dol. ●

Anna Woźniak

Wyborcza do słuchania

Joanna Palica: Stworzyłam miejsce dla dzieci, których nikt nie chciał

Jak usamodzielnąć dzieci z niepełnosprawnościami? Dlaczego jest to tak ważne? Co to jest niepełnosprawność sprzężona? Dlaczego matki powinny słuchać swojej intuicji? Dlaczego nie warto się poddawać?

Odpowiada Joanna Palica, prezeska Fundacji Koocham. Zaprasza Agnieszka Jucewicz. Do słuchania na <https://wyborcza.pl/podcast>



Top 3 wybrane z tygodnia
Najciekawsze wydarzenia

Sobota

Rowerem po białym

1 Kolarski wyścig nie ma 130-letniej historii jak inne piękne wyścigi w Lombardii, Walonii, lub Flandrii, bo ledwie 10-letnią, ale zrobił wielką karierę. Kusi stolicem, tokańskim pejzażem, sterrati – drogami z białego żwiru – i metą na Piazza del Campo w Sienie. Strade Bianche otwiera sezon kolarski w Europie. Startuje Michał Kwiatkowski, dwukrotny zwycięzca.



FOT.MATERIAŁY PRASOWE, MARCO BERTORELLO/AFP/EAST NEWS, SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Środa

KRS w Sejmie

2 Podczas najbliższego posiedzenia Sejm ma się zająć pierwszą z reform Bodnara: ustawą zakładającą odpolitycznienie Krajowej Rady Sądownictwa. Od 2018 r. sędziów do KRS wybierał Sejm. Jak orzekaty polskie sądy i międzynarodowe trybunały, tak obsadzona rada nie jest niezależna. Prawo wyboru przedstawicieli zostałoby zwrócone sędziom.



Piątek

Życie rodzinne

3 Nominowana do pięciu Oscarów „Strefa interesów” Jonathana Glazera to obraz życia rodzinnego Rudolfa i Hedwig Hössów w domu z ogrodem tuż przy obozie w Auschwitz, którego on jest komendantem. Codziennosc państwa Hössów jest nieomal idylliczna. Są beneficjentami awansu społecznego, czym rozkoszuje się zwłaszcza Hedwig.



Cytat tygodnia



FOT.REUTERS/SHAMIL ZHUMATOV

W Rosji lubią mówić, że najciemniej jest przed świtem. Myślę, że to prawda: po prostu nie znamy jeszcze prawdziwej ciemności. Wygląda na to, że zaczyna się ściemniać. Słońce zniknęło

GRIGORIJ JUDIN

rosyjski socjolog,

napisał po śmierci Aleksieja Nawalnego

Rząd wiele może zrobić dla rolników

Unio, nie traktuj nas jak idiotów!

Politycy Zjednoczonej Prawicy, rolniczy związkowcy, działacze Konfederacji – wszyscy podgrzewają atmosferę na wsi, próbując zbić kapitał przed wyborami samorządowymi

Naszkowska

Wielki protest w obronie rolniczych interesów powoli zamienia się w polityczną próbę sił. Do rolników przylaczają się górnicy, transportowcy, narodowcy, myśliwi, politycy opozycji, każdy ma tu szansę ugrać coś dla siebie i pokazać, co myśli o rządzie. A to nie wróży szybkiego końca protestów.

Rząd Tuska ma poważny problem. Ten problem nie powstał 15 października 2023 roku, w dniu wyborów, on narastał na wsi co najmniej od dwóch lat. Chodzi o spadek rolniczych dochodów, tak głęboki, że dziś rolnicy sprzedają niektóre swoje płody taniej niż wyniosły koszty ich wyprodukowania. I o narzucony przez Unię wzrost wymagań w ramach Zielonego Ładu, co poza rozbiciem papierologii wprost prowadzi do spadku produkcji i dochodów. W efekcie nastąpił gwałtowny wybuch niepokojów na wsi.

To nie ten rząd odpowiada za kłopoty rolników, ale to on musi teraz tę bombę rozbroić. A ma przeciwko sobie nie tylko rolników, także polityków Zjednoczonej Prawicy, związkowców z rolniczych związków, a także działaczy Konfederacji. Wszyscy teraz podgrzewają atmosferę na wsi, próbując zbić na protestach pewien kapitał polityczny przed wyborami samorządowymi.

Kiedy słucha się rolników, patrzy na ich banery rozpięte na traktorach, to widać, że Ukraina jest dla nich pierwszym winowajcą ich kłopotów. I faktycznie – niekontrolowany import, jaki ruszył po zawieszeniu przez Unię cel w czerwcu 2022, wpłynął w istotny sposób na sytuację rynkową w naszym kraju. Unia chciała pomóc zaatakowanej przez Rosję Ukrainie, ale efekt był taki, że zboże ukraińskie zamiast tylko przejeżdżać przez nasz kraj, zostawało tu i zapcha-

ło magazyny. Po żniwach nasi rolnicy mieli kłopoty ze składowaniem swojego ziarna, a ceny zbytu systematycznie spadały i dziś stanowią około połowy tych z czerwca 2022. Dlatego jednym z dwóch głównych postulatów rolników jest całkowite zamknięcie granicy z Ukrainą. Takie rozwiązanie podpowiada im np. Rober Telus, były minister rolnictwa w rządzie Morawieckiego. Rządzie, który rzucił rolników na głęboką wodę bez koła ratunkowego – otworzył granice dla ukraińskiego zboża, ale nie zrobił niczego, by kontrolować jego tranzyt do portów, nie przygotował portów do tej operacji, a rolnikom szkodził przekonując, że zboże będzie drożało, więc nie warto sprzedawać. A kiedy już wszystko się zawaliło, to wyciągnął z budżetu 15 mld złotych i przekazał na pomoc dla rolników. Taka była recepta rządu Morawieckiego – nic nie robić, a potem dawać dopłaty do wszystkiego. I tak dojechali do wyborów. Chciałoby się powiedzieć dziś Telusowi: milcz Waść, wstydu oszczędź.

Trzeba jasno powiedzieć, że robienie z Ukrainy chłopca do bicia jest najprostszymi i najbardziej nośnym politycznie zabiegiem. Jakoś żaden prawicowy polityk nie widzi winnego w Rosji. A to ona w największym stopniu odpowiada za kryzys zbożowy. Nie tylko dlatego, że wywołała wojnę, co w konsekwencji spowodowało otwarcie granicy dla bezcłowego importu z Ukrainy. Rosja rzucając na rynek światowy swoje zapasy zboża, a jest największym na świecie jego eksporterem i oferując ceny znacznie niższe niż konkurenci, doprowadziła do gwałtownego spadku cen na giełdach światowych. Eksport zboża jest obok ropy ważnym źródłem dochodów tego kraju, niezbędnym dla dalszego prowadzenia wojny. Dlatego Rosja sprzedaje je za każdą cenę i dlatego wszędzie jest tanio, nie tylko w Polsce. Ceny mo-

gą pójść w górę, jeśli w tym roku Rosję dotknie klęska nieurodzaju, ale trudno na to liczyć, zwłaszcza że z roku na rok powiększa ona powierzchnię zasiewów.

I wreszcie Zielony Ład. Jest faktem, że w obecnej formie grozi rolnikom ograniczeniem produkcji i spadkiem dochodów, oraz nakładą dodatkowe obowiązki, które ich zdaniem są absurdalne. Jak napisali na jednym z transparentów: Unio, nie traktuj nas jak idiotów!

Ale Zielony Ład to tylko program, który pokazuje cele do jakich Unia chce dążyć, czyli ochronę klimatu. Dochodzenie do tych celów, to już nasza sprawa. Poprzedni rząd załatwił to byle jak. I wymyślił ekoschematy, nasz polski wynalazek który doprowadza rolników do białej gorączki. Nie rozumieją dlaczego np. muszą obfotografować pole, zanim rozrzuca na nim obornik, a potem ponownie zrobić zdjęcia, z tym obornikiem na polu, jakby nie wystarczyło podać tego w oświadczeniu.

Co w tej sytuacji może zrobić nasz rząd? Dużo, choć nie może podnieść cen skupu, ani zamknąć granicy z Ukrainą, bo tu obowiązują umowy unijne. Ale może starać się wynegocjować z Ukrainą porozumienie dwustronne, które import ze Wschodu do nas mocno ograniczy. Na pewno może udrożnić transport produktów ukraińskich przez nasz kraj – rozbudować infrastrukturę kolejową i porty i to dzięki funduszom unijnym (coś takiego udało się Rumunii). Na tranzyście można zarabiać. Może wywalczyć

■
Chciałoby się powiedzieć dziś Robertowi Telusowi: milcz Waść, wstydu oszczędź.

wykupienie przez Brukselę zapasów zboża leżącego w magazynach i wywiezienie go jako pomoc humanitarną do krajów potrzebujących. Bo nie tylko u nas zboże zalega – w magazynach całej Unii jest tego 30 mln ton. I wreszcie może zawalczyć w Brukseli o zmiany w Zielonym Ładzie, w kierunku jakiego pragną rolnicy – mniej biurokracji, więcej zaufania do zdrowego rozsądku gospodarzy.

Ale może też powinien powiedzieć wprost rolnikom, dlaczego nie wprowadza kaucji wwozowych na transporty żywności z Ukrainy, skoro domagał się tego od rządu Morawieckiego. I co proponuje w zamian. Może powinien powiedzieć, na co ma szansę dogadać się z Komisją Europejską, a czego na pewno nie zdoła wywalczyć. Im więcej takich deklaracji ze strony rządu, im więcej podawania praktycznych rozwiązań, tym łatwiej będzie się z rolnikami porozumieć i zakończyć protesty. I wydaje się, że minister Czesław Siekierski o to walczy. Problem w tym, że rolnicy o tym mało wiedzą. Bo rząd się z nimi źle komunikuje. Owszem, ma przeciwko sobie związkowców, którzy nie są zainteresowani wyciszaniem nastrojów, a wręcz przeciwnie – wyraźnie są dumni, że udało im się ściągnąć do Warszawy tłumy rolników. Traktują to jako osobisty sukces i powód do chwały. Ale to rządu nie usprawiedliwia. Zamiast ciągle podkreślać, jak bardzo się z rolnikami solidaryzuje, ma głośno mówić: co już osiągnął, o co się stara i gdzie mu najtrudniej będzie się dogadać. Mówić tak, by do wszystkich jego przekaz dotarł. I tłumaczyć, że chociaż rolnicy oczekują natychmiastowych rezultatów i spełnienia swoich żądań, to żaden rząd nie jest im w stanie tego zapewnić. Potrzebny jest czas, by z partnerami ze wschodu i z zachodu wynegocjować rozwiązania. ●

Krystyna Naszkowska



• **Monika Bednarczyk-Krzyżowska**
w „Państwie”
Jana Kłaty

FOT. BARTEK BARCZYK

SOKRATES KŁADZIE SIĘ NA TORACH

Już można wyciągnąć z Facebooka gratulacje dla Olgi Tokarczuk, które trzeba było na gwałt usunąć, jak ubiegali się o posady. Czy to jest brudna wspólnota, przestępcy? A skąd. To po prostu ludzie zaradni.

Z **JANEM KLATĄ**, REŻYSEREM SZTUKI „PAŃSTWO/DER STAAT” WEDŁUG PLATONA ROZMAWIA **MICHAŁ OLSZEWSKI**

„Skoro zostałeś spadkobiercą rozmowy, co powiesz na temat sprawiedliwości?”

– Trudna sprawa. Jak większość chyba obywateli zastanawiam się obecnie, który sąd i co powinien, jaki wniosek jest złożony prawidłowo na dzienniku podawczym, kiedy obowiązuje termin krótszy, a kiedy dłuższy i co powinien zrobić sąd rejestrowy, i czym różni się niewinność od ulaskawienia.

Gdybym miał powiedzieć, o czym mówi teatralna szatnia, która wychodzi z twojej ostatniej sztuki, to widzowie oczekiwali ostrego politycznego spektaklu o minionych ośmiu latach. Żebyś wałnął Platonem i jego „Państwem” w Prawo i Sprawiedliwość. Żebyś nie brał jeńców. Żeby wióry leciały.

– I co?

I dostali chyba najbardziej wymagający spektakl, jaki wyreżyserowałeś w ostatnich latach.

– I bardzo dobrze. Miecz Damoklesa od niemal ośmiuset dni wisi nad głową niepokornego Teatru w Krakowie. Sytuacja dyrektora Krzysztofa Głuchowskiego, i zespołu Teatru Słowackiego, jest bardzo wymagająca, więc nie bez kozery kończymy Obroną Sokratesa w wykonaniu nieustraszonej Dominiki Bednarczyk. A poza tym przecież gramy w inteligenckiej stolicy Polski, nieprawdaż? Nie chciałem piętnować nadużyć minionej epoki, tylko zaprosić do z natury niejasnego świata. Dlatego nie ma we mnie obawy, że po kolejnych wyborach czy przewrocie pałacowym ten spektakl przestanie być aktualny. Będzie, tak jak jest aktualny od stu pokoleń. Choć chwilami się migotliwie samoaktualizuje. Kiedy Sokrates ustami Dominiki Bednarczyk opowiada o oskarżonych o znacznie lżejsze przewinienia, którzy w celu wzbudzenia litości zasłaniają się rodziną, to pewne obrazy z ostatnich tygodni niewątpliwie same nasuwają się przed oczy.

Ale przede wszystkim chciałem wrócić do źródeł, a teatr i filozofia na to pozwalają.

Dlatego aktorzy mówią w starogreckim?

– Bo w martwym języku można więcej. Wiem, nie powinniśmy tego robić, bo to przywłaszczenie kulturowe. Polacy udają Greków, i to starożytnych! Z drugiej strony, od lat spotykam się z zarzutami części widzów, którzy pytają, dlaczego Kłata nie zrobi tekstu „po bożemu”, czyli tak, jak został on napisany. Zatem bardzo proszę, nie zmieniałem ani słowa. Starogrecki wytwarza, mam nadzieję, jakiś rodzaj mgły, transu, pasuje do jaskini platońskiej. Wspaniali aktorzy dali się przekonać do szalonego pomysłu, i heroicznie sprostali. Metafizyczna dziwność istnienia.

Po drugie, trudno mi sobie wyobrazić spektakl „Państwo” w języku polskim. To jest przestrzeń nieuchwytna, niejasna, nieoczywista, tak jak niejasne jest Poznanie. Może to są słowa Sokratesa, a może Sokrates nie powiedział ani słowa z tego, co przekazał Platon, bo przecież nic nie zapisał, może to jest konstrukt, który służy Platonowi po to, by włożyć w usta męczennika hymn o mglistości świata. Stąd też pomysł na podmianę osób sokratejskich – najpierw gra go Dominika Bednarczyk, potem Karolina Kazińska, najpierw Sokrates walczy o sprawiedliwość, potem zaczyna mówić językiem cenzora, czyli językiem zarówno Barbary Nowak jak randomowego lewicowego cenzora.

Stawiasz znak równości pomiędzy urzędniczką, która chciała zniszczyć teatr Słowackiego i lewicą?

– Szokujące, prawda? Jak można zestawiać naszą cenzurę z ich cenzurą? Cóż, cenzura ponad podziałami. Idzie o to, żeby społeczeństwo postępowało w sposób, który wydaje się nam jedynie właściwy. Nie możemy narażać młodzieży na zgorznienie wynikające z lektury takich czy innych dzieł sztuki, które uważamy za szkodliwe. Młodzież należy chronić przed poglądami, z którymi się nie zgadzamy, otaczać opieką i nadzorować to, co już zostało napisane, stąd z ducha platoński postulat opieki nad artystami. Odstępstwa dozwolnie piętnujemy. Ta troska nie ma barw klubowych, paradoksalnie łączy bieguny.

W 2019 roku, kiedy rozmawialiśmy o twoich „Trojankach” na podstawie Eurypidesa, opowiadałeś, że polskie rozumienie antyku ma charakter naskórkowy i anegdotyczny. „Państwo” nie jest

granicą, poza którą nie da się już pójść? Kilkoro aktorów, język starogrecki, minimalistyczna scenografia. Jak w starogreckim teatrze.

– „Trojanki” mogły zostać opowiedziane po polsku, „Państwo”, moim zdaniem, nie. W tym sensie to jest rzeczywiście radykalizacja. Nie planowałem podczas pracy nad „Trojankami”, że zajmę się Platonem. Mogę się mylić, ale głęboko wierzę, że warto zajmować się tekstami, które są mądrzejsze od nas. Pomysł na Platona w teatrze przyszedł do mnie sam i nie był odpowiedzią na walkę polityczną czy niepewny wynik wyborów.

Nie dziwię się, że nie był. Na pytanie o sprawiedliwość bohaterowie Platona nie udzielają jasnej odpowiedzi. Kluczą, cieniują, raz jest tak, a raz inaczej. Tylko Trazymach mówi do Sokratesa wprost, brzmiąc jak immoralista: „Sprawiedliwość jest zawsze po stronie silniejszego”. Albo: „Nie rozumiesz, że natura sprawiedliwości jest niesprawiedliwość. Nie pojmujesz, że sprawiedliwość to korzyść dla silniejszego, który sprawuje władzę?”

– Immoralista? Raczej jak ponadczasowy Henry Kissinger, uwielbiany przez kolejne pokolenia polityków! Tu na półce mam jego „Dyplomację”, bardzo jasno wszystko wyłożone w grubym tomie. Przepraszam, dorośnijmy wreszcie. Ja na pewno nie będę piętnował Trazymacha, który w spektaklu jest postacią cierpiącą – chciałby nie mieć racji, ale niestety, wszystko wskazuje na to, że ma.

Czyli właściwie nie było o co mieć pretensji do Jarosława Kaczyńskiego, który realizował Platona w naszej podwórkowej postaci? Kaczyński jest wiernym uczniem Stanisława Erlicha, który jasno mówił, że wola polityczna powinna być nadrzędna wobec prawa. Wygrałeś, czyli możesz zdefiniować sprawiedliwość po swojemu, a prawo ustanowione przez poprzedników nie powinno w tym przeszkadzać. I tak działo się w ciągu minionych ośmiu lat.

– A przed Erlichem był Carl Schmitt, guru tej części prawicy, która szukała filozoficznego uzasadnienia swoich wielce wątpliwych działań. Erlich to sól naszej ziemi. I echa takiego rozumienia państwa słychać w moim spektaklu. One nie znikną wraz ze zmianą rządu czy większości parlamentarnej. Nie wiem, czy mogę to wyszeptać, ale jednak część poczynań nowej władzy, budzi znaki zapytania ze względów proceduralnych. Można oskarżać Helsińską Fundację Praw Człowieka o pięknoduchowstwo, można te poczynania rozgrzeszać, mówiąc, że jak się suszy bagno, to musi śmierdzieć, natomiast nie ma powodów utrzymywać, że umowy Trazymach jest patronem tylko jednej partii politycznej, tej nie-dobrej. Nie, on patronuje wielkiej, może przeważającej, części polityki i państwowości, nie tylko w Polsce. „Rząd ustanawia prawa podług własnych interesów. Demokraci dla demokratów, tyrani dla tyranów, oligarchowie dla oligarchów. Gdy je ustanowią, mówią rządzonym, że będzie to dla nich sprawiedliwe”. Tako rzeczce Trazymach i jest to bardzo niewygodna prawda.

Na co wchodzi Sokrates, cały na biało. Nie zgadza się z tak brutalną i bezwzględną wizją państwa i jest to opór szczery, jeśli zważyć, jaką cenę za to zapłaci.

– Tak, Sokrates kładzie się na torach, żeby zablokować nadjeżdżający pociąg towarowy z historią. Ale są też głosy, że tak powiem, zniuansowane. Taki Glaukon na przykład proponuje rozwiązanie w jego mniemaniu luksusowe: „Człowiek doskonały w swojej niesprawiedliwości powinien reprezentować najdoskonalszą niesprawiedliwość. Dokonując największych niesprawiedliwości uzyska status sprawiedliwego. Musi być dobrym mówcą, mieć mnóstwo przyjaciół i pieniędzy”. Nie jest to kuszące? Albo Kefalos, emerytowany człowiek sukcesu, nadzwyczaj zadowolony z siebie handlarz bronią. Jest spokojny, bo ma władzę i pieniądze, a jego przepis na sprawiedliwość również wygląda na prosty – „mówienie prawdy i oddawanie długów”. Albo Adejmantos, który, skądinąd racjonalnie, dopytuje: „Jeśli bogów nie ma albo się nami nie interesują to czemu mieliby nas obchodzić? Słyszeliśmy o nich tylko od kapłanów, a nawet kapłani przyznają, że można ich przebłagać dzięki ofiarom i daram”.

A jeśli pożyczamy broń od przyjaciela i przyjaciel oszaleje, to trzeba ją oddawać? Nie wiem, czy to metafora czy przypadek z czasów Platona wzięty. Brzmi bardzo aktualnie.

– Sokrates mówi, że nie byłoby to sprawiedliwe.

Jak to się stało, że brutalna i bezwzględna wizja Trazymacha w Polsce przegrała?

– A przegrała?

Lud na agorze zagłosował przeciwko niej.

– Bylbym bardzo ostrożny, jeśli chodzi o obwieszczenie triumfu Sokratesa w nowej Polsce, o czym przecież wszyscy marzymy. Inna partia zatknęła na parlamencie swój sztandar, bez wątpienia, ale czy będzie realizować swoją wizję państwa przy pomocy innych metod niż w ciągu ostatnich 8 lat robiło to Prawo i Sprawiedliwość – jeszcze nie wiem, mogą tylko żywić nadzieję. Na pewno zdarzył się stan wyższej gotowości, a obywatele poczuli, że jesteśmy o włos od miejsca, z którego nie będzie już odwrotu i pozostanie cykuta podsunięta pod nos. Albo gremialna emigracja. Wyborcy, którzy czekali do 4 nad ranem, żeby wrzucić kartkę do urny, dobrze to wyczuli. Z takiego gnoju nie wychodzi się, ot, tak sobie, otrzepując ubranie. I rozumiem realpolitik nowej władzy, która chyba nauczyla się, że jak do polskiego inteligenta podchodzi na ulicy bandyta i pyta „zajebać ci z plaskacza?”, to odpowiedź „ależ ja sobie wypraszam, par excellence” nie wystarcza. Metoda Sokratejska w takich sytuacjach nie zdaje egzaminu. Bandyta zrozumie odpowiedź tylko wtedy, jeśli, za przeproszeniem, mocniej mu jebniesz. I to jest nasza, polska sytuacja, to jest starożytny spór o państwo przełożony na język współczesny. Przykra w sumie sprawa.

I co powinien zrobić Sokrates?

– Przede wszystkim rozwiewam obawy, że go zabraknie. Zawsze znajdzie się Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która będzie biła na alarm i wskazywała, że łamane jest prawo, że dzieje się niesprawiedliwość. To dobrze, ale też należy im się.

Należy im się? Masz w sobie chęć zemsty, rewanzu, za te osiem lat? Za Stary Teatr, w którym pokazali ci drzwi? Minister Kultury do dziennikarza Telewizji Republika rzucił absolutnie antyczne hasło „Żuję kości swoich wrogów”.

– Smaczno! Należy im się i nie jest to kwestia mojego rewanżyzmu. Tak trzeba. Telewizja, wojsko, prokuratura, polityka zagraniczna, kultura – na wszystkich tych polach dział się absolutny skandal, którego wielkość uświadamiamy sobie dopiero teraz, kiedy otwierają się archiwa, a trupy wypadają z szaf. Jestem nim nieustannie zdumiony. Nie możemy uwierzyć, że przebrany za komentatora propagandzista dostawał w telewizji 300 tysięcy złotych rocznie, że usłużny prokurator zostaje milionerem, etc.

Zastanawiam się, czy postawa Sokratesa w takich momentach nie jest podejrzanie łatwa. Najłatwiej stanąć z boku i gromić obie strony z wyżyn maksymalizmu etycznego.

– Sokrates jest człowiekiem trzeźwym i przenikliwym, mimo że łatwo oskarżyć go o pięknoduchowstwo. Mówi na przykład: „Skoro sprawiedliwy potrafi pilnować pieniędzy, potrafi też je ukraść” i nie mógł odżalować, że ten fragment wyleciał ze spektaklu, brzmi bowiem jak ostrzeżenie. Na dodatek zdaje sobie sprawę z miejsca, jakie zajmuje w społeczeństwie. Do nikogo nie należy, z nikim nie dobija targu, nikomu nie składa obietnic. Nie piastuje żadnych stanowisk, nie bierze udziału w życiu publicznym, zdając sobie sprawę z potencjalnych konsekwencji. Wie, że gdyby zaangażował się w politykę, już dawno by nie żył. W swojej obronie mówi: „Jeśli ktoś naprawdę walczy o sprawiedliwość i chce zachować życie, nie powinien się wychylać. Myślicie, że udałoby mi się przeżyć tyle lat, gdybym broniąc sprawiedliwości, zaangażował się w życie mojego miasta?”.

Po co w takim razie w ogóle istnieje?

– Pięknej odpowiedzi udziela pytającym w ten sposób. „Jak mnie zabijecie, łatwo nam znajdziecie drugiego takiego jak ja. Bóg mnie zesłał, żebym kąsał was bez przerwy niczym giez rasowego konia”. Sokrates ma kąsać, brzęczeć, niepokoić, burzyć ustalone prawdy i wytrącać rozmówców ze strefy politycznego komfortu. Wyszedł z jaskini, zobaczył słońce i wrócił, żeby o tym opowiedzieć.

A ja pozwoliłem sobie przenieść sokratejski spektakl na scenę, ponieważ nigdy nie reżyserowałem spektakli propagandowych i nie pracuję ku pokrzepieniu serc, ani po lewej, ani po prawej stronie się znajdujących. Moim celem jest wywołanie u widzów dyskomfortu, teraz również. Tak zwani „nasi” robią przecież niekomfortowe rzeczy.

Gdybyś był na miejscu Bartłomieja Sienkiewicza, który mówi, że żuje kości swoich wrogów, robiłbyś to samo?

– Tak, na Zeusa, robiłbym to samo. Co nie znaczy, że mam udawać, że Sokratesa nie ma i że pytania, jakie zadawał i za jakie zginął, są bezprzedmiotowe. Popatrz, mam tu taki wygaszacz ekranu, widać na nim ostrakas, gliniane skorupki, na których obywatele wypisywali nazwiska polityków posądzanych o tyranie. Jak się nie pamięta, jaki system polityczny zamordował Sokratesa, to być może łatwiej się wrzuca głos do urny. A zabiła go demokracja ateńska, którą wielokrotnie krytykował.

Znowu wrócę na tutejsze podwórko: sokratejską postacią jest Marcin Matczak, który proponował, żeby na czas postępowania ulaskawieniowego Adam Bodnar wypuścił z więzienia Kamińskiego i Wąsika? Matczak mówi: „nie możemy robić tego, co oni”.

– Profesor Matczak to bardzo odważny człowiek i jeszcze chwila, a spotka go casus Żiżka, któremu postępową część ludzkości próbuje odebrać prawo wypowiedzi, bo przecież wszyscy mamy się zgadzać. Ale moje zdanie na temat osadzonych męczenników było inne.

Wrócę do początku naszej rozmowy, bo nie daje mi ona spokoju. Postawiłeś znak równości pomiędzy była kurator Nowak a lewicą, co trudno mi zaakceptować.

– Tak, tak, absolutnie, i jestem gotów po prostu w sądzie za tym świadczyć.

Chodzi ci o to, że niezależnie kto sprawuje władzę, zawsze będzie wyrzucał z państwa poetów?

– Teraz to się nazywa opieka. Nie wyrzucamy, tylko obejmujemy opiekę. Przyglądamy się bliżej poetom, żeby sprawdzić, jaki mają wpływ na młode dusze. Jeśli młode dusze będą bały się Hadesu, być może nigdy nie pójdą na wojnę, przekonane, że po śmierci nie czeka ich tam nic dobrego. Sokrates, który jest męczennikiem, ale również cenzorem – przynajmniej w wydaniu Platona –, świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Dlaczego chce skreślać fragmenty Homera? Ponieważ wie, że nie powinno karmić się nimi przyszłych żołnierzy. Co to znaczy, że „dusza jak marny dym pod ziemię poszła, tam zniknęła i piszczy”? Albo dlaczego ten Homer porównuje dusze do stada przerażonych nietoperzy, zbitych pod sklepieniem jaskini? To się Sokratesowi nie podobało, podobnie jak kurator Nowak nie podobały się „Dziady”, podobnie jak nowi cenzorzy chcą wyrzucać z filmów sceny, w których Bogart pali papierosa. Przecież palenie papierosów jest niezdrowe, ktoś zechce go naśladować i zniszczy sobie organizm.

W „Państwie” widać podwaliny myślenia jak najbardziej współczesnego i nie dającego się ograniczyć do prawej strony sceny politycznej. Tam się pojawia wizja cenzury, w imię, oczywiście, szczytnych wartości. Homer i inni poeci są bardzo ważni, doceniamy, szanujemy, ale musimy ich przekonać do tego, żeby pisali coś ku pokrzepieniu serc. A jeśli tego nie będą robić – cóż, w takiej sytuacji my będziemy skreślać, wyganiać z państwa.

Minione osiem lat pokazało pewną prawidłowość: prawica ze swoimi zapędami cenzorskimi kulturę traktowała poważnie. Nie jak kwiatek do kozucha, tylko siłę zmieniającą świat.

– To nie jest przypadek, że w każdym polskim domu w święta każda polska rodzina od pokoleń oglądała „Potop”, czyli lekkostrawną, znakomicie zrealizowaną lekcję patriotyzmu. Ja nie wiem, jak wpływa kolejna płyta Maty na młódzież, ale na pewno tym tego wpływu nie lekceważył. Platon nie był kretynem i zakładał jak klasyczny wykształciuch, że wzorce promowane przy pomocy sztuki mają wpływ na ludzi. Rzeczywisty wpływ. I ja też w to wierzę, bo inaczej moja praca byłaby bez sensu.

W polskiej rzeczywistości wygląda to tak, że wyrosło już całe pokolenie, które, jak u Moliера, nawet nie wie, że mówi językiem narodowo – patriotycznym. Pytanie, na ile będzie miało to znaczenie, jeśli dojdzie do wojny i chłopaki w odzieży tożsamościowej dostaną powołanie.

– Nie wiemy, na ile to, co majączy za wschodnim horyzontem, jest nieuniknione. Jedno nie ulega wątpliwości – sytuacja się zaostrza, a jak się zaostrza, to nie ma czasu na niuanse. Niuanse stają się wręcz szkodliwe, co widać w Ukrainie. Zaczyniesz hamletyzować – morale będzie jeszcze słabsze. Zobacz, jak przydatny jest Platon: przecież Sokrates mówi u niego wyrażnie, że „dzieci powinny uczyć się dobrych rzeczy, jeśli mają czcić bogów i rodziców”. Nie mogą bać się śmierci, bo ci, którzy uwierzą, że Hades jest straszny, że dusze piszczą tam z przerażenia – „ze strachu

wyborą klęskę lub niewolę”. Nic się tu nie zmienia. W obliczu wojny nie masz innego wyjścia.

Słucham tego, co mówisz, i myślę o uczciwych ludziach, którzy wolą wypić cykutę niż wyrzec się swoich poglądów i zadawania pytań. O Nawalnym, Cichanouskim, Poczobucie. Nawalny nie żyje, o Cichanouskim słuch zaginął, Poczobut zdecydował się zostać na Białorusi, mimo że mógłby teraz siedzieć w ciepłej redakcji w Warszawie i pisać analizy.

– Nawalny świadomie wydał się na mękę, a teraz odbywają się antyczne gierki władzy z ciałem bohatera. Ale oddał życie nie po to, żeby cywilizowany świat mógł wyrazić oburzenie i głębokie zaniepokojenie, a później wrócić do bussiness as usual.

Może to moja naiwność, ale myślę że Nawalny poświęcił się, bo wiedział, że na dłuższą metę zwycięży, pośmiertnie, za jakiś czas, paradoksalnie zatrumfuje. To są wielkie i niezwykle momenty w dziejach, kiedy widzisz, że są ludzie, którzy wolą zginąć, niż zaprzeczyć się siebie.

Piotr Szczęsny mieści się w tej kategorii? To ciekawe, swoją drogą, że przywołanie go w exposé Donalda Tuska doprowadziło Jarosława Kaczyńskiego do furii, jak gdyby nie mógł znieść faktu, że prawica nie ma monopolu na śmierć i męczeństwo.

– Nie tylko nazwisko Szczęsnego budzi furie, Adamowicza również. Ostatnie słowa wielkich ludzi: „Gdańsk jest szczodry, Gdańsk dzieli się dobrem.” A propos Gdańska: nie wiem, czy nie ujawniam teraz tajemnicy państwowej, ale jesienią 2023 pani Małgorzata Tusk, żona ówczesnego premiera-elekta RP przysłała do kasy Teatru Wybrzeże i po prostu kupiła dwa bilety na „Wyzwolenie”, co było bardzo ujmujące i wręcz egzotyczne, bo włodarze zazwyczaj domagają się zaproszeń – o ile im się w ogóle chce pofatygować do teatru... Ale wracając do Piotra Szczęsnego. Zaraz po samospaleniu na Placu Defilad spontanicznie zbierali się ludzie. Pamiętam demonstrację i noc, straszną noc w Polsce. Akurat przeprowadziliśmy się z rodziną do Warszawy z Krakowa, miałem dosyć, chciałem odpocząć po Starym, przygotować się do „Miarki za Miarkę” w Pradze. Tymczasem spalili się Szczęsny i zostawił po sobie wspaniałe słowa. Po demonstracji zobaczyłem w „Wyborczej” zdjęcie i pomyślałem, że nie ma już dla nas ratunku. Na tym zdjęciu stali wyłącznie sześćdziesięciolatekowie, albo ludzie starsi. Tylko i wyłącznie. I jedyna szesnastoletnia twarzyczka – to była twarzyczka mojej córki Jadwigi. Człowiek spłonął, żebyśmy się obudzili, a w dwumilionowej, jakże liberalnej metropolii, właściwie nikt się tym nie przejął. Na Plac Defilad przyszli ci, co zawsze, schyłkowa polska inteligencja, co to czyta bezinteresowne książki.

Inaczej na to patrzyłem. Po samospaleniu Jan Palacha Czesi nie wygonili Rosjan. A jednak jego śmierć nie poszła na marne. Te procesy nie dzieją się błyskawicznie.

– Tak, masz rację, ale mówię o swoim ówczesnym nastroju. Może po tym, jak władza pozamiatała Stary Teatr, miałem takie głęboko pesymistyczne spojrzenie. Wydawało mi się, że rośnie nowa mała stabilizacja i nic nie da się zrobić. Potem pracowałem w Pradze i Czesi opowiadali, że oni ten mechanizm świetnie znają.

Jest taka opowieść o facecie, który zaraz po stłumieniu Praskiej Wiosny wymiotował w Pradze do fontanny. Przechodzień powiedział mu: „Nie znamy się, ale całkowicie się z panem zgadzam”.

– Tak, Czesi wiedzieli, co jest grane, jakby rodzice im tę świadomość przekazali w genach. Mnie to wałnęło strasznie. Depresyjny, głęboko oskarżycielski gest. Wydawało mi się wcześniej, że z tego zakłętego koła jako naród wyrwaliśmy się, a wróciło wszystko.



FOT. JAKUB WIOBEK / AGENCIA WYBORCZAJ.P

Wróćmy do Platona i Sokratesa. Ten wątek wyrzucania poetów i cenzury nie daje mi spokoju, nie tylko dlatego, że stawiasz znak równości, który moim zdaniem jest nieuprawniony. Gdzie dzisiaj przebiega granica dopuszczalnej dyskusji? Grzegorz Braun jest przecież symbolem świata, w którym można powiedzieć wszystkim.

– Przepraszam za sokratejską ironię, ale przecież Grzegorz Braun jest genetycznym człowiekiem teatru, performance ma we krwi. Rozmawiamy o granicach dla polityków czy artystów? Rozumiem, że Eligiusz Niewiadomski był i jednym i drugim jednocześnie, ale generalnie politykom wolno mniej. To nie ma nic wspólnego z Sokratesem i jego pomysłem na poetów.

Dobrze, są słowa, których nie wolno powiedzieć artyście?

– Tak. Nie przeniosę na deski „Paragrafu 22”, mimo że jest to genialny tekst o wojnie, o zarabianiu pieniędzy na wojnie, o grubych rybach, które świetnie w czasie wojny sobie radzą.

Dlaczego?

– Ponieważ źle wypłynęłoby to na młodzię.

Demobilizująco?

– Dokładnie, demobilizująco.

Jak sobie wyobrażasz rolę Sokratesa po zmianie władzy?

– Nadal musi być gzem. Musi zadawać nie wygodne pytania.

Ale sam mówisz, że jest w tobie przyzwolenie na to, by nowa władza pouczeniami Sokratesa się nie przejmowała, ponieważ sytuacja wygląda na nadzwyczajną.

– Tak właśnie mówię i z takich sprzeczności zbudowane jest „Państwo”. Z jednej strony Sokrates proponuje, żeby po prostu zadawać pytania nieoczywiste i nie zadowalać się byle jakimi odpowiedziami. Tylko takie działanie pobudza do myślenia.

I ten sam Sokrates, który mówi, że trzeba być gzem, jednocześnie proponuje cenzurę.

– Nie wiadomo, na ile Sokrates mówi głosem Platona, a na ile swoim, ale teraz się tym nie zajmujemy. Ostrzega, żeby nie naśladować ludzi, którzy są pijakami, albo się garbią. Przecież widzowie na to patrzą, potem wyjdą na ulicę i będą się garbić, albo zaleją pałę. Mimesis. Echa tych rozważań słyszę w modnej ostatnio w mojej nieszczę-

snej branży dyskusji na temat tzw. „reprodukcji przemocy”. Na przykład: jeśli pokazemy okrucieństwo wobec kobiet w teatrze, ktoś może się nim zarazić, dlatego należy takich scen zakazać.

Nie zgadzasz się, jak rozumiem. Ale „Paragrafu 22” byś nie wystawił.

– Touche! Powiedzmy, że heroicznie się autocenzuruję. Ale nie chcę cenzurować innych.

Mówimy o aktualności Platona, ale jest jeden szczegół, który wydaje mi się zupełnie niedzisiejszy. To sokratejska ironia, cudzysłów, przebieranie się w cudze szaty, również w szaty wroga. Ironia się nie czyta. Masz być tym, kogo grasz.

– Widać to dobrze w teatrze. Aktorowi nie wolno grać kogoś, kim nie jest. Przecież Tom Hanks przeprosił za „Filadelfię”. Czekam, aż Willem Dafoe przeprosi za „Ostatnie kuszenie Chrystusa”, też grał kogoś, kim nie jest. Mamy coraz większy kłopot z ironią, metaforą, cudzysłowem, maską.

Ta groźba cancelingu, o której ciągle mówisz, jest rzeczywiście realna?

– Wyreżyserowałem ostatnio „Sen nocy letniej” Teatrze Nowym w Poznaniu, i oprócz rytualnego branżowego oburzenia rozległy się nawoływania, żeby pozabawić mnie prawa wykonywania zawodu, i żeby aktorzy zbuntowali się, bo nie mogą brać udziału w tak manipulacyjnych i przemocowych przedsięwzięciach. Na razie takie sekciarskie myślenie skompromitowało się w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, ale nie mam złudzeń – wcześniej czy później wróci. Przy czym zwracam uwagę, że nieszczęsna Monika Strzępka została złożona jako cielec w ofierze, żeby odwrócić uwagę od powszechnych praktyk środowiskowych, jakże kolektywnych, gdzie pojęcie „konflikt interesów” po prostu nie występuje. Nota bene, cały ten pasztet jest kulminacją kompromitującej polityki zarządzania teatrami warszawskimi. Kiedy słyszę, że miasto teraz rozpisuje konkurs na stanowisko dyrektorki teatru Dramatycznego, to nie mogę nie zauważyć, że w ramach krytycznej rekrutacji jednak wcześniej powinien się odbyć konkurs na stanowisko zastępczyni prezydenta m. st. Warszawy do spraw kultury. Pani Aldona Machnowska-Góra powinna ogłosić transparentny konkurs na swoje stanowisko, a następnie przeprosić i odejść, bo od lat nie ma zielonego pojęcia, co robi.

Jak się rzuci okiem na ekstatycznie przyjęty program Moniki Strzępki i Kolektywu, widać, że jego korzenie tkwią w Platonie, choć niekoniecznie w piękno duchostwie Sokratesa. Adejmantos mówi: „Powinniśmy więc sprawiać wrażenie sprawiedliwych, aby pozyskać dobra, które niesprawiedliwy pozyskał dzięki swojemu dobremu imieniu”. Tak właśnie stało się w Dramatycznym, tyle że ten plan odrobinnę nie wypalił, i teraz władze zamiatają syf pod dywan, zamiast wziąć odpowiedzialność zarówno za tę katastrofę, jak i za szereg lat kompletnego braku jakiegokolwiek sensownej wizji kształtowania życia teatralnego w stolicy, skrywanej rozpisywa-

nem kompromitujących „konkursów” od Sasa do Lasa.

Nie wystarczy w ramach środowiskowej ceremonii topienia Marzanny wymieścić papieża na papieżycę i wstawić styropianowy srom do foyer, żeby teatry w Warszawie grały więcej niż dziesięć razy w miesiącu. Teatry w Warszawie to bagno, a doszczętnie odpowiedzialne są władze stolicy.

W 2019 roku reżyserowałeś w Teatrze Wybrzeże Trojanki – wstrząsającą opowieść o prawdziwym obliczu Odyssa, żołnierzach połączonych zbrodnią. Opowiadałeś wówczas, że PiS buduje brudną wspólnotę, krąg ludzi w mniejszym lub większym stopniu zaangażowanych w łamanie prawa. Ta wspólnota zaczyna się kruszyć.

– A wiesz, że Eurypides za swoją krytykę poczyniń Greków dostał wybór? Mógł iść drogą Sokratesa, który wypił cykutę, albo udać się na emigrację. Wybrał to drugie i źle skończył – podobno rozszarpały go w niejasnych okolicznościach ogary lokalnego władcy.

Bрудna wspólnota powstała również na polu kultury. To nie byli ludzie, którzy utożsamiają się z poglądami Prawa i Sprawiedliwości tylko karierowicze, którzy bardzo wiele partii zawdzięczają. W związku z czym pewnych tematów nie poruszają, pewne tematy cenzurują. Albo autocenzurują. Bardzo trafnie opisał cały proces budowy nowych elit kulturalnych Sławomir Sierakowski: na pierwszym etapie PiS, niesiony euforią, był przekonany, że oto istnieją prawdziwe legiony niebyswałe utalentowanych prawniczych twórców, którzy byli odsuwani ze względu na swoje ideały, przez tyle lat, a teraz nakręcał arcydzieła filmowe, wystawiały wybitne sztuki teatralne, napiszą arcydziełne książki. Kiedy okazało się, że jednak ich nie ma, nastąpił drugi etap: władzy w zupełności wystarczyło, że z pola widzenia znikną artyści nielubiani, zastąpieni kimkolwiek. Mamy neosędziów, ale również neodyrektorów, neoreżyserów, neoaktorów, neokuratorów, którzy nawet nie mają sobie nic do zarzucenia, bo przecież najczęściej nie obnosili się ze szczególnie kuriozalnymi pomysłami. A teraz uznajemy, że nastąpiła wolność i wszyscy jesteście szczęśliwi. Że nic się w gruncie rzeczy nie stało.

To się chyba nazywa gruba kreska.

– Tak jest, gruba. Można już wyciągnąć z Facebooka gratulacje dla Olgi Tokarczuk, które trzeba było na gwałt usunąć, jak ubiegaliśmy się o posady. Czy to jest brudna wspólnota, czy to są przestępcy? A skąd. To po prostu ludzie zaradni, którzy starają się wycinać sobie w gąszczu życiowym ścieżkę kariery, i kompetentnie korzystać z możliwości.

I nie mają sobie nic do zarzucenia. Trudno, żyje się dalej.

– Trudno żeby mieli sobie coś do zarzucenia. Zarobili jakieś pieniądze, wystawili spektakle, dostali wymarzony etat, napisali książki i na pewno nie czują, że stoją w jednym szeregu z Jarosławem Sellinem, Piotrem Gliniskim czy Wandą Zwinogrodzką. Zgodzili się im służyć, wykonywać polecenia, przysiękać oczy. Teraz okazuje się, że nikogo nie cenzurowali, przeciwnie, sami byli obiektem cenzury, albo po prostu gremialnie korzystali z okazji. I w tym sensie oczywiście jest to brudna wspólnota. Należy oczekiwać, że jakiegokolwiek podnoszenie tego tematu wywoła bardzo nerwowe reakcje. Trudno. Być może trzeba będzie kogoś złożyć w ofierze.

I co z tym zrobić?

– Nie wiem. Chyba nic, poza smutną refleksją, i tu znowu wracam do kissingerowskiej frazy Trazymacha, że „sprawiedliwość jest zawsze po stronie silniejszego”.

Na szczęście są jeszcze Nawalny, Szczęsny, Sokrates, i inni tacy, co nigdzie nie pasują. ●

Pierwsza rozmowa z ministrem sprawiedliwości Adamem Bodnarem

NIE DA SIĘ JEDNYM PODPISEM

Nie możemy działać jak Ziobro, który w pół roku faksem odwołał 130 prezesów.

Nas obowiązuje nowy standard funkcjonowania państwa.

Adam Bodnar, były Rzecznik Praw Obywatelskich, profesor prawa, aktywista i obrońca praw człowieka – przyjął nas we wtorek w Ministerstwie Sprawiedliwości przy Alei Róż 2. Rozmawialiśmy w secesyjnym gabinecie, w którym niedawno jeszcze przez osiem długich lat urzędował Zbigniew Ziobro. Gabinet ministra – milczący świadek metodycznej destrukcji wymiaru sprawiedliwości i zamieniania go w osobiste narzędzie Ziobry służące do sprawowania władzy nad społeczeństwem, niszczenia opozycji, osaczania konkurentów z zaprzyjaźnionego PiS i sprawowania kontroli nad ludźmi z własnej partii – Suwerennej Polski. Tu zaspokajały się ambicje niepomowanej żądy władzy człowieka – co zapewne mu schlebi, jeśli to przeczyta – bardziej jeszcze niebezpiecznego niż sam Kaczyński. Nie udało się Ziobrze, choć niewiele brakowało. 15 października 2023 r. dokonała się zmiana na miarę 4 czerwca 1989 r. Ale...

„Słuchając okrzyków radości dochodzących z miasta, Rieux pamiętał, że ta radość jest zawsze zagrożona. Wiedział bowiem to, czego nie wiedział ten radosny tłum i co można przeczytać w książkach, że bakcyl dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uśpiony w meblach i bieliźnie, że czeka cierpliwie w pokojach, w piwnicach, w kuchrach, w chustkach i papierach, i że nadejdzie być może dzień, kiedy na nieszczęście ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczury i posła je, by umierały w szczęśliwym mieście”.

Albert Camus, „Dżuma”

Z ADAMEM BODNAREM
ROZMAWIAJĄ
EWA IVANOVA I JAROSŁAW KURSKI

Rzadko tak się zdarza w życiu narodów, by zło zostało napiętnowane, a dobro zwyciężyło. Zwykle to autorytaryzmy postępują, a nam udało się pójść w przeciwną stronę – do demokracji. – Tak, udało się nam tego dokonać przy pomocy karty wyborczej, w sposób pokojowy, wbrew wszelkim przeciwnościom losu i przeszkodom stworzonym przez obóz Zjednoczonej Prawicy. Ale właśnie dlatego rodzi to zobowiązanie, by zmian demokratycznych dokonywać demokratycznie.

To znaczy jak?

– Z determinacją, ale tak, by nie łamać reguł funkcjonowania społeczeństwa i demokracji.

I stąd te pańskie małe kroczki, formalno-prawne kruczki, chirurgiczne cięcia? A tu raczej trzeba „demokratycznej rewolucji”. Dlaczego jedną uchwałą Sejmu nie rozpedzić tego sprzecznego z konstytucją i orzecznictwem Trybunału Sprawiedliwości UE – neoKRS-u, trybunału mgr Przylębskiej, dwóch nielegalnych Izb Sądu Najwyższego i tak dalej? Skoń-

czyłby się przynajmniej ten niekończący się korowód z neosędziami.

– Słyszałem już to pytanie. Odpowiadam na nie: A jak zamierzacie to zrobić? W jaki sposób zapewnić egzekucję takiej uchwały?

Powiesić kłódkę na urzędach i przestać wypłacać pensje antydemokratycznym uzurpatorom.

– No dobrze, to wyobraźmy sobie, że wieszamy kłódkę na Krajowej Radzie Sądownictwa, a prezydent mówi na to: – Drodzy państwo, zapraszam do Pałacu Prezydenckiego albo do Belwederu, albo do moich biur na Wiejskiej. Tam możecie dalej urzędować, podejmować uchwały w sprawie nowych nominacji sędziowskich.

Uchwały akceptowane przez jedną czwartą środowiska prawniczego...

Pan kroczy jak żubr.

– Nie patrzmy z perspektywy tygodnia. Patrzmy z perspektywy kilku miesięcy. Jak widzicie, zmieniam wiele, ale *lege artis*. A i tak jestem oskarżany, że robię to źle i łamię wszelkie standardy.

Tak, podobno „bodnaryzuje” pan prawo, a do tego ma pochodzenie ukraińskie, no rezun z pana.

– Jak się nie ma argumentów, to się wyciąga przodków. Po śmierci ojca zacząłem szukać swoich korzeni. No i okazało się, że on został repatriowany w ramach akcji „Wisła”. Byłem w związku z tym na obchodach rocznicy akcji „Wisła”, udzieliłem na ten temat jednego czy drugiego wywiadu. I teraz okazuje się, że moje pochodzenie może być na mnie polityczną palką. Taka to u nas debata...

ga życiowa wiąże się z polityką, bo polityka ma wpływ na rzeczywistość.

Wcześniej użył pan słowa „sprawczość”.

– Tak, bo uważałem, że wybory z 2023 r. są ostatnim dzwonkiem dla polskiej demokracji i że trzeba było się zaangażować. A skoro wygrali przyjaciele demokracji, po tych pięknych, gigantycznych manifestacjach, to chciałem naprawiać to, co zostało zdewastowane. Myślę, że mam zaufanie środowisk prawniczych i wiem, co trzeba zrobić.

Polityka to sztuka uzyskiwania tego, co możliwe, kosztem tego, co idealne. A zatem często kompromis w sferze wartości.

– Cóż, krok po kroku robię, co mogę, i nie ma rzeczy, za które musiałbym się wstydić.

Wyobraźmy sobie, że wieszamy kłódkę na Krajowej Radzie Sądownictwa, a prezydent mówi na to: – Drodzy państwo, zapraszam do Pałacu Prezydenckiego. Tam możecie dalej urzędować, podejmować uchwały

... ale ta dwuwładza i tak już jest. A obowiązuje przecież hierarchia aktów prawnych, czego uczą na pierwszym roku prawa. Pośród tych aktów prawnych konstytucja stoi najwyżej. Dlaczego nie wywodzić wprost z konstytucji decyzji pozwalających przywrócić *status quo ante* – to jest stan praworządności? Dlaczego powrót do państwa prawa musi odbywać się ciernistą drogą, na podstawie ustaw uchwalonych przez PiS z pełną świadomością łamania konstytucji?

– Jeżeli powołam się bezpośrednio na konstytucję, to będzie nieskuteczne. Co więcej, duża część środowiska prawniczego łącznie z symetrystami powie, że poprzez bezpośrednią interpretację konstytucji uzurpuję sobie władzę. Stałabym w obliczu gigantycznego sporu, który prowadziłby daleko. Minęło raptem siedemdziesiąt kilka dni od 13 grudnia. Wiele już się udało w sądach zrobić.

Druga rzecz to zmiany ustawodawcze. Ustawa o KRS jest już w Sejmie. Ufam, że zaraz będzie uchwalona. Pracujemy nad ustawą pomostową, która naprawi ustrój sądów powszechnych w kontekście rzeczników dyscyplinarnych, prezesów sądów, delegowania sędziów do sądów wyższych instancji. Naprawimy wszystko, co można naprawić w ustawie o ustroju sądów powszechnych bez dokonywania fundamentalnych zmian.

A „rzeźnik praw obywatelskich”. To pana boli?

– Przyzwyczaiłem się, bo jako RPO byłem celem nieustających ataków ze strony prawicowej władzy, gdy toczyły się debaty o Trybunale Konstytucyjnym, wolnych sądach, prawach osób LGBT+, na temat mowy nienawiści, śmierci Pawła Adamowicza itd. Teraz jest o tyle inaczej, że obok racji stoi sprawczość ministra sprawiedliwości. Innymi słowy, realna władza, konkretne rozstrzygnięcia w sprawie sądów czy prokuratury. To budzi dodatkową agresję.

Dlaczego obrońca praw człowieka, były Rzecznik Praw Obywatelskich idzie do polityki, zostaje członkiem rządu – ministrem sprawiedliwości, podwładnym premiera?

– Bo mnie kiedyś redaktor Kurski na jakiejś manifestacji w obronie wolnych sądów do tego zachęcał (*śmiech*).

Nie potwierdzam, nie zaprzeczam. A tak na serio?

– Miałem powierzony mandat RPO w latach 2015–21. Byłem, wykonałem, zostałem przez społeczeństwo oceniony. Zakończyłem ten okres życia. Potem robiłem różne rzeczy. Byłem nauczycielem akademickim, komentatorem, aktywistą, doradcą. Wreszcie podjąłem decyzję, że moja dalsza dro-

Na czym polega Bodnara metoda przywracania praworządności? Co by pan powiedział niezcierpliwionym sędziom?

– Pierwsze słowo, jakie przychodzi mi do głowy, to właśnie „cierpliwość”. Przecież naprawiamy zniszczenia ostatnich ośmiu lat! Do diabła, to nie był epizod czy usterka do usunięcia w chwilę.

Drugie to „skuteczność”. Nie chodzi o fajerwerki, ale o realną zmianę na poziomie ludzkim i instytucjonalnym. To dobrze ilustruje sytuacja z prezesami sądów – jak ich odwołujemy, to robimy to skutecznie i do końca.

Kilku raptem!

– Więcej. Pan redaktor nie przygotował się do wywiadu. Najpierw nie zaakceptowałem grupy sześciu tzw. last minute nominacji Ziobry i na ich miejsce powołałem nowych prezesów. Zmieniamy prezesów w tych miastach, w których sędziowie protestują przeciwko nim albo wiemy, że będziemy mieli zgodę kolegów, czyli prezesów niższych instancji. No więc mamy Poznań na poziomie Sądu Apelacyjnego, jak i Sąd Okręgowy, Warszawę – sędziego Schabę, Kraków i mniejsze sądy: Radom, Kielce, Słupsk, Koszalin....

Ale prezes Schab uważa, że nadal jest prezesem, a Bogdan Święczkowski z Trybunału Konstytucyjnego jednooso-

bowo wydał we wtorek zabezpieczenie w tej sprawie.

– Oczywiście najbardziej prominentni nominaci Ziobry korzystają z każdego narzędzia, po jakie tylko mogą sięgnąć, żeby podważać moje decyzje. To jest pozorne działanie. Zabezpieczenie TK stało się kolejny raz manewrem, który ma mi utrudnić podejmowanie decyzji. W przypadku sędziego Schaba zabezpieczenie jest napisane jednoosobowo przez Bogdana Święckowskiego – byłego prokuratora krajowego z nadania Ziobry, a teraz sędziego TK.

Z prawnego punktu widzenia takie zabezpieczenia budzą ogromne wątpliwości, nie można tu bowiem w żadnym wypadku mówić o niezawisłym werdykcie. Jednocześnie mamy wyborczą decyzję Polaków z 15 października, która pokazała, że oczekują konkretnych zmian w wymiarze sprawiedliwości. Jedną z nich miałyby być uniemożliwienie dalszej destrukcji polskiego sądownictwa przez osoby takie, jak sędzia Schab.

Tu, w Sądzie Apelacyjnym w Warszawie, przewodniczącym I Wydziału Cywilnego jest były stołeczny radny z PiS sędzia Adam Jaworski. Przeciw niemu protestują prawdziwi sędziowie. Jaworski to sędzia Sądu Okręgowego, który w Sądzie Apelacyjnym jest na delegacji. A delegację można cofnąć jednym pismem ministra. – Tak, tak – chcielibyście wszystko jednym podpisem, tylko że każda taka decyzja personalna wymaga ściągnięcia akt osobowych, przejrzenia ich, napisania decyzji i jej uzasadnienia. Po drugie, nie możemy działać jak Ziobro, który w pół roku faksem odwołał 130 prezesów, a do tego zdążył wcześniej zadbać o wyraźną podstawę ustawową do takiego działania. Nas obowiązuje nowy standard funkcjonowania państwa. I to jest ten trzeci element filozofii zmiany. Stąd konkurs na prokuratora krajowego! Chcemy pokazać, że można wybrać go w sposób przejrzysty, choć ustawa tego nie wymaga.

Mój zastępca, sędzia Dariusz Mazur, użył ciekawego porównania w sprawie tych prezesów. Uważa, że cała sytuacja przypomina układankę Jenga, która polega na wyjmowaniu pojedynczych klocków z wieży, aż do momentu, kiedy budowla ruśnie.

To znaczy, że liczy pan na to, że wielu prezesów zrezygnuje samemu w obliczu nieuchronności zmiany?

– Tak, podanie się do dymisji przez preza sądu w Koszalinie zaskoczyło mnie pozytywnie. Cierpliwość, stanowczość, działanie krok po kroku przynosi owoce. Uważam, że każdy kolejny tydzień będzie nasiłał presję, bo demokraci nie zamierzają odpuścić procesu rozliczeń i nominaci Ziobry to widzą.

Nie ma pan wrażenia, że te ostatnie osiem lat dowiodło, że do zawodu sędziowskiego trafili ludzie, którzy nigdy nie powinni zostać sędziami? Radzik, Schab, Pawełczyk-Woicka, Piebiak, Nawacki, Dudzicz, Manowska, Stępkowski, Zaradkiewicz – skąd oni się wzięli w wymiarze sprawiedliwości? To nie są ludzie o „nieskazitelnym charakterze”, to nie są ludzie „niezawisli”, to ludzie partii. I dlaczego samorząd sędziowski wcześniej ich nie wykluczył? Środowisko się samo nie oczyści, o czym boleśnie po 1989 r. przekonał się nestor polskich sędziów prof. Adam Strzembosz.

– Można oczywiście odpowiedzieć rutynowo i banalnie, że zawodzi wykształcenie i doskonalenie w zawodzie sędziowskim. Ale tak nie chcę...

...sądownictwo dyscyplinarne nie działało. To była logika zamkniętej, broniącej swych przywilejów grupy zawodowej, jak lekarze czy adwokaci. Celowo nie mówię „sekty”. Ten system był chory od dawna.

– To oczywiście prawda, ale ja myślę, że to jest ludzkie, że ludzie się zmieniają, że charaktery się zmieniają, że ulegają pokusom

awansu, władzy, pieniędzy. Sędzia Piebiak był kiedyś aktywnym członkiem Iustitii, dostał propozycję od Ziobry i popłynął w innym kierunku. To samo dotyczy innych środowisk zawodowych, w tym dziennikarskiego. Następuje naturalny proces konsolidacji środowiska poprzez powiązanie osobistego interesu członków grupy z interesem władzy. Ale społeczeństwo dostrzegło, gdzie jest dobro, a gdzie zło i doceniło tych, którzy walczyli o wolność. To bardzo istotne z punktu widzenia odbudowy wymiaru sprawiedliwości.

Bakcyl dżumy nigdy nie ginie, włazi w te ministerialne meble, obrazy i dywany. Ziobro lub inny ziobroidalny minister zawsze może wrócić tu, na Aleję Róż. Czy da się stworzyć system, który zdoła temu zapobiec?

– Nie da się, ale trzeba o to walczyć – w ramach demokratycznych możliwości. Osiem lat nas nauczyło, że nie można odpuszczać wychowania obywatelskiego i edukacji prawnej. Nie wolno nam zapomnieć o tym, co się stało.

A co pan robi, jeśli wszystkie reformy zostaną zawetowane przez prezydenta albo skierowane do upolitycznionego Trybunału i uznane za niekonstytucyjne? – Liczę, że nie wszystkie. Moja rola polega na tym, żeby prowadzić dialog z Pałacem Prezydenckim, oczywiście w koordynacji z premierem Donaldem Tuskiem. Ale oczywiście jeśli będziemy musieli, to z pewnymi zmianami będziemy czekali do końca kadencji prezydenta. Lecz do 2025 r. wiele może się wydarzyć, będą wpływać kolejne ustalenia demaskujące poprzedni obóz władzy, które utrudnią panu Andrzejowi Dudzie bronienie tego, co się wydarzyło się przez ostatnie lata.

■
Pamiętajmy, że w SN są także ludzie, którzy może skusili się na perspektywę szybkiego awansu i trafili do Izby Kontroli, ale nie niszczyli sędziów, zajmowali się standardowymi sprawami

Kohabitacja z prezydentem to realny scenariusz po tym, jak uznał pan Dariusza Barskiego za emeryta, który nie został nigdy skutecznie powołany na prokuratora krajowego? Zdaniem Andrzeja Dudy Barski nadal nim jest, bo prezydent nigdy nie wyraził pisemnej zgody na jego odwołanie.

– Znamy stanowisko prezydenta w tej sprawie. Ale sytuacja w prokuraturze to jedno, a proces ustawowych zmian to drugie. Uważam, że pan prezydent może nawet mieć chęć pójść tropem Lecha Kaczyńskiego i podpisać ustawę o rozdzieleniu urzędu ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. To jeden z postulatów, który jest na stole.

Prokurator generalny Adam Bodnar będzie prokuraturą rządził czy władał? Jaki będzie podział obowiązków między panem a prokuratorem krajowym? – Zgodnie z ustawą mam prawo wydawania zarządzeń, wytycznych oraz poleceń. Ale uważam, że jako prokurator generalny powinienem być raczej od ustalania ogólnej polityki karnej, monitorowania sytuacji w prokuraturze oraz weryfikowania, czy śledztwa są prowadzone skutecznie i przejrzystie. Gros kompetencji powinno spoczywać w rękach prokuratora krajowego i podległych mu prokuratorów.

Jaką ma pan wizję prokuratury?

– Mam do spełnienia podobną rolę, jak kiedyś prof. Zbigniew Cwiąkalski, minister, który dokonał rozdzielenia urzędu ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Ale oprócz tego zadania chciałbym przypomnieć prokuratorom, że są dobrze wykształconymi, profesjonalnymi prawnikami, którzy mają zachowywać się godnie i niezależnie prowadzić śledztwa, ścigać przestępczość i dbać o praworządność. Powinni być także otwarci na świat, stąd akcesja do Prokuratury Europejskiej. Struktura i organizacja wewnętrzna prokuratury musi być maksymalnie przejrzysta, awanse oparte na kryteriach merytorycznych. Musi liczyć się profesjonalizm. Trzeba również zadbać o pracowników prokuratury, a nie tylko o prokuratorów i asesorów prokuratury.

Za chwilę zostanie powołany nowy prokurator krajowy, wymieniono prokuratorów regionalnych, kilku okręgowych, trwa wymiana szefów wydziałów w Prokuraturze Krajowej. Ale cały czas wśród prokuratorów panuje przekonanie, że „na górze jest Bodnar, a na dole Ziobro” – To taka sama niecierpliwość, jak u sędziów. Wielu wydaje się, że wszystko wydarzy się już, natychmiast. W przypadku prokuratury mamy szczególny kłopot. Już w 2016 r. nastąpiły degradacje: ponad setkę porządných, doświadczonych ludzi odesłano na najniższy szczebel. Jak choćby prokuratora Krzysztofa Parchimowicza, legendarnego współtwórcę „pezetów”, czyli wydziałów ds. przestępczości zorganizowanej, który działalność przypłacił lawiną postępowań dyscyplinarnych, co skutkowało problemami zdrowotnymi.

Na 6 tys. prokuratorów przeciwko upolitycznieniu prokuratury protestowało około 200-300 osób, które stworzyły Lex Super Omnia. Wielu było już wtedy w stanie spoczynku, a przez ostatnie osiem lat kolejni odeszli na emerytury.

I ci nieliczni, którzy stanęli w obronie wartości, świadomie ryzykowali wszystko. Prokuratorzy nie mają takich gwarancji, jak sędziowie, na poziomie konstytucji, można ich przerzucać na drugi koniec kraju. Sprzeciwiający się nie mieli szans awansu, zawodowo nie mogli się rozwijać. Co więcej, ponosili rzeczywiste ryzyko, że któregoś dnia zostanie uchwalona ustawa, która ich wszystkich pozbawi statusu prokuratora. Gdyby rządziła dalej Zjednoczona Prawica, to nie wykluczam, że w 2024 r. taka ustawa byłaby właśnie procedowana w Sejmie.

To pokazuje, w jakim stanie jest ta instytucja. Tego nie da się odbudować z dnia na dzień. Układając prokuraturę na nowo, trzeba brać pod uwagę, kto przez ostatnie lata się nie sprzeniewierzył, kto był porządnym prokuratorem, kto dbał o wartości i kto ma kompetencje zarządcze.

Prokuratura to brutalny świat: naciski, polityka, polecenia i hierarchiczne podporządkowanie. Gwarancje niezależności praktycznie żadne. Zachowanie kręgosłupa w takich warunkach jest szczególnie trudne. O ideały i postacie bez skazy trudno.

– Mam tego świadomość. I przy każdej prokuratorowskiej nominacji zawsze mam w tyle głowy, że nawet przyzwoity prokurator, doświadczony i z dorobkiem, mógł w przeszłości się potknąć. Znalezienie postaci bez skazy jest trudne, ale oczywiście nie jest niemożliwe.

Ponieważ uznaje się, że Dariusz Barski był emerytem i nie został prokuratorem krajowym, a na pełniącego obowiązki prokuratora krajowego został powołany Jacek Bilewicz, sądy mają wątpliwości co do tzw. skuteczności czynności asesorów powołanych przez Barskiego. Czy oprócz problemu neosędziów mamy problem neoesesorów?

– W przeszłości asesorzy dostawali wotum od prokuratora generalnego, ale za czasów Ziobry został upoważniony do tego prokurator krajowy Bogdan Święczkowski, a potem Dariusz Barski. Nie rozumiem, jak

można było przekazać komuś tak ważną kompetencję. Ale nie przewiduję problemu „neoesesorów”. Jeżeli asesor prokuratury działa „na zewnątrz”, to jego czynnościom towarzyszy wewnętrzny akt aprobaty prokuratora, który go nadzoruje.

Mamy ponad 2 tys. neosędziów na wszystkich szczeblach sądownictwa. To oni mają większość w Sądzie Najwyższym. Jest jasne, że walczą o swoje awanse, wielu nie zawaha się wykorzystać sytuacji. Czy wybierając scenariusz zmian w prokuraturze, liczył się pan, że w spornych sprawach będą orzekać także oni?

– Prokuratura będzie musiała dbać, aby w sytuacjach, które mogą rodzić wątpliwości, każde działanie procesowe miało potwierdzenie przełożonych prokuratorów.

Wydał pan polecenie cofnięcia 144 prokuratorów z delegacji do Prokuratury Krajowej i prokuratur regionalnych. Zostanie wykonane? Barski odmówił, wskazał, że decyzje w tym zakresie należą do jego wyłącznych kompetencji i polecenia nie może wykonać. A wielu, których polecił pan odwołać, to fachowcy.

– Chodziło mi o wysłanie jasnego sygnału, że sam system delegacji jest kompletnie nieprzejrzysty. W prokuratorowskiej centrali są ludzie delegowani nawet z najniższych szczebli. Jeśli faktycznie są potrzebni i są specjalistami, to dlaczego nie zostali awansowani?

Bo nie chodziliby na krótkiej smyczy. A gdy są na delegacji, wystarczy jeden podpis, aby ich odwołać.

– Trzeba to uporządkować, ograniczyć delegację, aby status danego prokuratora i szczebel, na którym pracuje, były zgodne ze sobą. Trzeba skończyć z myśleniem, że awans mogą dostać tylko prokuratorzy lojalni politycznie. Awanse mają dostawać zasłużeni merytorycznie, za lata dobrej pracy.

Trzy kluczowe dla prokuratora generalnego śledztwa to...

– Zaczynam się przyglądać pracom zespołu, który wciąż bada katastrofę smoleńską. Mam na biurku gruby plik przedstawiający listę opinii, zamówionych ekspertów, sprawdzam, ile to kosztowało i jakie przyniosło efekty. A chodzi o powoływanie międzynarodowych zespołów badawczych, kilku do spraw technicznych, do badań genetycznych. Sprawami priorytetowymi są Fundusz Sprawiedliwości i Pegasus, w tym celu powołałem specjalne zespoły śledcze. Ale jest więcej ważnych kwestii, choćby Narodowe Centrum Badań i Rozwoju czy sprawy z kontekstem politycznym, dotyczące aktywistów, przedsiębiorców, przeciwników politycznych.

Czy Pegasusa używano, aby zwalczać terrorystów i przestępczość zorganizowaną? – Widziałem listę. Skala inwigilacji jest szokująca.

Ale walczono z przestępczością, czy inwigilowano przeciwników politycznych, aktywistów, dziennikarzy?

– Służby specjalne pod kierunkiem ministra Tomasza Siemoniaka prowadzą audyt każdego przypadku stosowania tego narzędzia. Następnie ujawnię Sejmowi dane statystyczne. A osoby inwigilowane Pegasusem będą o tym informowane indywidualnie, jeśli zgoda sądu była wyludzona lub było to działanie nadmierne i nieproporcjonalne.

W centrum uwagi powinniśmy postawić jednostkę, którą to dotknęło. Niech ona zdecyduje, co z tym zrobić i czy chce poinformować opinię publiczną, czy chce wystąpić o odszkodowanie od państwa.

Może warto zmienić procedurę wydawania zgód na podsłuchy? Bywały wyludzone, sądy nie wiedziały, że wykorzystywany jest Pegasus.

– Tak, mamy błąd systemowy. Sądy nie wiedziały, jak metoda inwigilacji jest stosowana, w dodatku o ile zgody nie trzeba uzasadniać, o tyle odmowę sąd musimy uzasadnić, odrębnie, w kancelarii tajnej.

FOT. MACIEK JĄZWIĘCKI / AGENCIA WYBORCZA.PL



Po śmierci ojca zacząłem szukać swoich korzeni.

No i okazało się, że on został repatriowany w ramach akcji „Wisła”. Byłem w związku z tym na obchodach rocznicy akcji „Wisła”, udzieliłem jednego czy drugiego wywiadu. I teraz okazuje się, że moje pochodzenie może być na mnie polityczną palką

Trzeba naprawić cały system nadzoru nad służbami specjalnymi w kontekście przestrzegania praw jednostki. Taki jest zresztą wniosek raportu komisji senackiej ds. Pegasusa kierowanej przez Marcina Bosackiego.

Kiedy zacznie się informowanie inwigilowanych?
– Poprosiłem Prokuraturę Krajową o opinię. Jeszcze w tym tygodniu będę o tym rozmawiał z Jackiem Bilewiczem. Myślę, że to kwestia około dwóch tygodni i będziemy mogli przejść do fazy operacyjnej.

A co się dzieje w sprawie nadużyć środków Funduszu Sprawiedliwości, z którego sfinansowano także zakup Pegasusa?
– Tym problemem zajmuje się w Prokuraturze Krajowej niezależna prokurator Marzena Kowalska z zespołem śledczych.

Ale czy Ziobro może za to odpowiedzieć? Co z odpowiedzialnością Andrzeja Dudy? Powinni stanąć przed Trybunałem Stanu czy przed prokuratorem i sądem?
– Doskonale wiemy, że decyzja, czy wszcząć procedurę wobec prezydenta, jest bardzo poważna i czysto polityczna. Rolą ministra sprawiedliwości nie jest komentowanie tego.

Zależy panu, by prezydent podpisał ustawy praworządnościowe. Stąd ta powściągliwość?
– Kluczowe polityczne decyzje zapadają na szczeblu wyższym niż mój. Pozostawmy te rozstrzygnięcia panu premierowi.
A co do Zbigniewa Ziobro w kontekście Funduszu Sprawiedliwości, to zobaczmy, jakie będą wnioski z analiz, które trwają w resorcie pod kierunkiem pani ministery Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz. Wstrzymaliśmy niektóre płatności, analizujemy z Prokuratorią Generalną Skarbu Państwa i audytorami, co możemy zrobić, aby pieniądze nie trafiły do podejrzanych podmiotów. Jednocześnie szykujemy konkursy oparte o normalne kryteria. Powołaliśmy Radę Funduszu Sprawiedliwości pod przewodnictwem Jerzego Stępnia, byłego prezesa TK.

Kolejny orzech do zgryzienia to Trybunał Konstytucyjny. Czy można wprowadzić w nim zmiany uchwałami Sejmu, jak przekonuje część konstytucjonalistów?
– Trybunałem należy zająć się w sposób kompleksowy. Będzie uchwała, która oczy-

wiście odniesie się do problemu dublerów i kadencji Julii Przyłębskiej. Ale uchwała nie będzie jedynym aktem, który będzie regulował kwestię Trybunału.

A co z byłymi posłami PiS zasiadającymi w tzw. TK, Krystyną Pawłowicz i Stanisławem Piotrowiczem?
– Poprosiłbym o odrobinę cierpliwości. Nie chcielibyśmy uprzedzać faktów.

Co z neo-KRS?
– Nie ogłaszam nowych konkursów na stanowiska sędziowskie. Również prezes NSA rozważa podobny krok. Musimy jak najszybciej przyjąć ustawę, która pozwoli wybrać nowych 15 sędziów członków KRS. Pierwsze czytanie odbędzie się już podczas najbliższego posiedzenia Sejmu 6 marca. Liczę, że na kolejnym zostanie uchwalona. Będę ze wszystkich sił starał się przekonać pana prezydenta do podpisu. Aby ułatwić mu decyzję, ustawa nie dotyczy kwestii powołań sędziów, którzy zostali wskazani przez KRS po 2018 r.

Czy obecnym 15 członkom sędziom zostanie przerwana kadencja? To są te „chirurgiczne cięcia” Adama Bodnara?
– Kadencje nie zostaną przerwane, bo one się nie rozpoczęły. Zostanie skrócona możliwość dalszego zasiadania w organie tych członków, którzy zostali powołani niezgodnie z konstytucją.

Jak rozwiązać problem neosędziów w sądach powszechnych?
– To najpoważniejsza debata, która nas czeka w tym roku. Są dwie koncepcje. Jedna – powstaje nowa KRS, która weryfikuje każdą z tych osób. Negatywnie zweryfikowana ma prawo odwołania się do sądu administracyjnego. Za takim rozwiązaniem optuje Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Druga koncepcja – z automatu cofamy wszystkich neosędziów do macierzystych sądów i organizujemy ponowne konkursy na stanowiska, które w efekcie zostały zwolnione. Każdy z nich będzie mógł oczywiście wystartować w takim konkursie.
Krytycy podnoszą, że to odpowiedzialność zbiorowa. Nie do końca się z tym zgadzam, natomiast faktycznie ta metoda ogranicza możliwość indywidualnego skargenia tego zawrócenia.

Która opcja jest panu bliższa?
– Dostrzegam sens w argumente stowarzyszenia Iustitia, że w weryfikacji indywidualnej większość awansów zostanie „przyklepana” i ci, którzy przez te lata też mogli awansować, ale nie chcieli brać udziału w konkursach przed wadliwym organem, będą mieli poczucie niesprawiedliwości na zasadzie: „To my tyle lat staliśmy na ulicach, protestowaliśmy, byliśmy represjonowani, inni w tym samym czasie awansowali, a po latach śmieją nam się w twarz”.
Ta dyskusja jest tak trudna i ważna, gdyż chodzi o stabilność całego systemu sądownictwa, nie tylko o wyroki. Bo to, że wyroki neosędziów powinny być co do zasady utrzymane, jest jasne. Natomiast musimy uniknąć sytuacji, że z dnia na dzień z budynku sądu okręgowego w mieście X większość sędziów trafi do rejonu i nie będzie komu orzekać w okręgu. Na szczęście minister sprawiedliwości może delegować sędziów. I jeśli ustawowo cofniemy sędziów do ich poprzednich sądów, to możemy jednocześnie delegować ich na szczebel, z którego ich cofnęliśmy, aby dokończyli sprawy.

Miał pan okazję jako minister spotkać się z prezes SN, prof. Małgorzatą Manowską?
– Nie miałem dotąd oficjalnego spotkania.

Co zrobić z SN, którym kieruje neosędzia, w którym większość stanowią neosędziowie i niemal wszyscy prezesi izb są neosędziami?
– Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jako całość została zakwestionowana przez TSUE. Izba Odpowiedzialności

Zawodowej też budzi poważne zastrzeżenia, bo jej większość stanowią neosędziowie, którzy nie gwarantują prawa do bezstronnego sądu. Więc nie ma co się oszukiwać – trzeba przyjąć ustawę o Sądzie Najwyższym. I może to akurat ta ustawa, która będzie musiała poczekać na nowego prezydenta.

A do tej chwili?
– Można stworzyć mechanizm pozwalający neosędziom przechodzić w stan spoczynku. To będzie wtedy ich decyzja, która nie będzie podważać tej „świętej” kompetencji nienaruszalności nominacji, o której mówi prezydent. Każde odejście w stan spoczynku będzie stwarzać szansę na powołanie sędziego przez nową, w pełni konstytucyjną KRS.

Ale oportuniści nie mogą być nagrodzeni. Taką nagrodę otrzymali już ci z nielegalnej Izby Dyscyplinarnej. Zło i bezprawie nie może się opłacać.
– Czasem trzeba zapłacić pewną cenę, aby całą sytuację doprowadzić do porządku.

Wielu neosędziów za to, co robili, powinno trafić przed sąd lub sąd dyscyplinarny. Część powinna być już poza zawodem. Dlaczego wszyscy tak się z nimi cackają?
– W przypadku postępowań dyscyplinarnych czy karnych skutek nie następuje od razu.

Uczciwi sędziowie byli ścigani za orzeczenia. Czy ci, którzy ich nękali w Izbie Dyscyplinarnej, pozostaną bezkarni?
– Mamy przypadki, w których Europejski Trybunał Praw Człowieka po raz pierwszy w historii polskich spraw stwierdził naruszenie art. 18 Konwencji. Chodzi o nękanie sędziego Juszczyżyna. Trybunał uznał,

Będą wypływać kolejne ustalenia demaskujące poprzedni obóz władzy, które utrudnią panu prezydentowi bronienie tego, co wydarzyło się przez ostatnie lata

że prawo zostało wykorzystane celem osiągnięcia efektu politycznego. Zamierzam na tej bazie wszcząć śledztwa. Zobaczymy, czy doprowadzą do zarzutów karnych, czy do dyscyplinarnych wobec osób, które brały udział w tych przedsięwzięciach.
To zresztą poważniejszy problem – jak wyciągnąć wnioski z tych wszystkich wyroków ETPCz dotyczących polskich sędziów, jak doprowadzić do ich indywidualnego wykonania, jak wyjaśnić do cna każde nadużycie prawa w stosunku do osób, które broniły niezależnego sądownictwa. Bo przecież takie osoby jak Waldemar Żurek czy Igor Tułeya też wygrały sprawy w Strasburgu.
Ale pamiętajmy, że w SN są także ludzie, którzy może skusili się na perspektywę szybkiego awansu i trafili do Izby Kontroli, ale nie niszczyli sędziów, zajmowali się prozaicznym sprawami, na przykład rozpoznawali skargi nadzwyczajne i w wielu sprawach naprawdę pomagali ludziom. Czy do nich mamy stosować taką samą miarę jak do tych, którzy orzekali w Izbie Dyscyplinarnej? Nie jestem przekonany.
Ale poszli na kompromis w kwestii wartości. Nie mają „przymiotu nieskazitelnego charakteru”, a więc nie powinni być sędziami.
– Musimy znaleźć rozwiązanie, które zaakceptuje całe społeczeństwo. A mam wrażenie, że emocja społeczna nie jest taka: wy-

rzućcie ich z zawodu, wyciągnijcie konsekwencje. Raczej: znajdźcie jakieś sensowne rozwiązanie, dogadajcie się.
Naprawiamy rzeczy, które działy się przez osiem lat. Być może na to nie wystarczy rok. Może potrzebne są dwa lata, a może cała kadencja.

Niektórzy dziennikarze i społecznicy żartują, że prof. Adam Bodnar, kiedyś obrońca praw człowieka, a teraz minister sprawiedliwości, jest największym SLAPP-erem. Czytelnikom nieorientowanym w prawnym żargonie wyjaśnijmy – chodzi o tzw. strategiczne pozwy przeciwko partycypacji publicznej, czyli sprawy licznie wytaczane mediom czy organizacjom pozarządowym tylko po to, by uprzykrzać im życie i je zniechęcać.
– Ja?

Sama „Wyborcza” ma osiem procesów z ministrem sprawiedliwości. Zainicjował je Ziobro, ale toczą się, wiele z nich w Sądzie Najwyższym, gdzie trafiają do składów z udziałem neosędziów. I do niedawna zajmowała się tymi sprawami kancelaria byłego asystenta Ziobry.
– Około miesiąca zajęło nam uzyskanie akt z kancelarii mecenas Macieja Zaborowskiego. Po ich przejrzeniu okazało się, że to nie tylko sprawy ministerstwa, ale też indywidualne sprawy członków dawnego kierownictwa MS. Każdą taką wątpliwość dotyczącą działań mojego poprzednika trzeba dokładnie sprawdzić, zweryfikować. Jeśli ktoś uważa, że się nie wyrabiamy, to tylko dlatego, że sprzątania jest bardzo wiele. O moich dobrych intencjach świadczy to, że zaraz na początku urzędowania opublikowaliśmy przeprosiny dla sędzi Justyny Koski-Janusz – wykonaliśmy w imieniu Ministerstwa Sprawiedliwości wyrok, który został wydany w związku ze zniesławiającymi słowami Zbigniewa Ziobry.

Może szłoby szybciej, gdyby w ministerstwie nie było ludzi lojalnych wobec poprzedniej władzy. Czy sędziowie, którzy tu trafili za „dobrej zmiany”, wrócą do orzekania? Kiedy w ich miejsce pojawią się urzędnicy państwowi?
– Co do neosędziów, to dokonujemy przeglądu kadr, już odwołaliśmy dyrektorów i wicedyrektorów różnych departamentów, kolejnym się przyglądamy. Ale nie mogę o tym mówić w mediach, nie chcę, aby o sprawach kadrowych te osoby dowiadywały się z gazet.
I podjąłem decyzję, aby od 1 marca radykalnie zmniejszyć dodatki specjalne i funkcyjne dla wszystkich delegowanych do resortu 140 sędziów i kilkudziesięciu prokuratorów. Bywały osoby, które na stanowisku sędziego delegowanego w ministerstwie zarabiała miesięcznie powyżej 40 tys. zł.

Więcej niż minister sprawiedliwości, premier i prezydent?
– Tak. I żeby była jasność, te obniżki dotyczą też sędziów, którzy pomagają mi przywracać praworządność, jak choćby wiceministra Dariusza Mazura.
System jest postawiony na głowie, bo koszty sędziów delegowanych obciążają ich macierzyste sądy, więc ministerstwo bardziej opłaca się ściągnąć do pracy sędziego niż zatrudnić kogoś ze służby cywilnej. To trzeba zmienić. Sędziowie powinni być delegowani absolutnie góra na kilka miesięcy, do jakichś konkretnych zadań czy konsultacji.

Widać, że obrońcę praw człowieka wciągnęła polityka.
– Skoro podjąłem się trudnego zadania przywracania praworządności, muszę zaakceptować, że polityka jest nieodłącznym elementem tej roboty.

Adam Bodnar będzie prezydentem za kilka lat?
– Dajcie już państwo spokój z tym namaszczaniem. ●

Jacek Kurski na jednym raporcie o TVP chce upiec trzy pieczenie: uwieść Kaczyńskiego, zemścić się na rywalu i dostać zagraniczną fuchę

Dominika Wielowieyska

To nie opozycja wygrała te wybory, lecz przegrali je dla Prawa i Sprawiedliwości szkodliwi, niekompetentni i nieodpowiedzialni ludzie z Rady Mediów Narodowych pp. Czabański i Lichocka, którzy na rok przed najważniejszymi wyborami zdecydowali o rozmontowaniu rozpędzonej, zwycięskiej maszyny TVP, jedyne go realnego i skutecznego medium masowego przekazu, jakim dysponowała Zjednoczona Prawica — powierając ją ludziom bez talentu, intuicji, słuchu społecznego, kwalifikacji medialnych i wyczucia politycznego” — czytamy w raporcie „Czy mogło być inaczej”.

To analiza przyczyn porażki PiS w ostatnich wyborach parlamentarnych. Przygotowała go ekipa byłego prezesa TVP Jacka Kurskiego. O raporcie jako pierwszy poinformował portal Gazeta.pl.

Teza dokumentu brzmi: PiS stracił władzę, bo Nowogrodzka wyrzuciła Kurskiego z funkcji prezesa TVP, a za przekaz telewizyjny zaczęli odpowiadać dyletanci na czele z Mateuszem Matyszkowiczem, następcą „Kury”, i Samuelem Pereirą. Przy czym Kurski bardzo sprytnie nie obarcza winą za ten fatalny błąd samego Jarosława Kaczyńskiego — choć to on podjął taką decyzję — ale członków Rady Mediów Narodowych Joannę Lichocką i Krzysztofa Czabańskiego.

Faktycznie od dawna uważali oni, że toporny przekaz Kurskiego mobilizuje wyborców po drugiej stronie barykady. Jednak nie oni mieli kluczowe zdanie. Kurski stracił posadę, bo naraził się Janinie Goss, osobie, do której Kaczyński ma olbrzymie zaufanie. I to ona, po tym jak Kurski nie chciał spełnić jej poleceń w sprawie obsady łódzkiego ośrodka TVP, doprowadziła do zmian we władzach telewizji (o czym pisaliśmy jako pierwsi). Co więcej, na Nowogrodzką wysłano nagranie, na którym Kurski przechwalała się, że Kaczyński nic nie może mu okazać, bo on — prezes TVP — będzie robił to, co uważa za słuszne.

W prezesie PiS narastało przekonanie, że Kurski kreuje się na alternatywny ośrodek władzy w obozie Zjednoczonej Prawicy. A tego Kaczyński nie mógł tolerować. Kurski jednak wie, że pozycja Goss jest bardzo silna, więc nie ma co jej atakować, natomiast Lichocka i Czabański świetnie nadają się na kółłów ofiarnych.

Trudno się jednak spodziewać, aby Kaczyński uznał winę Lichockiej, skoro wie, że nie miała ona nic do powiedzenia. Faktem jest, że niemal zaraz po powołaniu Kurskiego na prezesa TVP uznała to za błąd. Ale i tak wykonywała rozkazy bez szemrania. I dlatego ma dobre notowania na Nowogrodzkiej: obiecano jej jedynkę na liście do Parlamentu Europejskiego w Wielkopolsce, prof. Zdzisława Krasnodębskiego na drugie miejsce. Z czego ten socjolog uznawany za intelektualnego celebrytę prawicy jest bardzo niezadowolony i niewykluczone, że w ogóle nie wystartuje. Byłaby to druga profesorska ofiara Kaczyńskiego po rezygnacji ze startu prof. Ryszarda Legutki.

Ale sprawa Lichockiej nie jest najważniejsza. Kurski przede wszystkim chce przekonać lidera PiS, że tylko on ma receptę na odzyskanie poparcia. Raport ma sprawić, iż były prezes telewizji wróci do PiS-owskiej pierwszej ligi. I będzie mógł wystartować w czerwcowych wyborach do Parlamentu

FOT. JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS



„KURA” PRÓBUJE WZLECIEĆ

Europejskiego. A wie, że ubłaganie prezesa, by go dopuścił do łask, nie będzie proste. Kaczyński nie dość, że uznał, iż „Kura” poczuł się zbyt silny, to dodatkowo załatwił sobie posadę w Banku Światowym (właśnie go stamtąd odwołano) poza wiedzą Nowogrodzkiej. Co też było chłodno przyjęte. Kaczyński lubi sam kontrolować rozdawanie takich atrakcyjnych posad.

Swoją drogą ofensywa Kurskiego wskazuje na ciekawe zjawisko: w PiS największe emocje budzą wybory europejskie, a o miejsca walczą osoby bardzo zamożne, takie jak Daniel Obajtek, Joanna Lichocka czy właśnie Kurski. Szczególnie Obajtek i Kurski obłowili się w czasie rządów PiS. To budzi rozgoryczenie działaczy, którzy nigdy na takie apanaże nie mogli liczyć. Doły partyjne mają wrażenie, że elity, zamiast wziąć się porządnie za kampanię samorządową, której sukces pozwoliłyby choć trochę „ustawić się” drobnicy i przetrwać chude lata, snują swoje intrygi w walce o lukratywny Parlament Europejski.

– Dobrze się to czyta – powiedział jeden z moich rozmówców w PiS. Dzieło Kurskiego może mieć jakiś wpływ na Kaczyńskiego także ze względów emocjonalnych. Kaczyński uważał i chce w to nadal wierzyć, że się nie pomylił, że toporna propaganda jest dla PiS dobra. A Kurski zaserwował mu opakowany w pseudomerytoryczne argumenty wywód, który tę emocję potwierdza.

Choć prawda jest inna. To nie radykalny przekaz pozwolił PiS powtórnie zwyciężyć w 2019 roku, ale lata wspaniałej koniunktury gospodarczej na świecie, a tym samym w Polsce, bogaty program wydatków społecznych oraz to, że PiS był zwartym obozem z klarownym przywództwem, a po drugiej stronie była bardzo rozdrobniona opozycja bez wyrazistego lidera. Ludziom żyło się dobrze, panował spokój, nie było motywacji, by zmieniać władzę. Wydarzenia, które dobiły PiS, miały miejsce w okresie od 2020 roku, a zaczęły się już po wygranych przez Andrzeja Dudę wyborach prezydenckich.

Ale Kaczyńskiemu bardzo trudno zaakceptować te tezy, bo oznaczają, że mylił się w całej rozciągłości. Raport ma dać mu poczucie ulgi, że jednak to nie on — sam Kaczyński — i jego sposób zarządzania partią i krajem są przyczyną klęski. I dlatego Kurski w taki a nie inny sposób sformułował tezy raportu, by psychologicznie rozegrać prezesa i ponownie wkupić się w jego łaski. Ale „Do Rzeczy” donosi, że spotkanie Kurskiego z prezesem odbywało się w chłodnej atmosferze.

Lecz raport ma jeszcze jeden wymiar: jest zemstą na Matyszkowiczu. Gdy doszło do odwołania Kurskiego we wrześniu 2022 roku, zajmujący jego miejsce Matyszkowicz przekonywał, że o akcji „dymisja” nic nie wiedział. Nikt jednak w PiS w to nie wierzył. Po wyborach parlamentarnych w zeszłym roku Matyszkowicz zaczął przekonywać Nowogrodzką, że zbuduje nowy projekt telewizyjny. Prowadził nawet rozmowy z TV Republika Tomasza Sakiewicza, aby połączyć siły, ale bez rezultatu. To właśnie o nowym pomysle Matyszkowicza mówił Kaczyński na jednym ze spotkań. Sam Matyszkowicz się wtedystraszył i zaczął rozpuszczać nieoficjalnie informację, że nie, absolutnie, on wcale nie zajmuje się nowym projektem, zaszły się w domu i musi odpocząć.

Nie była to prawda, nadal za tym chodził. Oredownikiem i organizatorem projektu miał też być Morawiecki. Chodziło o stworzenie telewizji prawicowej, ale dla umiarkowanych wyborców, której przekaz będzie budowany zgodnie z interesem PiS, lecz raczej przemycany niż wbijany cepem.

Krążyły informacje, że inwestorzy związani z PiS chcą kupić TV Puls, co zresztą byłoby swego rodzaju powrotem tej stacji do korzeni — powstała na początku lat 2000, za centroprawicowych rządów Akcji Wyborczej

Solidarność i przy wsparciu spółek skarbu państwa, na fundamentach franciszkańskiej Telewizji Niepokalanów. – Puls ma przed sobą najlepszy rok w historii po finalnym przełączeniu TVP [chodzi o zakończony proces zmiany standardu nadawania]. Inwestujemy, rozwijamy się, wychodzimy z ofertą za granicę. Nie sprzedaję, buduję – skwitował pogłoski właściciel Pulsu Dariusz Dąbski w „Press-serwisie”. Ale „Do Rzeczy” skomentowało to tak: „Duże misie PiS mówiły nam, że Dąbski w ten sposób podbija stawkę. My uważamy, że w ten sposób chwali się przed nową władzą, że spuścił PiS na bambus”. I dodało, że Kaczyński prowadził w tej sprawie długie rozmowy z Matyszkowiczem oraz Michałem Adamczykiem, gwiazdą TVPiS.

Kiedy Kurski dowiedział się, że jego wróg i następca czaruje PiS wizją własnego wielkiego kanału telewizyjnego, to postanowił ruszyć do boju i zdemaskować go jako zdraycę, który przeszedł na stronę rządu Donalda Tuska. Dlatego duża część raportu dotyczy zmiany władz TVP przez ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza. Kurski stawia tezę, że Matyszkowicz de facto porozumiał się z ludźmi Sienkiewicza i zgodził się oddać gabinet prezesa bez walki. Ponadto z raportu wynika, iż ludzie Matyszkowicza i on sam ułatwili całą operację, przechodząc na stronę PO i umożliwiając wyłączenie sygnału TVP Info w kluczowym momencie. Raport Kurskiego może być gwoździem do trumny projektu Matyszkiewicza, który i tak zresztą nie miał wielkich szans na powodzenie.

Natomiast sam Matyszkowicz tłumaczył w PiS, że robił co mógł, aby zatrzymać władzę w TVP, ale ma dużo dzieci na utrzymaniu i nie może sobie pozwolić na to, by narażać się odpowiedzialność karną i finansową za opór w przekazaniu telewizji nowym władzom.

Raport stawia tezę, że Matyszkowicz i jego ludzie źle sformowali przekaz TVP i z tego powodu zdemobilizowali część wyborców PiS. Wychwała pod niebiosą telewizję za czasów Kurskiego, a całkowicie deprecjonuje dokonania następcy. To akurat absurd. Tropienie różnic pomiędzy telewizją Kurskiego a telewizją Matyszkowicza to zadanie dla pisowskich uczonych w piśmie. W powszechnym odbiorze TVP i w jednym, i w drugim przypadku była toporną propagandą pełną kłamstw i manipulacji, służącą tylko i wyłącznie partyjnym interesom PiS. Oczywiście Matyszkowicz zmienił nieco kurs poprzednika, choćby odpuszczając disco polo i sport, na które stawiał Kurski, upatrujący w tych gatunkach recepty na utrzymanie przy TVP wyborców z niższym wykształceniem, którzy stanowią mocną bazę elektoratu.

Co ciekawe, kilka dni później pojawiła się inna wersja raportu. Być może Kurski drukuje osobne pismo dla różnych odbiorców. Taka rozgrywka niekoniecznie podoba się Kaczyńskiemu, podobnie jak to, że raport wyciekł do mediów, za co Nowogrodzka może obarczyć winą Kurskiego. Prezes PiS nie uważa, że takie wywlekanie partyjnych brudów służy jego ugrupowaniu. Szczególnie w kampanii wyborczej.

Wirtualna Polska przytoczyła fragmenty tej drugiej wersji, której autorzy piszą, że „wzrost radykalizmu i agresji wobec lidera opozycji aż do takich rozmiarów był niezrozumiały i niepotrzebny”. Jednocześnie twierdzą, że skuteczne było „powtarzanie cyklicznego bon motu w rodzaju fur Deutschland”.

„Telewizja Kurskiego i Olechowskiego miała samodzielną pozycję i coś w rodzaju medialnego autorytetu, a dzięki temu zdolność blokowania niemądrych pomysłów z zewnątrz (w poprzednich wyborach też ich nie brakowało). TVP Mateusza Matyszkowicza i Samuela Pereiry była pasem transmisyjnym bez jakiegokolwiek filtra i asertywności. W skutku uratowano marsz Tuska i zrewitalizowano go politycznie i wyborczo. To był pierwszy punkt zwrotny”.

A kiedy Tusk z koalicjantami odżyli po marszu 4 czerwca i zapowiedzieli kolejny, październikowy, tzw. Miliona Serc, według raportu zrobiono błąd największy. „W narracji wobec niego doszło do »ze-

rwania gwintu« i przegrzania z agresywnym, pozbawionym błysku przekazem politycznym. Krytykę przewodniczącego PO prowadzono skrajnie nieumiejętnie – jak np. przedstawianie go na antenie nagle ni stąd, ni zowąd wyłącznie po nazwisku, jako »Tusk« bez imienia i pełnionych funkcji – wywoływało to wrażenie medialnej nagonki. W odczuciu społecznym Tusk stał się ofiarą hejtu, a w takiej sytuacji część sympatii społecznej w naturalny sposób znalazła się po jego stronie” – czytamy.

„Monotonna linia narracji, która sprostawała się do codziennej obsesyjnej krytyki Donalda Tuska za wszystkie doprowadziła do jego immunizacji również na tę krytykę, która była w oczywisty sposób merytoryczna i trafna. Widzowie TVP coraz częściej przestawali na nią zwracać uwagę. W wyniku przepalenia z intensywnością i wulgarnością ataków podsycanych przez Samuela Pereirę, który forsował w Wiadomościach i innych serwisach informacyjnych felietony choćby o zbyt drogich butach Tuska czy materiały atakujące jego córkę – TVP uskrzydliła” Tuska – piszą współpracownicy Kurskiego.

Matyszkowicz tłumaczył w PiS, że robił co mógł, aby zatrzymać władzę w TVP, ale ma dużo dzieci na utrzymaniu i nie może sobie pozwolić na to, by narażać się odpowiedzialność karną i finansową za opór w przekazaniu telewizji nowym władzom

Czy Kaczyński jest zachwycony, że analiza, która obnaża nagonkę w czasie kampanii wyborczej, ot tak wycieka do mediów? Ten dokument to przecież także akt oskarżenia wobec PiS.

Niemniej teza, że PiS przegrał z powodu zmian władz w TVP, jest groteskowa. Przede wszystkim warto zobaczyć, jak Polacy oceniali państwową telewizję. Otóż do 2019 roku zaufanie do niej systematycznie spadało, ale wciąż utrzymywało się na względnie wysokim poziomie. Natomiast załamanie notowań nastąpiło – według CBOS – jesienią 2020 roku, kiedy to w Trybunale Julii Przyłębskiej zapadła decyzja w sprawie aborcji, rozgorzał konflikt wokół tzw. piątki dla zwierząt, osobiście forsowanej przez wrażliwego na los zwierząt Kaczyńskiego, która nie spodobała się na wsi, oraz nastąpiła zapaść pandemiczna. Ludzie widzieli na ulicach sznury karetek pogotowia, które nie mogły wepchnąć pacjentów do szpitala z braku miejsc. A telewizja Kurskiego im tłumaczyła, że rząd sobie świetnie radzi.

Wtedy to krzywe się przecięły i liczba niefnych zaczęła górować nad tymi, którzy TVP wierzą. Flagowy program informacyjny TVP miał w zeszłym roku około 2,4 mln widzów. Już w 2016 roku widownia „Wiadomości” spadła z 3,4 do 2,7 mln. Za to właśnie wtedy – choć najzacieklejsi zwolennicy populistycznej prawicy od lat uważali ją za „gwiazdę śmierci” – potężnie zbudowała się TVN24, dystansując TVP Info.

Jednocześnie PiS dysponuje elektoratem rządu 7,5 mln (wybory 2023) do 8,1 mln (wybory 2019 r.) Jak można sądzić, że TVP mogła mieć wpływ na wynik ze swoimi 2 mln z kawalkiem? Telewizję państwową oglądał twardy wyborca, który i tak by poparł partię Kaczyńskiego, choćby się waliło i paliło.

Natomiast toporność propagandy, brutalne ataki na opozycję odstręczały co bardziej letnich sympatyków prawicy i niezdecydowanych oraz potężnie mobilizowały elektorat anty-PiS, walnie przyczyniając się do zwy-

cięstwa opozycji. Wskazuje na to rekordowa frekwencja w wyborach – 74 proc.

Autorzy raportu na dowód swoich tez cytują dane: „Pierwszy raz w historii frekwencja w ostatnich wyborach w grupie wiekowej najwieńszych widzów TVP, czyli 60+, była niższa niż grupie 18-29! Szczegółowe dane porażają: frekwencja wśród seniorów w 2019 wynosiła 66,2 proc. i była o 5 punktów proc. wyższa niż średnia i o aż 20 pp. wyższa niż w grupie 18-29 (46,4 proc.). Poparcie dla PiS wśród seniorów wyniosło wtedy aż 56 proc., a wśród młodych zaledwie 26 proc.”. I dalej: „Polska wschodnia i południowa oraz seniorzy to geograficznie i demograficznie bastiony najwieńszych widzów TVP pokrywające się z bastionami PiS, i jeśli uznać, że oferta partii rządzącej mieściła się w tych wyborach w wariancie normy to tąpnięcie nastąpiło właśnie tutaj: w medialnym przekazie, narracji i niezdolności mobilizacji własnych widzów przez Telewizję Polską” – przekonują, jak podaje Onet, autorzy w następnym rozdziale.

Ale te wyliczenia są niewiele warte. Opierają się na procentach, a nie liczbach bezwzględnych. Przypomnijmy: frekwencja w wyborach parlamentarnych w 2019 r. wyniosła blisko 62 proc. – 18,6 mln osób, w tym na PiS głosowało 8,1 mln Polaków

Frekwencja w wyborach w zeszłym roku wyniosła 74,38 proc. – 22 mln osób, w tym na PiS głosowało 7,6 mln osób. Nawet jeśli PiS przytrzymałby przy sobie te pół miliona wyborców, to i tak nie dałoby mu to władzy, nawet w koalicji z Konfederacją. Po prostu mobilizacja anty-PiS, której generalnie nie wyłapywały sondaże, przeszła wszelkie oczekiwania. Czynniki drugi to ten, że w czasie pandemii covid-19 Polska była jednym z krajów z najwyższą liczbą ponadwymiarowych zgonów – a umierali głównie wyborcy PiS. Owszem, Kurski ma rację, stwierdzając, że wzrosty frekwencyjne nie rozłożyły się proporcjonalnie, jeśli chodzi o geografie i demografię. Zawiodła ściana wschodnia i seniorzy. Ale mimo to PiS – wobec takiej mobilizacji ludzi przeciwko niemu – nie miał szans utrzymać władzy.

Tezy o tym, że TVP miała jakiś istotny wpływ na mobilizację wyborców PiS, można by stawiać, gdyby różnica między obozem Kaczyńskiego a opozycją demokratyczną była niewielka. Tymczasem chodzi o przewagę 4 mln głosów. Na tę część dokumentu można więc machnąć ręką. PiS nadal nie rozumie wielkiej mobilizacji społecznej, która miała charakter pozapartyjny i działa się niejako równolegle do działań partii politycznych. Przedsiębiorcom i klasie średniej otwierały się portfele. Ludzie nie szczędzili pieniędzy na akcje społeczne, angażowali się jako wolontariusze, choć wcale nie byli członkami żadnej partii. Tak im zależało na zmianie władzy.

To pospolite ruszenie było efektem wielkiego zmęczenia rządami Kaczyńskiego i jego pazernego aparatu. A jeśli do prezesa to nie dociera, to jest dobra wiadomość dla koalicji rządzącej, bo fałszywe diagnozy utrudniają budowanie przekazu na przyszłość.

Lecz w wielu punktach Kurski ma rację. Wśród błędów wymienienia „grzanie »lex Tusk«”, a więc próbę powołania komisji badającej rosyjskie wpływy, która miała atakować Tuska, zakazać mu jako „agentowi” objęcia teki premiera, a może nawet wykluczyć z życia publicznego. Wedle autorów raportu Jacek Kurski miał to przewidzieć. Nie chciał stanąć na czele tej komisji, bo „nie ma ona sensu, gdyż odbuduje Tuska, da mu tlen”. „»Lex Tusk« stał się pierwszym punktem zwrotnym tej kampanii” – twierdzą byli pracownicy TVP. Ale już telewizyjnego serialu „Reset” Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza Kurski nie krytykuje, bo to kolidowałoby to z jego interesami. Nie chce sobie psuć relacji z TV Republika, w której Rachoń teraz urzęduje. Tymczasem „Reset” był organiczną częścią projektu „Lex Tusk”.

Nie chce w jednej wersji raportu. Bo w drugiej autorzy przekonują, że „Tusk wyczuł to rozedrganie TVP, która przestała nad sobą panować. I na zimno to wyko-rzystał”. I przytaczają taki przykład: „Sym-

bolem pogubienia się Telewizji w ostatniej kampanii zostanie briefing Tuska pod siedzibą TAI przy placu Powstańców, w trakcie którego wybiegł z budynku nabuzowany redaktor M. Rachoń i w dość agresywny sposób briefing ten zakłócił. To było zerwanie gwintu w wersji turbo. Ludzie zobaczyli, że TVP po prostu odbiło. Lider PO, który przez 7 lat rządów Kurskiego bał się nawet zbliżyć do TVP a coś dopiero do niej wejść – teraz gdy poczuł krew, słabość i brak planu – przeprowadził skuteczną prowokację u jej progu a wkrótce ten próg przekroczył. Tak kruszał bastion TVP”.

Z raportu wynika też, że błędem miały być i słabe pytania referendalne, i zbyt wczesne ogłoszenie programu 800+. A także przedwyborcza debata TVP. – W finale kampanii, fatalnym rozegraniem debaty, TVP nadmuchało wręcz poparcie dla Hołowni” – piszą autorzy raportu. Według Onetu Hołownię nazywają „plastikowym wytworem komercyjnych mediów”, który był „łatwym celem do medialnej demaskacji”.

Debata TVP w 100 proc. była ustawką propagandową PiS. Prowadzący wygłaszali przekazy partyjne i mieli na to więcej czasu niż uczestnicy debaty. A mimo to nie spełniła swojej roli, ponieważ nastroje społeczne już były zupełnie inne. Ludzie zastanawiali się tylko, którą z partii opozycyjnych wybrać: Donalda Tuska, Szymona Hołownię czy Włodzimierza Czarzastego. Hołownia wypadł świetnie, Trzecia Droga odzyskała wiatr w żagle. Ale tak naprawdę debata nie zmieniła generalnego rozkładu poparcia, jedyne co zrobiła, to mogła nieco przegrupować siły po stronie opozycji. Można oczywiście uznać, że TVP – z punktu widzenia interesów PiS – popełniła błąd, urządzając ją zbyt późno, tuż przed wyborami. Przez co sztab PiS nie miał szansy zdeprecjonować sukcesu Hołowni. Ale do tego też nie przywiązywałabym zbyt dużej wagi.

Kurski atakuje też w raporcie byłego premiera Mateusza Morawieckiego, uznając, że nie powinien być twarzą kampanii. To oczywiście kwestia do dyskusji, natomiast za tym fragmencem nie kryje się dogłębna analiza socjologiczna, tylko zwykła niechęć do frakcji Morawieckiego.

Jednocześnie wrzuca w raport najróżniejsze wątki i postacie, które pisowska wierchuszka uznaje za istotne. „Film A. Holland »Granica« nie był w niczym lepszy, a na pewno w niczym bardziej przekonujący niż »Kler« Smarzowskiego przed wyborami 2018 czy »Polityka« Vegi przed wyborami 2019. Spoty mobilizujące Anty-PiS do pójścia do urn, owszem bardzo obecne, sugestywne i nachalne w tej kampanii, też były zawsze, by przypomnieć choćby słynny spot »Nie świruj, idź na wybory«, z Psoniakiem udającym chorego na umyśle. Owsiak ze swoimi billboardami z antypisowskim hejtem udającym walkę z sepsą, też był prawie zawsze. I to nie działało. Je-

coś, co znacząco zrekompensowało tamte straty, mianowicie pełnoskalowa agresja Rosji Putina na Ukrainę. Potwierdzała ona słuszność diagnoz geopolitycznych oraz polityki zagranicznej PiS, kontrastującą z naiwnością, jeśli nie zdradą PO-PSL” — czytamy.

Nawet jeśli Kurski stwierdza, że decyzja Trybunału Przylębskiej była błędem – za co odpowiada prezes PiS, choć raport nie wskazuje go wprost – zaraz jednak łagodzi, że w sumie to było dawno temu i te straty zostały w zasadzie odrobione. Dlaczego ta teza jest nieprawdziwa? Bo emocje w sprawie aborcji nie osłabły.

Na porażkę PiS, czy precyzyjniej, na wzmożenie przeciwko PiS, wpływ miały takie wydarzenia jak – decyzja Trybunału w sprawie aborcji – piątka dla zwierząt – zapaść w czasie pandemii, z którą rząd Morawieckiego sobie nie radził.

To wtedy, na przełomie 2020 i 2021 roku PiS na trwałe – jak się później okazało – stracił około 8 punktów procentowych.

Jednak po wybuchu afery wizowej nastąpiła zapaść w wewnętrznych sondażach PiS. PiS głosił, że opozycja kłamie, mówiąc o fali pracowników z Azji i Afryki. Ale wystarczyło, aby ludzie rozejrzeli się wokół siebie. Widzieli, że napływ cudzoziemców jest znaczący, dlatego opowieści PiS uznawali za niewiarygodne.

Ale kluczem do porażki PiS jest też wysoka frekwencja w wyborach w zeszłym roku. Co mobilizowało Polaków przeciwko rządowi Morawieckiego oprócz wydarzeń z przełomu 2020 i 2021 roku? Dlaczego poszli gremialnie do wyborów, by wymienić władzę, choć wcześniej byli bardziej bierni? Było tego całkiem sporo.

– kłamstwa i agresywne manipulacje TVP, i za Kurskiego, i za Matyszkowiczę; – przerażenie kobiet widzących konsekwencje wyroku Trybunału Przylębskiej. Ze względu na przypadki śmierci ciężarnych kobiet do ludzi docierało, że zmiana

Do Kaczyńskiego nie dociera, że pospolite ruszenie wyborców przeciwko PiS było efektem wielkiego zmęczenia rządami jego i jego pazernego aparatu. To dobra wiadomość dla koalicji rządzącej, bo fałszywe diagnozy utrudniają prezesowi przekazu na przyszłość

śli zadziałało teraz to nie z powodu nadzwyczajnej sprawczości opozycji, czy jakiejś mitycznej fali tylko z apatii, rozszczelnienia, rozhermetyzowania siły przekazu TVP. Druga strona poczuła krew i wykorzystując demobilizującą słabość Telewizji — wbiła się pomiędzy obóz rządzący i wyborców PiS. A mobilizacja zawsze, zwłaszcza w trudnych momentach, zależała w największej mierze od Telewizji” — analizują ludzie Jacka Kurskiego w rozdziale „Nie było fali”.

Ten agresywny język raportu też jest elementem psychologicznej zagrywki, by oblaskawić prezesa, który taką retorykę lubi.

„Prawdą natomiast jest, że jesienią 2020 r., w wyniku dwóch błędnych posunięć, tj. tzw. Piątki dla zwierząt oraz wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, nastąpiło dość długie tąpnięcie poparcia dla PiS zarówno w segmencie wyborców tradycyjnych, jak i centrowych, w szczególności kobiet. Prawdą też jest nieuchronne zużycie się władzy po prawie ośmiu latach rządów. Zdarzyło się jednak

Poza tym minęło zbyt wiele czasu od momentu wybuchu wojny w lutym 2022 roku do wyborów w październiku 2023, aby emocja mobilizacyjna i patriotyczna się utrzymała. Tym bardziej, że nastroje proukraińskie słabły, szczególnie na wsi, z powodu obaw przed konkurencją ukraińskiej żywności. PiS w sprawie Ukrainy próbował zmienić kurs na ostatniej prostej, aby przyciągnąć wieś, ale było już za późno. Błędy popełnione przez ministra rolnictwa Henryka Kowalczyka miały długofalowe skutki. Rolnicy zatrzymali zboże w magazynach, bo Kowalczyk im mówił, że ceny pójdą w górę. Stało się na odwrót. Napływ ukraińskiego zboża pogorszył nastroje na wsi, gdzie PiS miał duże poparcie.

To, co demobilizowało elektorat PiS, to afera wizowa, a głównie ujawnienie przez opozycję liczb związanych ze sprowadzeniem do Polski setek tysięcy obywateli Azji i Afryki. To zneutralizowało przekaz straszący Polaków imigrantami i siłę referendum, które – samo w sobie z punktu widzenia politycznego marketingu – nie było złym pomysłem.

przepisów gwałtownie podniosła ryzyko błędu lekarskiego w skrajnych przypadkach;

– rozpasanie aparatu, nepotyzm na niespotykaną skalę i wypompywanie pieniędzy publicznych do kieszeni działaczy PiS;

– pogłębiający się konflikt z Unią Europejską i zablokowanie pieniędzy z KPO, gdy inne kraje już od dawna korzystały z tych funduszy;

– pogorszenie warunków życia wielu rodzin ze względu na wysoką inflację;

– „Nowy Ład” Mateusza Morawieckiego, który uderzył w małe firmy;

– Lex Tusk;

Ale Kurskiemu prawda o przyczynach porażki nie jest do niczego potrzebna. On ma inny cel. Wskazać znów na falę w partyjnym otoczeniu Nowogrodzkiej. I to akurat może mu się udać.

Tym czy innym sposobem. Bo w korytarzach na Nowogrodzkiej mówi się, że „Kura” próbuje prezesa niby oblaskawić, ale tak naprawdę chce go szachować: jeśli nie dostanie miejsca na liście do europarlamentu, to zaczną się kompromitujące przecieki do mediów o politykach PiS. ●

Koniec celibatu?

Księżę, zakochaj się

- CZYŻ

Dlaczego mielibyśmy stracić młodego człowieka tylko dlatego, że chce się ożenić

Arcybiskup Charles Scicluna, metropolita Malty i sekretarz pomocniczy Dykasterii Nauki Wiary, dawnego Świętego Oficjum (czytaj: inkwizycji) udzielił wywiadu pismu „Times of Malta” w którym stwierdził, że Kościół powinien bardzo poważnie rozważyć zmianę swoich zasad, aby móc umożliwić księżom zawieranie małżeństw – donosi kwartalnik „Więź”.

„Dlaczego mielibyśmy stracić młodego człowieka, który byłby świetnym księdzem, tylko dlatego, że chce się ożenić? Straciliśmy dobrych księży tylko dlatego, że wybierali małżeństwo” – zaznaczył hierarcha. „Celibat był opcjonalny przez pierwsze tysiąclecie istnienia Kościoła i powinien ponownie stać się opcjonalny”.

Dodał jeszcze, że „mężczyzna może dojrzewać, angażować się w związki, kochać kobietę. W obecnej sytuacji musi wybierać między nią a kapłaństwem, a niektórzy księża radzą sobie z tym, potajemnie angażując się w związki” – i podkreślił, bez owijania w bawelnę, że „to globalna rzeczywistość”.

Wezwanie arcybiskupa Malty do debaty na temat celibatu podjął tygodnik „Niedziela”.

Redaktor naczelny ks. Jarosław Grabowski już we wstępniku pisze: „Postanowiliśmy o sensie celibatu porozmawiać z kapłanem z wieloletnim doświadczeniem – o. prof. Jackiem Salijem, dominikaninem. Zapytaliśmy go najpierw, co sądzi o tym w kółko powtarzanym argumentie, że celibat jest wbrew naturze, zwłaszcza męskiej. Znany ze swego poczucia humoru zakonnik odparował: Na szczęście nigdy nie słyszałem zarzutu, że Tadeusz Kościuszko, Juliusz Słowacki i Cyprian Kamil Norwid żyli niezgodnie z ludzką naturą, bo nie założyli rodziny”.

Nie rozumiem, jak to możliwe, że profesor Jacek Salij nie może zrozumieć, że niezałożenie rodziny i celibat to nie są synonimy. Nikt nie musi brać ślubu, aby móc uprawiać seks. I wydaje mi się, że tak tęga głowa, jak głowa księdza profesora, powinna mieć świadomość, że używa argumentu na poziomie przedszkolaka.

Ale to nie wszystko, bo ksiądz profesor Salij dalej mówi tak:

„Ta trwająca wciąż burza wokół celibatu bierze się, jak sądzę, z braku akceptacji tego, że chodzi w nim o postawę, o wybór, o >>dar z siebie<<. Ten rodzaj dobrowolnego poświęcenia jest niezrozumiały dla świata. Radykalna gotowość na całkowitą zależność od Boga, którego pokochało się całym sercem i któremu powierzyło się wszystko, także marzenia o miłości, zaciśnięcie domowym, rodzinie, budzi co najmniej zdziwienie”.

Rzeczywiście budzi zdziwienie! Nie mogę się wprost nadziwić, gdy myślę o tej „postawie”, „wyborze”, „darze z siebie”, „dobrowolnym poświęceniu niezrozumiałym dla świata”, a w pamięci mam historię księżowskiej gejowskiej orgii na plebanii w Dąbrowie Górniczej.

Nie mogę się też nadziwić, gdy myślę o zdymisjonowanym przez Watykan arcybiskupie Andrzeju Dziędze, który latami krył księży pedofili, w tym Andrzeja Dymera, którego „radykalna gotowość na całkowitą zależność od Boga, którego pokochał całym sercem i któremu powierzył wszystko, także marzenia o miłości”, nie przeszkodziła, a może nawet pomogła zgwałcić dziesiątki, jeśli nie setki dzieci i nastolatków.

Dobrze, że „Niedziela” bierze się wreszcie za poważne tematy, którymi żyje współczesny Kościół. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby jego redaktorzy i księża profesorowie dobrze się do nich przygotowali. ●

Magdalena Czyż



„Celibat. Opowieści o miłości i pożądaniu” – książka reporterska Marcina Wójcika dostępna na Kulturalnymyśle.pl i w formie e-booka na Publio.pl

PREZENT DLA ROSYJSKIEGO WYWIADU

Wśród protestujących w słusznej sprawie łatwo umieścić prowokatorów

**Z HISTORYKIEM, BADACZEM
PROPAGANDY PIOTREM OSEKĄ
ROZMAWIA MIROSŁAW MACIOROWSKI**

Protesty polskich rolników to prezent dla Rosji, powiedział pan w Radiu TOK FM. – Bo tworzą podatny grunt do lansowania antyukraińskich hasel przez rosyjską propagandę. Moim zdaniem na takie sytuacje Rosja przygotowywała się, jeszcze zanim najechała Ukrainę. Wymagałoby to gruntownych studiów, ale pewne zjawiska widać już z powierzchni obserwacji.

Śledzę na platformie X konta szczególnie aktywne i agresywne w stosunku do Ukrainy, a jest ich naprawdę mnóstwo. Były zakładane w kilku falach: jesienią 2021 r., czyli jeszcze przed wojną, gdy wciąż trwały negocjacje między Zachodem a Rosją, która propagandowo przygotowywała agresję; potem w lutym 2022 r. – tuż przed atakiem, i wreszcie już w jego trakcie. Wcześniej takie konta powstawały np. w czasie pandemii. Wygląda to jak fale naboru nowych trolli internetowych, co i w tej chwili można zaobserwować. Podają treści antyukraińskie, antyeuropejskie, antyamerykańskie, a wcześniej antyszczepionkowe.

To budzi podejrzenia graniczące z pewnością, że Rosja te treści wytwarza i finansuje.

Trolle w internecie działają powszechnie, ale czy Rosja może podejmować bardziej bezpośrednie działania? Na proteście rolników pojawił się haniebny plakat wzywający Putina do zrobienia porządku z Ukrainą i UE. Głupi wybryk czy celowe, sterowane działanie?

– Podejrzewam, że to nie był tylko wybryk. Takie działania znajdują się w arsenale rosyjskich służb. Warto przyrzeć się zdjęciom z tych protestów – wśród ich uczestników prócz prawdziwych rolników widać działaczy politycznych zbliżonych do skrajnie prawicowych ugrupowań.

Zresztą sami rolnicy skarżą się, że ich protest ktoś próbuje wykorzystać.

– Bo nagle widzą obok siebie ludzi widocznych od dawna w przestrzeni publicznej, nawet w parlamencie, co do których istnieje domniemanie, że działają na rzecz Rosji. Mówią rzeczy, które są jej na rękę: że Ukraina jest krajem wrogiem Polsce i że powinniśmy się od niej trzymać z daleka. Że Polskę czeka zalew zdegenerowanych zjawisk płynących z Zachodu. Że Europa chce nas wynarodowić i zniszczyć chrześcijaństwo. Rantem jest więc przynależność do wspólnoty państw konserwatywnych, a takim państwem jest oczywiście Rosja. Tam żadne parady równości nie mają wstępu.

Ci ludzie kręcą się wokół protestów i oczywiście działają umiennie, raczej za kulisami, bo gdyby udowodniono im, że biorą pieniądze od Rosji, toby już siedzieli.

Rosja z pewnością u nas działa. Ale musimy też patrzeć na fakty: Unia zniosła cła na ukraińskie zboże, a produkcja rolna w Polsce stała się nieopłacalna. Rolnicy

po prostu walczą o swój interes, który został niewątpliwie został naruszony.

– Oczywiście, bo nigdy nie jest tak, że można całkowicie wykreować frustrację. Niezadowolenie rolników jest niewątpliwie autentyczne, tylko że do ich prawdziwych problemów dopisywane są fałszywe tłumaczenia. Odróżnić jedno od drugiego jest trudno, a wyjaśnienie ich kłopotów hasłem: „Rolnicy, macie tak źle przez Ukraińców”, jest wygodne i łatwo się przyjmuje.

Dlaczego?

– Ukraińców każdy widzi, bo jest ich w Polsce dużo, a ich kraj jest tuż za miedzą. Ukraińskie zboże rzeczywiście się u nas pojawiało, chwilami było go sporo, zwłaszcza we wschodniej Polsce. Obecność u nas Ukraińców i ich produktów rolnych to więc namacalne fakty. Natomiast globalne rynki, które tak naprawdę decydują o cenach płodów rolnych, są abstrakcyjne, nie można ich dotknąć ani zobaczyć. Winnego własnych nieszczęść łatwiej zdefiniować, gdy jest pod ręką.

Występuje też zjawisko, które nazywam mechanizmem wzgardzonej krzywdy. Ono działa przy różnych okazjach, było widoczne podczas kryzysu uchodźczego i do pewnego stopnia działa w przypadku Ukrainy. Wielu Polaków pospieszyło Ukraińcom z bezinteresowną pomocą, ale część poczuła się w swojej krzywdzie wzgardzona: oni dostają wsparcie, a my nie; nam też jest ciężko, też mamy w życiu pod górkę, ale teraz już nikt tego nie dostrzeże, bo wszyscy patrzą na Ukraińców.

Mechanizm wzgardzonej krzywdy jest bardzo silny i łatwo można go stymulować. Grupy społeczne, które czują się gorzej traktowane, wykluczone, unoszą się gwałtownym gniewem, kiedy władze pomagają komuś innemu, choć przecież one też cierpią i w swoim mniemaniu bardziej zasługują na wsparcie.

To recepta na furię społeczną, którą w dodatku łatwo podsyć.

Warszawski protest we wtorek był jednak spokojny, wręcz kulturalny.

– Tak, ale wcześniejsze wydarzenia, choćby ten plakat na traktorze czy radykalna forma protestów w Brukseli, pokazują, jak łatwo to zmienić. Do Warszawy rzeczywiście przybyło bardzo wielu rolników, ale przecież nie ma jednej organizacji rolniczej. To społeczność mocno rozproszona, co ułatwia podsycanie emocji. Ludzie przyjeżdżają z różnych stron kraju, nie znają się, na pikiecie może przyjść każdy, wśród protestujących w słusznej sprawie łatwo umieścić prowokatorów, którzy będą wznosić radykalne hasła.

Rosja na pewno takich ludzi w Polsce ma i pomaga ukierunkowywać przekaz podczas manifestacji. Podrzucają rolnikom antyukraińską i antyunijną narrację jako schemat interpretowania rzeczywistości.

A przecież napływ ukraińskiego zboża i produktów rolnych do Polski nie jest już tak duży jak w zeszłym roku, zbliża się do poziomu sprzed wojny. Część towarów jedzie transferem przez Polskę, część opuszcza Ukrainę przez Morze Czarne i Rumunię. Pamiętajmy też, że sporo pólów Ukraińcy stracili, bo ich pola zostały zniszczone albo leżą na okupowanych terenach i są eksploatowane przez Rosjan.

Ukraińców boli, że są obwiniani za nieszczęścia polskich rolników, choć to przecież Rosja najmocniej wpływa na rynki. Bez przeszkód handluje z połową świata albo

nawet z trzema czwartymi. Wysyła zboże do Afryki, na Bliski Wschód i do Azji. Stosuje dumpingowe ceny, żeby rozregulować rynek międzynarodowy. Finansowo na tym straci, ale politycznie jej się to opłaca, ponieważ wywołuje destabilizację społeczną. Żeby tak się nie działo, należałoby skutecznie zablokować Rosji szansę eksportu, ale to po prostu niemożliwe.

Jednak rosyjskie zboże dociera nie tylko do Afryki czy na Bliski Wschód, lecz także na rynek europejski. Unia nie ma na to recepty, więc w oczach rolników zawodzi.

– Unii generalnie nie udaje się w pełni egzekwować sankcji nałożonych na Rosję. Przecież jeśli nagle dziesięciokrotnie wzrasta zachodni eksport do Kazachstanu półprzewodników czy sterowników przemysłowych, to nie dlatego, że w tym kraju nagle wzrosło ich wykorzystanie – one po prostu jadą stamtąd do Rosji. Nieszczelność blokad i brak wystarczająco skutecznych rozwiązań jest problemem ogólnoswiatowym.

Jeśli chodzi o zboże, to gdy cena na światowych rynkach spada, leci też w Europie i w Polsce, bo to naczynia połączone. Nie da się handlować zbożem drożej w Europie, kiedy ono tanieje na świecie, a na to właśnie wpływa Rosja. Unia ma więc w pewnym sensie związane ręce.

Sama sobie też je trochę związała Zielonym Ładem. Poprzednia ekipa rządząca w Polsce przyjęła go bezkrytycznie, nie negocjując szczegółów, jak uczyniły inne państwa. Dopiero teraz, gdy w Europie trwają protesty, coś zaczyna się zmieniać, m.in. ostre ograniczenia stosowania pestycydów.

– Tak to działa w Unii, że decyzje zapadają na drodze długotrwałych ustaleń i konsultacji, ale ich korekta również. Prawdopodobnie te protesty skończą się jakąś formą dodatkowych rekompensat, co zapewne ostudzi gorące nastroje. Mamy przednówek, niewiele się dzieje, ale zaraz rozpocznie się cykl rolny i protesty zaczną przygasać.

Na razie na naszej granicy wschodniej jednak wciąż gorąco.

– Trzeba zadbać, żeby nie była już blokowana. Donald Tusk powiedział, że przejścia graniczne stają się infrastrukturą krytyczną, ale blokady wciąż się na nich pojawiają. Polskie władze nie działają zdecydowanie, a przecież na granicy mamy wręcz rokosz szlachecki. Ukraińskie media piszą, że co prawda rolnicy przepuszczają samochody osobowe i autokary, ale ciężarówki tylko co jakiś czas, i to po sprawdzeniu ich ładunków, co jest niebezpieczne.

Dlaczego?

– Takie samowolne kontrole są prezentem dla rosyjskiego wywiadu. Przez przejścia jadą

przecież nie tylko ludzie w autokarach i autach osobowych, ale też transporty wojskowe. Do tychczas Rosjanie pozyskiwali informacje zapewne od agentów robiących gdzieś ukradkiem zdjęcia albo z obrazu satelitarnego. Widzieli tylko pojazdy zamknięte lub zakryte plandeką, więc mogli się tylko domyślać, co wiozą. A gdy podczas blokady wszystkie ciężarówki są sprawdzane, wystarczy, że jeden człowiek wśród pikietujących będzie agentem i już Rosjanie wiedzą, co, gdzie i skąd jedzie, i jeszcze którymi przejściami. Nie wierzę, że taki człowiek się nie znajdzie. Rosja wie, że to nasze miękkie podbrzusze i warto w takie działania inwestować.

Rząd próbuje dogadywać się z protestującymi, ale boi się radykalnych działań, bo zaraz będą wybory samorządowe.

Czy na dłuższą metę wojnę da się skutecznie prowadzić w taki sposób? Z jednej strony rosyjska gospodarka przestawiona na tryby wojenne i dyktator, który u siebie z nikim się nie liczy, a na zewnątrz stosuje metody przestępcze. A z drugiej – Zachód, gdzie proces decyzyjny podlega demokratycznym mechanizmom, które go spowalniają.

– Sądzę, że im dłużej wojna trwa, tym większa szansa na odwrócenie jej losów na korzyść Ukrainy i Zachodu. Putin wytraci impet – przecież już obecny wysiłek zbrojny okazuje się krytyczny dla Rosji. Każdy kolejny miesiąc wojny, jakkolwiek źle to zabrzmiał, jest dobrą wiadomością dla Europy, choć oczywiście złą dla Ukrainy, która krwawi i cierpi.

Putin także uważa, że czas pracuje dla niego. Liczy na destabilizację i zmęczenie Europy.

– Rosja jest teraz w apogeum możliwości zbrojeniowych, polegam tu na opiniach ekspertów. Natomiast potencjał zbrojeniowy Europy dopiero będzie rósł. A jest znacznie większy niż rosyjski. Rosja w pojedynkę jest silniejsza od niemal każdego państwa NATO, ale NATO jako sojusz jest znacznie mocniejsze od Rosji.

Trzeba zdawać sobie sprawę z jednego: dziś to armia ukraińska jest najmocniejszym gwarantem europejskiego bezpieczeństwa. Myślę, że dotarło to już do świadomości europejskiej, jednak cały czas amunicji i uzbrojenia jest za mało, bo ich produkcja dopiero rusza. I być może na Europie spocznie główny ciężar pomocy militarnej dla Ukrainy, bo ze Stanów Zjednoczonych dochodzi coraz więcej sygnałów, że mogą porzucić swoją rolę gwaranta bezpieczeństwa w naszej części świata. ●

Mirosław Maciorowski

Dr hab. Piotr Oseka – historyk, komentator polityczny, analizuje m.in. propagandę. Pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN.

wyborcza magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA	
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Lista do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;	ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielniński; WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzysławski GRAFICY: Tomasz Lebiada (prowadzący, Jakub Piotrowski, Jacek Konarski, Paweł Kapusta) FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44 Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak DRUK: Agora SA Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.  	

Jaką książkę współczesnego niemieckiego pisarza czy pisarki przeczytaliśmy ostatnio, jaki serial obejrzeliliśmy i ile miał on wspólnego z współczesnym Niemcem?

Magdalena Parys

Ostatnio ktoś pod zdjęciem przedwojennego Berlina, które zamieściłam w mediach społecznościowych, napisał, że zjeździł niemal cały świat, ale nie odwiedził dotąd Berlina, ponieważ ze wszystkich miast wydaje mu się on najmniej „frapujący”. Poza tym w czasie wojny został na tyle zniszczony, że nic po nim nie zostało.

Od kilku dni nie wychodzi mi z głowy, że Berlin może być „niefrapujący”.

Niefrapujący. Wiele jest przyczyn, dlaczego dla niektórych Berlin pozostaje „niefrapujący”. Wiele jest przyczyn, dlaczego Polaków nie interesują Niemcy i Berlin. Po pierwsze głęboka niewybaczona dziejowa krzywda, idąca za tym niechęć do języka niemieckiego i oczywiście niezmiennie krążące w polskim społeczeństwie stereotypy chętnie podsycane przez prezesa nie tylko przed wyborami z mównicy sejmowej. Oraz stare, ale jare „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”.

Z pewnością wiele osób teraz gorąco zaprzeczą, ale z ręką na sercu... dlaczego zaprzeczą? Może dlatego, że mieszkają blisko polsko niemieckiej granicy, może dlatego, że córka studiuje germanistykę, może mają brata w Bremen, lub dopiero co spędziła urlop w Bawarii? A może po prostu rzeczywiście tak uważają, lecz mimo to czytają dalej.

Wielu powie, to już było tak dawno temu, wybaczylimy, choć nie zapomnieliśmy, inni dodadzą, że dla młodych to nie ma znaczenia i przyznam im rację. Bo rzeczywiście dla niektórych to nie ma znaczenia. Lecz „niektórzy” nie znaczy „wielu” a „wielu” nie znaczy „wszyscy”.

To prawda, że Berlin z perspektywy Wschodu jako pierwsze wielkie zachodnie miasto jest często przez Polaków odwiedzany. Przyjeżdżają na zakupy lub chcą zobaczyć odbudowany zamek. Lecz co wiedzą o samym Berlinie, co wiedzą o Niemcach?

Ponad dwa miliony. W żadnym innym mieście w Niemczech nie mieszka tylu Polaków co w Berlinie (najwięcej Polaków mieszka w Zagłębiu Ruhry i w Berlinie). Z danych niemieckiego federalnego urzędu statystycznego (stan na 31 grudnia 2021 r.) wynika, że w Niemczech mieszka 870 995 osób posiadających wyłącznie polskie obywatelstwo. Statystyka niemiecka posługuje się także pojęciem tła migracyjnego (Migrationshintergrund) i podaje liczbę osób z polskim tłem migracyjnym w Niemczech na ponad 2 mln. Polacy stanowią drugą – po Turkach – grupę migrantów na terytorium RFN i największą spośród krajów członkowskich Unii Europejskiej – ok. proc. wszystkich obcokrajowców i ok. 18 proc. zamieszkujących Niemcy obywateli UE.

Można byłoby się więc spodziewać, że choćby poprzez stałe kontakty z rodziną, która wyjechała do Niemiec i bliskość (Berlin od Polski dzieli niecałe osiemdziesiąt kilometrów) wiedza o zachodnim sąsiedzie powinna być szersza, głębsza. Tymczasem wciąż pozostaje znikoma. I znów nie mam na myśli „niektórych”, myślę tu o Polakach z Lublina, z Bydgoszczy i z Białej Podlaski, o Polakach z Polski.



• Friedrichstrasse, jedna z najsłynniejszych handlowych ulic w centrum Berlina FOT. SHUTTERSTOCK

SPIDERMEN NIE SKACZE PO WIEŻOWCACH W BERLINIE

Pogłębianiu wzajemnych stosunków nie pomaga też na pewno fakt, że emigrujący Polacy starają się nie wyróżniać w nowym kraju. Profesor Peter Oliver Loew, dyrektor ds. nauki Niemieckiego Instytutu Kultury Polskiej w Darmstadt napisał na ten temat w 2014 roku niezwykle ciekawą książkę „My niewidzialni. Historia Polaków w Niemczech” (wydanie polskie 2017 r.) Podjął się w niej niezwykle trudnego zadania, bo jak naszkicować całościowy obraz Polaków, którzy emigrowali do Niemiec od wieków? Mimo tych trudności, a może właśnie dzięki nim, wyszła fascynująca lektura.

Peter Oliver Loew opisuje losy Polaków, którzy od stuleci stanowili część społeczeństwa niemieckiego, jednak dopiero po rozbiorach stali się dużą mniejszością w Królestwie Pruskie. Przemiany społeczno-ekonomiczne uruchomiły procesy migracji, w wyniku których między początkiem XIX wieku, a czasami obecnymi osiem milionów Polaków przeniosło się na teren, gdzie przeważała ludność niemieckojęzyczna. Z książki Loewa dowiadujemy się, jak niezwykle zróżnicowaną społeczność tworzą dzisiaj w Niemczech Polacy; są wśród nich wysiedleńcy i późni wysiedleńcy, którzy nie przynajmniej się do tożsamości polskiej, a jednak w domu mówią po polsku – nierzadko w gwarze śląskiej. Są też wysiedleńcy, którzy chcą jak najszybciej zintegrować się ze społeczeństwem niemieckim oraz tacy, którzy starają się pozostać Polakami. Są ludzie, którzy emigrowali z po-

wodów ekonomicznych lub politycznych – część z nich ma obywatelstwo polskie, a część niemieckie. Co roku do Niemiec przybywają setki tysięcy polskich robotników sezonowych. Równolegle żyją tam potomkowie ludzi, których rzuciła do Niemiec II wojna światowa, a także migranci zarobkowi z czasów przedwojennych.

Spiderman. Wiedzę o obcym kraju wynosimy z podróży, książek, filmów, muzyki i literatury. Jestem pewna, że w Polsce wiemy więcej o krajach skandynawskich niż o Niemcach, ponieważ od lat czytamy literaturę skandynawską (nie tylko kryminały). O Czechach wiemy więcej, ponieważ rozpropagował tę wiedzę i wzbudził w nas to zainteresowanie Mariusz Szczygieł. Nowy Jork znamy na tyle dobrze z seriali i filmów, że kiedy po raz pierwszy tam pojedziemy, nic nie wydaje się obce. Czujemy się jak u siebie. Nigdy nie zapomnę, jak nasza kilkunastoletnia córka podczas swojego pierwszego pobytu w Nowym Jorku, mówiła: „Zobacz! Po tym wieżowcu wdrapywał się Spiderman, a tu wysiadł z samochodu Captain American. Za rogiem powinien być bar w którym pił kawę.” I rzeczywiście ten bar tam był. A w hotelu przy Times Square zamieszkaliśmy tylko dlatego, że mój syn i mąż chcieli poczuć atmosferę baru, w którym często przebywał bohater filmu „Birdman”.

A czy jest może coś, co poza Bramą Brandenburską i murem berlińskim, koja-

rzy nam się z naszym sąsiadem zza Odry? Jaką książkę współczesnego niemieckiego pisarza czy pisarki przeczytaliśmy ostatnio, jaki serial obejrzeliliśmy i ile miał on wspólnego z współczesnym Niemcem? Jestem pewna, że padną te same odpowiedzi, co zawsze: „My, dzieci z dworca Zoo” Christane F., „Czarodziejska góra” Tomasa Manna, serial „Babylon Berlin”, ewentualnie jeszcze „4 Blocks”. Tylko wspomnę, że pierwsza książka ma ponad czterdzieści lat, druga dokładnie sto, „Babylon Berlin” opowiada głównie o Republice Weimarskiej, a „4 Blocks” kto wie, czy nie zdobył takiej popularności, bo niekoniecznie opowiada o samych Niemcach.

Nikt tego nie chce czytać. Kiedy przychodzę do polskiego wydawnictwa z literaturą piękną, słyszę: „niemieckie?” Nie, to się nie sprzedaje. Lub: „Polacy nie chcą czytać o Niemcach”. Proponuję więc pasjonującą serię niemieckich kryminałów. Przekonuję, że hanzeatyckie miasto, wartka akcja, książka nagradzana, tłumaczona na wiele języków. A autorka poliglotka, sympatyczna, mądra, gotowa jeździć po Polsce i spotykać się z czytelnikami (wbrew pozorom nie wszyscy autorzy chcą jeździć). Co słyszę? „Niemieckie kryminały się nie sprzedają”. Kiedy wspominam o niemieckich dziennikarzach, których warto zapraszać na festiwal, że jak nikt inny mogą opowiedzieć o tym, co Niemcy czują, co czytają, jak na nas patrzą i jeszcze mówią po polsku, po-

nieważ odbywali staże w polskich gazetach, słyszę od organizatorów: „nie, nie gniewaj się, ale to nie jest dla nas temat.” Jakoś tak się w Polsce dzieje, że Polacy wolą sami mówić o Niemcach, myśleć i wypowiadać się za nich.

Wielu polskich obywateli jeździ na wystawy, festiwale i koncerty do Berlina i na Berlinale, nazywają siebie Europejczykami, mówią o sobie, że są otwarci, że interesują się historią, że czytają współczesną literaturę zachodnią, kiedy pytam ich, czy słyszeli o Wolfie Bieramannie, wybitnym opozycjoniście, songwriterze, poecie, kultowej postaci ruchu oporu w NRD, człowieku dla którego nie znalazłam w Europie Wschodniej jeszcze porównania, na dziesięciu znajomych w Polsce, dziesięciu odpowiada mi, że nigdy o nim nie słyszało (a Biermann to przecież tylko jeden z niezliczonych przykładów).

Skąd mają go znać?

Nikt nie wydał jeszcze jego wierszy, nie zaprosił do Polski na koncert. Nie opowiedział o nim. W kraju, w którym zrodziła się „Solidarność” nie mamy pojęcia o ruchu oporu w NRD. A ponieważ nic o nim nie wiemy, jesteśmy przekonani, że tylko Polacy walczyli z reżimem.

Nie tak dawno „Gazeta Wyborcza” zamieściła długi artykuł o Wolfie Biermannie. Pisałam o fascynującej autobiografii tego człowieka, o tym, że czyta się ją jak polityczny thriller. Odezwali się tłumacze gotowi przetłumaczyć tę książkę, napisali zainteresowani nią czytelnicy, pojawili nawet przyjaciel Biermanna z Polski(!), ale czy książka o wielkim pieśniarzu i bojowniku z Niemiec, kiedykolwiek w Polsce się ukaze? Trudno powiedzieć.

Kto się odważył? Tymczasem wbrew temu co piszę powyżej i wbrew przesowi, który mimo wojny na wschodzie upatruje wroga na zachodzie, głównie w Niemcach, festiwal

je Rávik Strubel. Prestiżową nagrodę Angelus otrzymał w minionym roku we Wrocławiu za powieść „Skąd” niemieckojęzyczny pisarz pochodzenia bośniackiego Saša Stanišić. Wydało ją niewielkie wydawnictwo Książkowe Klimaty.

Często są to właśnie te niewielkie nisze wydawnictwa, zakładane przez tych „niektórych”, o których pisałam na początku felietonu, tych, którzy są otwarci. Chcą ryzykować. Chcą wydawać. Jak powiedziała dyrektorka festiwalu w Sopocie, Joanna Cichocka Gula: „To głównie oni i ich czytelnicy spragnieni tych książek sprawili, że zdecydowaliśmy się poświęcić tę edycję niemieckiej literaturze”

Zawsze na topie. Duże wydawnictwa wciąż stawiają jednak na wielkie nazwiska, najlepiej te, które kojarzą się Polakom dobrze, najlepiej sprzed wojny. W 2020 roku w rodzinie Marleny Dietrich zamieściłam w mediach społecznościowych wpis na temat jej biografii, którą przeczytałam jeszcze jako studentka przed trzydziestu laty. Napisala ją jej córka Maria Riva. Po kilku minutach zadzwoniła komórka. Redaktorka z wydawnictwa Literanova, informowała mnie, że kiedyś się już zastanawiała nad tą książką... Po krótkiej rozmowie, w której przekonywałam, że to jedna z najlepszych biografii, jaką kiedykolwiek czytałam i że musi wydać ją w całości bez skrótów (prawie tysiąc stron) zdecydowała się kupić prawa. Literanova wydała biografię i po trzydziestu latach od amerykańskiego wydania, odniosła olbrzymi sukces. Napisalam o tej książce najdłuższy artykuł w swoim felietonowym życiu, przeprowadziłam wywiad z Marią Rivą. Zanim książka się ukazała, kilka najpopularniejszych portali i gazet w Polsce przekonywało mnie, abym to dla nich, a nie dla Wyborczej pisała artykuł o tej biografii. Pozadrościłam wtedy szczerze Marlenie Dietrich. Martwa czy żywa, zawsze na topie.

Zalajkowałem bohatera

Problem w tym, że Nawalny umarł naprawdę

Marcin Matczak



Nawalny – będziemy pamiętać!”. Mija mniej więcej dziesięć dni od jego śmierci w kolonii karnej i nachodzi mnie myśl, jak to naprawdę jest z tą naszą pamięcią. Dane z Google’a sugerują, że już prawie zapomnieliśmy – nagły skok obecności jego nazwiska w sieci w okolicach 16 lutego, na wykresie widoczny jak znak aktywności serca na zapisie EKG, a potem długa, płaska linia.

Inne fascynacje się pojawiły, inne skandale, które same się przecież nie przeżyją i nie obgadają. Pewnie inne (mniejsze?) śmierci, które też trzeba opłakać. Można dojść do wniosku, że dzisiaj nie tylko żyje się chwilą, ale i chwilą się umiera, przynajmniej jeśli chodzi o ludzką wagę.

Abstrahując od Aleksieja Nawalnego – równie dobrze można by dyskutować pamięć o Papieżu Polaku, Piotrze Szczęsnym czy o Powstaniu Warszawskim. Abstrahując też od poglądów rosyjskiego opozycjonisty i nie chcę wchodzić w dyskusję, czy warto go pamiętać – są ludzie przekonani, że jego odejście od nacjonalizmu w kierunku demokratycznej otwartości było szczere, ale są i tacy, którzy uważają, że było udawane. Nie szczegół życia Nawalnego mnie jednak interesują, ale natura naszego pamiętania i to, czy ono szczere jest, czy udawane.

Sam go podziwiałem, gdy po próbie otrucia wrócił do Rosji. Tak jak zawsze się podziwiał ludzi zaciekle walczących o sprawę przegraną. Ten samobójczo odważny powrót był jak historia z Cervantesa, tylko że z tymi wiatrakami, z którymi walczył Nawalny, wygrać było jeszcze trudniej niż Don Kichotowi, bo te nie wydają się olbrzymami i smokami, ale nimi rzeczywiście są. Taka szaleńcza odwaga zapada w pamięć, bo jest znakiem utkany z samego człowieka, nie z jego pustych słów. Jak jednak tę odwagę będziemy pamiętać w pamięci zachowywać? Co w sumie obiecujemy, gdy na naszych facebookowych ściankach piszemy, że nie zapomnimy i gdy na nasze zdjęcia profilowe nakładamy odpowiednie, choć tymczasowe, nakładki?

Nie chodzi przecież tylko o stan mentalny – o wiedzę, że ktoś był, żył i umarł, taką, którą przyswajaliśmy na historii. Nie chodzi o myślenie tylko – o takie na przykład, na którym oparty jest dziwny internetowy trend, w którym mężczyźni pytani, czy myślą o Cesarstwie Rzymskim, skwapliwie potwierdzają, że tak, a nawet często. Pamięć jako myślenie to chyba za mało. Nasz język rozróżnia przecież rodzaje pamięci. Skoro mamy „pamięć żywą”, to jest więc chyba także jakaś pamięć inna, zwyklejsza – pamięć martwa? Ta z kolei różni się chyba od zapomnienia, które jest brakiem pamięci. Przynajmniej tak nam podpowiada językowa intuicja.

Weźmy jako przykład pamięci martwej ludzi Bąkiewicza i ich pamięć o Powstaniu Warszawskim. „1944 – pamiętam!” na drwiącym rysunkowym komentarzu pokazuje hajlujących prawników i powstańca na wózku inwalidzkim krzyczącego „ch...ja pamiętacie!”. Inny, podobny rysunek – para idących o laskach

kombatantów Powstania mija roslých chłopaków z racami i po cichu mówi między sobą „Jak ktoś hajlował w czterdziestym czwartym, tośmy strzelali”.

Pamięć martwą, będącą zaprzeczeniem ideałów, o których niby się pamięta – mentalnie i zewnętrznie, na pokaz – miała chyba na myśli Wanda Traczyk-Stawska, gdy na Placu Zamkowym wołała do Bąkiewicza „milcz, chamie skończony!”. Jak pamięć sporej części Kościoła o nauczaniu Jana Pawła II, tak duża część pamięci o Powstaniu jest pamięcią nieżywą, niepraktykująca – pamięcią w sensie mentalnym, ale nie behawioralnym.

Czymże więc jest „żywa pamięć”? Taka, która uniknąć może oskarżenia o „virtue signalling” – sygnalizowanie cnoty, o puste gadanie, aby wydać się lepszym? Bo przecież istnieje podejrzenie, że część z nas pisze „Nawalny – będziemy pamiętać!”, bo chce się pokazać, chce być członkiem klubu, w którym wszyscy są fajni i wiedzą, jak się zachować, żeby nie tylko nie stracić (na przykład sympatii), a może nawet zyskać (na przykład politycznie).

Problem w tym, że Nawalny umarł naprawdę i śmiertelnej nakładki nie da się ściągnąć z jego twarzy tak łatwo jak z Facebooka. Nie wolno oczywiście każdego, kto manifestuje pamięć o nim, pośądzać o sygnalizowanie cnoty. To zbyt prosta zagrywka i zbyt częsta współcześnie, gdy powszechny cynizm uwielbia mieszać rzeczy cenne z błotem. Nie zmienia to faktu, że jakoś pamięć żywą trzeba odróżnić od martwej, a obie od zapomnienia.

Ala jak to zrobić? W „Modlitwie Dantego” Loreeny Mckennit idący przez ciemną noc bohater z uporem woła do Boga „proszę, pamiętaj mnie”. Nie prosi przecież w ten sposób tylko o obecność w czymś umyśle, o stan mentalny, ale o wiele więcej – o troskę, a więc o jakieś działanie, o ruch, który jest potrzebny, by coś ocalić. Prosi o pamięć żywą, nie martwą.

Pamięć żywa jawi się nam więc nie jako stan w naszej głowie, ale działanie. Ale jak działać, żeby żywo pamiętać o kimś, kto sprzeciwiał się potężnemu tyranowi – czy będzie to Putin, jak w przypadku Nawalnego, czy Hitler i Stalin, jak w przypadku powstańców? Może to nas właśnie zwalnia z rzeczywistego pamiętania, bo wydaje nam się, że albo historycznie, albo geograficznie tych tyranów wokół nas nie ma?

Tymczasem Madeleine Albright współczesną książkę o faszyzmie dedykuje wszystkim, którzy zwalczają faszyzm „w innych i w sobie”. I to jest chyba dobry kierunek żywego pamiętania o Nawalnym. Zwalczając faszyzm – czyli tę pewność, że ma się absolutną rację i dlatego można ją siłą narzucić innemu. Zwalczając przekonanie, że głosu innych nie trzeba wysłuchiwać, więc z tą demokracją w domu, w szkole i państwie nie ma co przesadzać. Nie podzielać fascynacji siłą, która potrafi literalnie albo metaforycznie masakrować – nie podzielać pogardy dla rozmowy, dyplomacji, negocjacji. Robić wiele innych rzeczy, które odróżniają antyfaszystowską pamięć żywą od antyfaszystowskiej pamięci martwej.

Żeby nikt nam kiedyś nie musiał powiedzieć jak powstańczy chłopakom od Bąkiewicza – „ch...ja pamiętacie!”. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w do- brych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

Pozazdrościłam szczerze Marlenie Dietrich. Martwa czy żywa, zawsze na topie

Literacki Sopot poświęcił ubiegłoroczną edycję literaturze niemieckiej i Niemcom. I oto festiwal okazał się niebywałym sukcesem, przyciągnął tłumy z całej Polski. Przyjechali nawet Polacy mieszkający w Niemczech. Dlaczego? Bo jednak budzi się w Polsce zainteresowanie Niemcami. Bo jednak ci, którzy zaryzykowali i wydali w Polsce niemieckie powieści, odnoszą sukcesy.

Kto się odważył? Na przykład wydawnictwo Otwarte, które w 2022 roku opublikowało książkę niemieckiej autorki Mariany Leky „Sen o Okapi”. W powieści nie było słowa o wojnie, a jednak napisała ją niemiecka pisarka z Westerwald i właśnie tę powieść pokochali Polacy. Przyznam, że jest to jedna z najpiękniejszych książek, jakie czytałam ostatnio. Idąc za ciosem w zeszłym roku wydano nawet felietony Mariany Leky w formie książkowej, co wbrew pozorom nieczęsto się zdarza w Polsce. Wydawnictwo Czarne opublikowało przejmującą książkę niemieckojęzycznej pisarki Zsuzsy Bánk „Śmierć przychodzi latem”. W Wydawnictwie Poznańskim ukazała się kolejna pozycja wybitnego historyka i dziennikarza Haralda Jahnera, „Rausz. Niemcy między wojnami”. Marginesy wydały komiks Arne Yyscha „Złoty Berlin”, historię znaną już polskim widzom z serialu „Babylon” – jednak ten komiks zasługuje na szczególną uwagę, bo opowiada znaną historię nieco inaczej. Pauza wydała powieść niezwykle cennej i nagradzanej niemieckiej pisarki „W lasach ludzkiego serca”, Ant-

Nie inaczej w przypadku Tomasza Manna. Jestem pewna, że gdyby odnalazł się niespodziewanie jakiś jego zapomniany maszynopis, natychmiast rozgorzałaby zaciepla walka między wszystkimi polskimi wydawnictwami o prawa do wydania. Polskie wydawnictwa lubią to, co w Niemczech ukazało się i zdobyło sławę przed 1933 rokiem. Tak jak polscy podróżnicy, oni też lubią Berlin sprzed 1933 roku, wtedy jeszcze według nich „frapujący”.

P.S.

I stało się to, co nieuchronne, kiedy piszę o Niemcach. Rozpisałam się tak bardzo, że nie starczyło miejsca na felieton. Wszystko, co napisałam powyżej, jest za ledwie wstępem. W dalszej części, której tu nie przeczytacie, zachęcam tych, którzy uważają Berlin za niefrapujący, do odwiedzenia go i przyjrzeniu się temu, co powstało w nim po 1945 roku. Wybrałam budynek, który zbudowano w 1957 roku. Za wzór posłużył projekt polskiego architekta mieszkającego w Stanach Zjednoczonych. Wiąże się z tym niezwykła historia. Zdradzę tylko, że doszło w nim do incydentu, który wciąż rozpala fantazję wielu autorów francuskich i niemieckich. Niestety nie polskich. Nic o tym nie wiemy, bo niby skąd? Nikt o tym nie pisał, nikt tego nie wydał. Obiecuję, że w następnym felietonie będzie prawie bez wstępów i opowie o tym. Auf Wiedersehen! Cdn. ●

Centralny Port Kontrowersyjny

Zwolennicy CPK od pięciu lat malują obraz tej inwestycji w jasnych (biało-czerwonych) kolorach. Przeciwnicy wskazują same ciemne strony. Ale prawdę, jak zawsze, najlepiej widać w odcieniach szarości.

Wawrzyniec Świąciecki

Wszyscy są zgodni, że w porównaniu do krajów Europy Zachodniej Polska jest zapóźniona infrastrukturalnie i potrzebuje poważnych inwestycji w transport. Jednak po ogłoszeniu przez rząd Beaty Szydło w 2017 r. założeń programu CPK pojawiły się liczne głosy krytyczne wskazujące mankamenty przyjętych rozwiązań.

Oglądowi sprawy nie pomogło upolitycznienie projektu,

który stał się flagowym przedsięwzięciem rządzącego PiS. Kwestie merytoryczne: ekonomiczne, biznesowe czy społeczne musiały ustąpić argumentacji godnościowej o „polskiej racji stanu”. Propagandowa retoryka wstawania z kolan i forsowanie projektu z buta, na zasadzie „bo możemy”, wizerunkowo skleiły CPK z politycznymi przedsięwzięciami w rodzaju przekopu Mierzei Wiślanej.

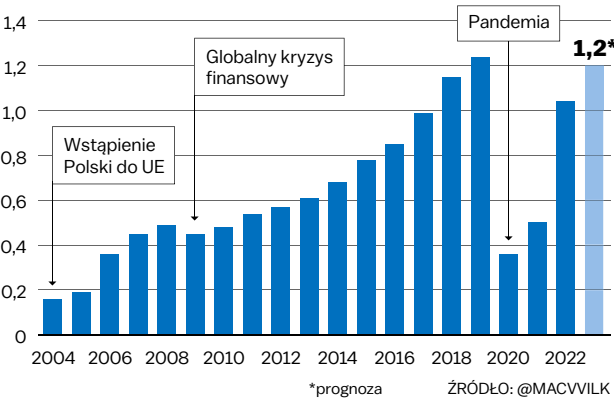
Wobec wielu poważnych wątpliwości i potencjalnych nieprawidłowości związanych z prowadzeniem projektu, nowy rząd wstrzymał prace i ogłosił audyt. Wyniki mają być ogłoszone pod koniec pierwszego kwartału tego roku.

Najprawdopodobniej projekt będzie kontynuowany po dokonaniu niezbędnych korekt związanych z urealnieniem skali, harmonogramu i kosztów.

Polacy rozwijają skrzydła

Od momentu wejścia Polski do UE i strefy Schengen z roku na rok rośnie liczba Polaków podróżujących samolotami. Oprócz otwarcia granic w dużej mierze przyczynił się do tego rozwój tanich linii lotniczych.

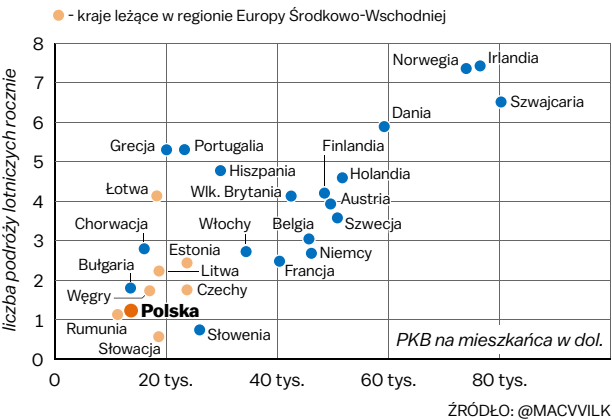
Liczba podróży lotniczych na osobę rocznie w Polsce



Bogaci latają częściej

Polacy latają średnio trzy razy rzadziej niż bogatsi mieszkańcy Europy Zachodniej. Należy się jednak spodziewać, że w miarę wzrostu poziomu zamożności za dziesięć, dwadzieścia lat będziemy latać po świecie tak samo często.

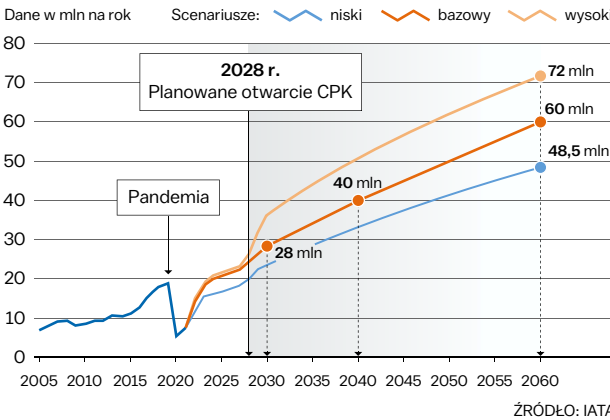
Liczba podróży lotniczych rocznie a PKB na mieszkańca



Apetyt rośnie w miarę jedzenia

Z danych Stowarzyszenia Ekonomiki Transportu wynika, że w 2022 r. na polskich lotniskach odprawiło się prawie 41 mln podróżnych. Prognozy na 2040 r. zakładają 85 mln odpraw, czyli ponad 100-proc. wzrost w ciągu 18 lat.

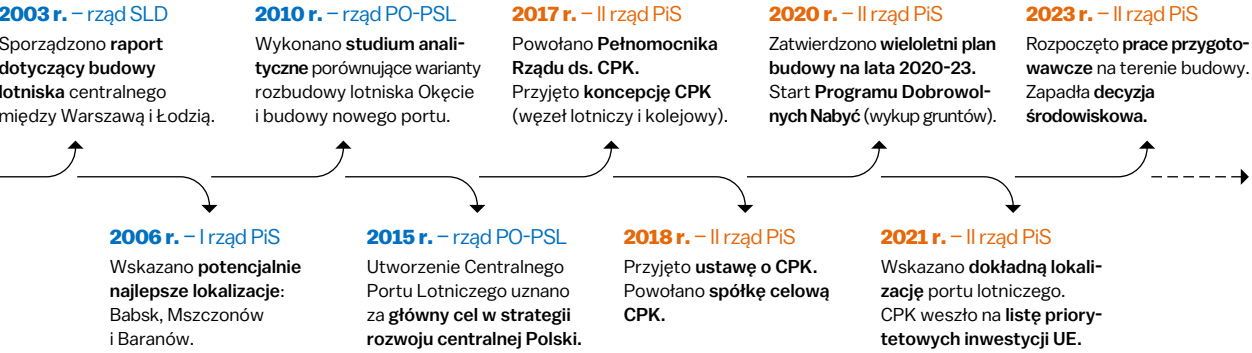
Prognozowana liczba pasażerów na lotnisku CPK



Pomysł ponadpartyjny

Centralny port lotniczy to jeden z nielicznych projektów, który mógł stać się ponadpartyjny. Pomysł pojawił się jeszcze w PRL-u w latach 70. Wrócił do niego rząd Leszka Millera już w wolnej Polsce. Kolejne rządy z różnych stron polskiej sceny politycznej

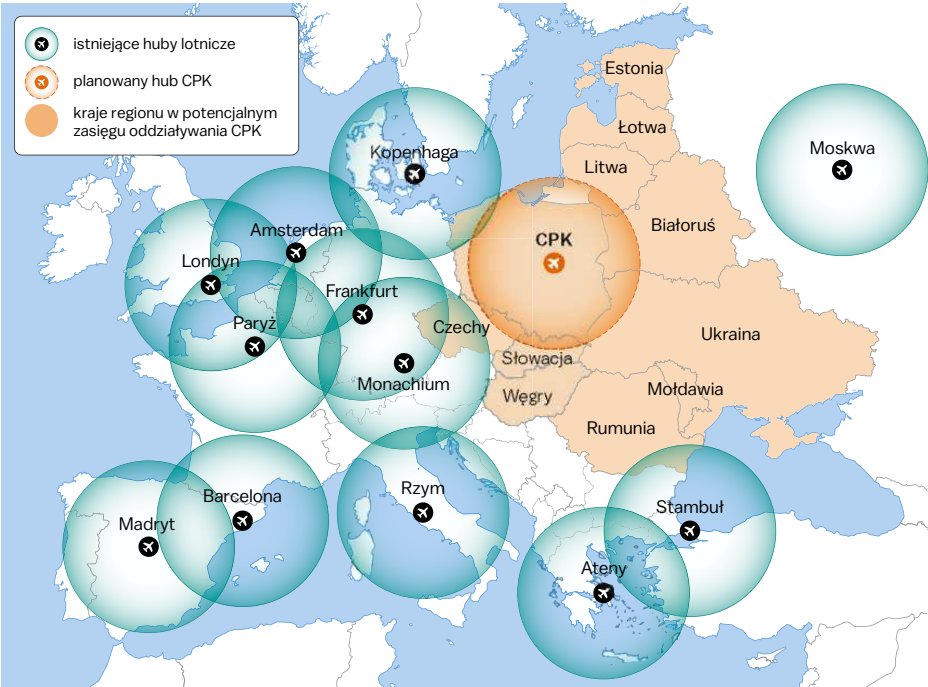
kontynuowały prace nad tą koncepcją. W 2016 r. projekt CPK został wybrany przez PiS na sztafardową inwestycję rządu. Budowę megalotniska połączono z rozbudową linii kolejowych, tworząc gigantyczny projekt na miarę ambicji rządzących.



Potencjał geograficzny Polski

Polska leży w sercu Europy Środkowo-Wschodniej, na przecięciu szlaków ze wschodu na zachód i z północy na południe kontynentu. Dogodne położenie sprawia, że nasz kraj jest ważnym centrum dystrybucyjnym w tej części Europy. Dzięki zrealizowanym w ostatnim dwudziestoleciu inwestycjom drogowym, transport

drogowy jest obecnie jedną z kluczowych gałęzi gospodarki, generującą ok. 6 proc. PKB. Projekt CPK, zakładający rozbudowę i modernizację linii kolejowych oraz budowę największego hubu lotniczego w regionie, mógłby być szansą na nadrobienie zaległości Polski w pozostałych dziedzinach transportu.

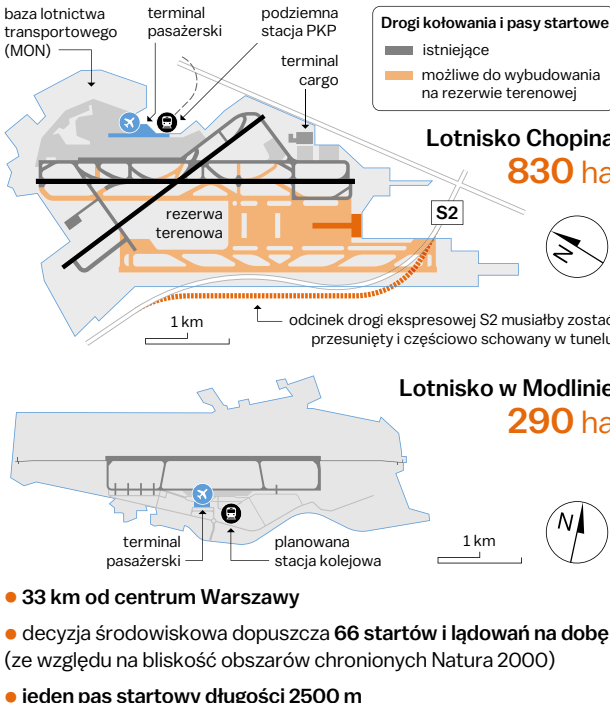


Hub lotniczy (port węzłowy) to lotnisko wykorzystywane przez linie lotnicze do koncentracji ruchu pasażerskiego. Ten dominujący w ruchu lotniczym system określa się jako „układ piasty i szprych”. Piastą jest hub, a szprychami połączenia z regionalnymi lotniskami zbierającymi pasażerów przesiadających się w hubie na połączenia długodystansowe. To rozwiązanie pozwala obsłużyć więcej pasażerów, wykorzystując mniej samolotów. Huby to z reguły lotniska bazowe linii lotniczej oferującej przelot transferowy w ramach jednego biletu. **Polska jako jedyny kraj Europy Środkowo-Wschodniej ma odpowiedni potencjał** (liczbę ludności, własne linie lotnicze itp.), by stworzyć nowy port przesiadkowy skupiający ruch lotniczy w regionie.

Szklany sufit nad Warszawą

Obecnie funkcję portu węzłowego pełni Lotnisko Chopina w Warszawie. W zeszłym roku obsłużyło 18,5 mln pasażerów, kolejny raz zbliżając się do **limitu przepustowości, który wynosi 22 mln pasażerów rocznie**. Największe przeszkody w rozwoju Chopina są związane z jego lokalizacją w obrębie miasta (przed II wojną, gdy lokowano tam port lotniczy, były to dalekie peryferia):

- aktualna decyzja środowiskowa, ze względu na ochronę przed hałasem, zezwała na **600 startów i lądowań na dobę**
- **w nocy lotnisko jest zamknięte** (cisza nocna od 22 do 6)
- przepustowość hali odlotów to **3,2 tys. osób na godzinę** (potrzeba 6 tys.)
- z powodu ograniczonej przepustowości na nadchodzący sezon letni 2024 r. odrzucono **23 proc. aplikacji przewoźników**
- terminal cargo ze względu na ograniczenia strukturalne ma przepustowość na poziomie **zaledwie 100 tys. ton towarów rocznie**
- **dwa pasy startowe (2800 m i 3690 m) przecinają się**, co uniemożliwia wykorzystywanie ich w tym samym czasie
- wybudowanie trzeciego pasa startowego na rezerwie terenowej lotniska wymagałoby **przesunięcia i częściowego poprowadzenia w tunelu drogi ekspresowej S2 biegnącej w pobliżu**
- **brakuje miejsca na rozbudowę infrastruktury** (bazy paliwowej, hangarów czy miejsc postojowych dla samolotów)



- **33 km od centrum Warszawy**
- decyzja środowiskowa dopuszcza **66 startów i lądowań na dobę** (ze względu na bliskość obszarów chronionych Natura 2000)
- **jeden pas startowy długości 2500 m**

Kolejowe szprychy

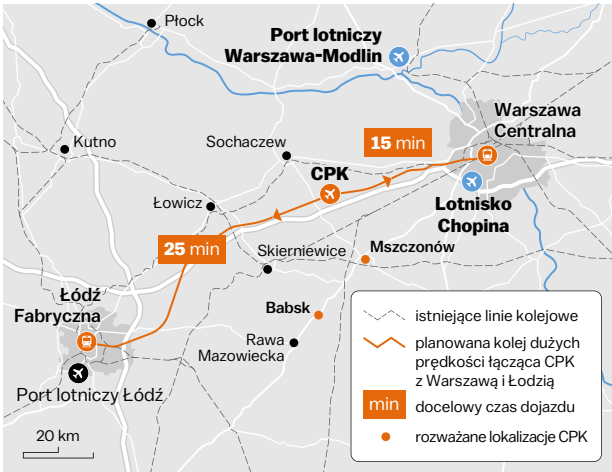
Większość kosztów projektu CPK jest związana z rozbudową sieci kolejowej odzwierciedlającej jeszcze granice dawnych zaborów. Racjonalność tej części projektu budzi najmniej kontrowersji. Ze zmodernizowanych fragmentów istniejącej sieci uzupełnionej o kilka

nowych odcinków ma powstać dziesięć tzw. szprych łączących centrum kraju z pozostałymi regionami. Nowa sieć kolejowa pozwoli na zwiększenie prędkości maksymalnej pociągów i skrócenie czasu przejazdów pomiędzy głównymi miastami Polski.



Megaport czy duoport

Pomimo że od zainicjowania projektu budowy centralnego lotniska w Baranowie minęło pięć lat i wydano na tę inwestycję już 2,7 mld zł, nie przekreśliło to definitywnie alternatywnej koncepcji, która zakłada rozbudowę Okęcia i utworzenie duoportu z Modlinem.



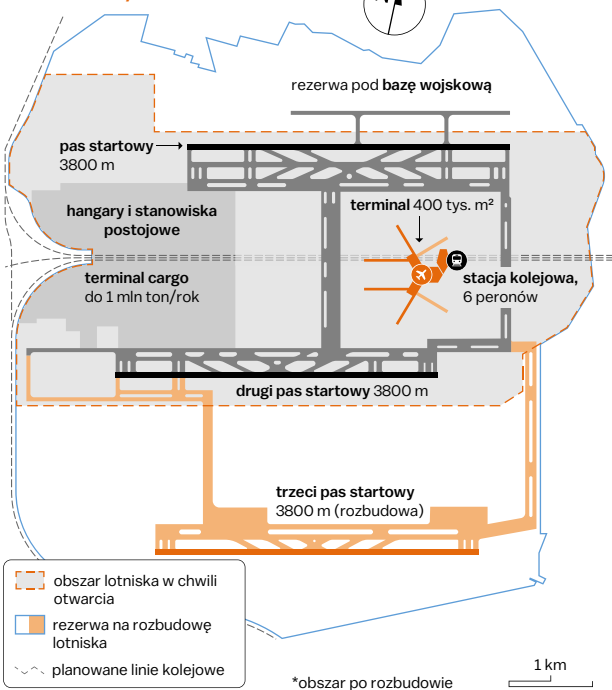
Według prognozy Urzędu Lotnictwa Cywilnego w 2040 r. ruch lotniczy w aglomeracji warszawsko-łódzkiej wyniesie 45 mln pasażerów rocznie. Obecnie maksymalna przepustowość lotnisk Warszawa–Modlin–Radom wynosi ok. 28 mln osób. Pomysł zbudowania megalotniska między Warszawą a Łodzią odżył w 2016 r. z inicjatywy PLL LOT, które zaczęły dostrzegać ograniczenia wynikające ze zbyt małej przepustowości Chopina. Pomysł podjęła rządząca ekipa PiS, która połączyła koncepcję budowy centralnego lotniska z rozbudowanym planem modernizacji sieci kolejowej, tworząc z niego flagową inwestycję rządu o znaczeniu nie tylko infrastrukturalnym, ale również, a może przede wszystkim – politycznym. Rozpoczęcie prac nad projektem CPK zbiegło się ze wstrzymaniem inwestycji na Okęciu i zablokowaniem rozwoju Modlina. Przeciwnicy budowy centralnego portu zwracają uwagę na olbrzymie koszty, nierealny harmonogram oraz ryzyko związane z rentownością tego projektu. Jako alternatywę wskazują **rozbudowę istniejących lotnisk (na Okęciu i w Modlinie), co mogłoby zapewnić większą przepustowość, na poziomie około 32 mln pasażerów rocznie**. Możliwe byłoby wówczas przeniesienie połączeń niskokosztowych na tańsze lotnisko w Modlinie (raczej nie poprzez administracyjny podział ruchu, lecz system zachęt) i zrobienie więcej miejsca dla rejsowych przewoźników w porcie Chopina. O dalszych losach projektu CPK decydują wyniki prowadzonego audytu. Jednak niezależnie od podjętych decyzji w sprawie CPK, wiadomo już, że jeśli szybko nie powstaną nowe możliwości przewozowe na istniejących lotniskach, to za dwa-trzy lata pojawią się olbrzymie problemy z dalszym zwiększaniem liczby pasażerów.

Centralny Port Komunikacyjny

Port Lotniczy CPK ma być największym w Europie Środkowo-Wschodniej portem przesiadkowym zintegrowanym z węzłem kolejowym. Według pierwotnych założeń miał być otwarty w 2027 r. Prawdopodobnie termin będzie przesunięty o 3-4 lata.

Centralny Port Komunikacyjny

2150 ha/3900 ha*



Przyjęto etapową koncepcję rozwoju lotniska. W ramach pierwszego etapu port będzie w stanie obsługiwać **34 mln pasażerów rocznie**. Projekt przewiduje możliwość szybkiej rozbudowy lotniska do przepustowości **60 mln osób rocznie**. Infrastruktura lotniska w dużej mierze będzie dostosowana do ruchu przesiadkowego.

- **odległość 45 km od centrum Warszawy i 90 km od centrum Łodzi**. Połączenie kolejami dużej prędkości ma umożliwić pokonanie tych dystansów odpowiednio w 15 i 25 min.
- decyzja śródowniskowa przewiduje **900 operacji lotniczych na dobę** (330 tys. rocznie)
- **dwa pasy startowe po 3800 m** z możliwością budowy trzeciego
- **terminal lotniczy** o powierzchni ok. 400 tys. m kw.
- **dworzec kolejowy** o powierzchni 65 tys. m kw. (6 peronów)
- **dworzec autobusowy** o powierzchni 15 tys. m kw.
- **terminal cargo** o przepustowości ok. 1 mln ton rocznie

KONTROWERSJE I WĄTPLIWOŚCI

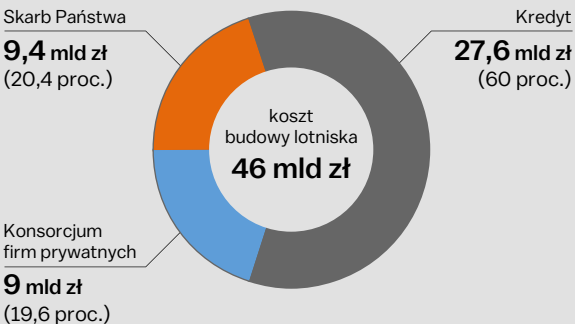


Ogromne koszty, niepewna rentowność

W kosztorysie udostępnionym przez spółkę CPK w październiku 2023 r. **koszt całej inwestycji wraz z infrastrukturą kolejową określono na 155 mld zł**.

Budowa samego lotniska ma kosztować 46 mld zł. Projekt jest realizowany przez spółkę celową w formule *project finance*. Oznacza to, że w **części (60 proc.) będzie finansowany długiem spłacanym przyszłymi zyskami z działalności portu**.

Pozostałe 40 proc. kosztów pokrywa konsorcjum prywatnych firm Vinci Airports i IFM Global Infrastructure Fund (49 proc. udziałów) oraz Skarb Państwa (51 proc. udziałów).



Nowe lotnisko i powiązana z nim infrastruktura powinny spełniać kryterium rentowności. Tymczasem dane dotyczące przychodów osiąganych przez lotniska porównywalnej wielkości wskazują, że **zysk z działalności portu lotniczego w ramach CPK może być zbyt niski, aby pokrywać koszty operacyjne lotniska przy konieczności jednoczesnego spłacania zobowiązań zaciągniętych na tę inwestycję**.



Nierealne terminy

Spółka CPK przyjęła niezwykle optymistyczny harmonogram budowy lotniska i szybkich linii kolejowych – 4 lata od zakończenia etapu projektowego. **Wyśrubowane terminy narzucone wykonawcom zwiększają koszty inwestycji i mogą negatywnie wpływać na jakość robót, a nieplanowanych opóźnień nie uda się uniknąć**.



Problematiczna lokalizacja

Wybrany pod budowę lotniska teren w okolicach Baranowa jest **podmokły, co podnosi koszty jego uzbrojenia**. Leżące na nim **gleby należą do najżyźniejszych w Polsce**, to tzw. sochaczewsko-grójecki obszar żywielski. W przeciwieństwie do branego również pod uwagę Mszczonowa, w którym grunty w większości należą do Skarbu Państwa, **realizacja inwestycji w Baranowie oznacza przymusowe wywłaszczenie 4 tys. właścicieli nieruchomości**.



Koszt społeczny – wywłaszczenia

Na przymusowe przejęcie ziemi i nieruchomości przez spółkę CPK zezwala specustawa. Proces wywłaszczania poprzedził zakończony w kwietniu 2023 r. **Program Dobrowolnych Nabyć**. Osoby, które zdecydowały się na sprzedaż gruntów i nieruchomości mogły, otrzymać do 140 proc. wartości budynku oraz do 120 proc. wartości gruntu. **Do programu zgłosiło się dotychczas 1300 właścicieli posiadających blisko 3600 ha**.



Oslabienie lotnisk regionalnych

Według wewnętrznych analiz poprzedniego rządu realizacja projektu CPK wymaga przekierowania pasażerów z okolicznych lotnisk do portu w Baranowie, a tym samym **zamknięcie lotnisk w Warszawie, Modlinie i Łodzi**. Przeciwnicy CPK obawiają się, że ta inwestycja negatywnie wpłynie na rozwój wszystkich regionalnych lotnisk w Polsce. Niekoniecznie. Regionalne lotniska w dalszym ciągu będą zapewniały lokalne połączenia na terenie Polski oraz umożliwią krótkie wypadki do najpopularniejszych miast w Europie. Będą również pierwszym etapem połączeń długodystansowych dowożących pasażerów do portów przesiadkowych, tyle że będą oni mogli wybrać pomiędzy hubami zagranicznymi a CPK.



Zagrożenie dla tanich linii i czarterów

Co najmniej połowa ruchu lotniczego w Polsce to rejsy niskokosztowe i czarterowe. Według planów poprzedniego rządu, w 2035 r. dwa tanie lotniska w Modlinie i Radomiu miałyby obsłużyć 5 mln pasażerów, podczas gdy CPK ok. 34 mln. **Oznacza to, że większość tanich przewoźników musiałaby korzystać z nowego portu, z czym wiąże się znacznie wyższe opłaty lotniskowe i droższe bilety**.



Nierealistyczne plany ekspansji LOT-u

Sukces CPK w dużej mierze zależy od kondycji i możliwości rozwoju głównego operatora, czyli PLL LOT. Opiera się na założeniu, że nasz narodowy przewoźnik awansuje do grupy europejskich liderów i stanie się linią pierwszego wyboru w regionie. Przyjęte prognozy ruchu dla CPK zakładają m.in. trzykrotny wzrost udziału LOT-u w rynku przewozów tranzytowych między Europą i Azją. Może to okazać się niemożliwe, gdyż od wielu lat rynek ten zdominowany jest przez ściśle współpracujące wielkie grupy lotnicze z Europy, Chin i Japonii. Dodatkowy problem stanowią przeloty nad terytorium Rosji, uwarunkowane czynnikami geopolitycznymi. Bez tej możliwości LOT będzie mało konkurencyjny.

ŹRÓDŁO: CPK, WYBORCZA.PL, GAZETA.PL, @MACVILK

SEGREGACJA

W DOMU POGRZEBOWYM

Biały mężczyzna z czarnym? Małżeństwo? Na Południu?
I do tego jeszcze córka? Dla ludzi, którzy dziś skupiają się wokół Trumpa
to najlepszy dowód na istnienie szatana.

– Już jako kilkulatek interesowałem się tworzeniem opowieści, mama często to powtarzała. Byłem krytyczny wobec bajek, które czytano mi w dzieciństwie. Uważałem je za nielogiczne i pozbawione sensu, tupalem nogami i wmawiałem innym, że sam wymyśliłbym wszystko lepiej. Pierwsze opowiadanie napisałem, gdy skończyłem 10 lat. Nikomu bym go dziś nie pokazał, ale już wtedy stało się dla mnie jasne, że zostanę pisarzem – mówi 51-letni S.A. Cosby (wł. Shawn Andre Cosby), autor „Kolczastych łez”, jeden z ulubionych twórców Baracka Obamy. Powieść, w przekładzie Jana Kraśki ukazała się właśnie w Polsce.

SZAMBO WYBIŁO

Rozmawiamy w „Millie’s Dner” przy E Main Street w samym centrum Richmond, stolicy stanu Wirginia, do której wielu Amerykanów przyjeżdża, by zwiedzić Drugi Biały Dom Konfederacji, w latach 1861-1865 siedzibę Jeffersona Davisa, jedynego Prezydenta Skonfederowanych Stanów Ameryki. Cosby mieszka pod miastem i – poza pisaniem książek – pomaga żonie w prowadzeniu zakładu pogrzebowego.

– Dorastałem w cieniu historii – mówi Cosby. – Ja, czarny chłopak z serca Ameryki, na co dzień musiałem mierzyć się z tym, że najbliżsi sąsiedzi pozwalali sobie na jawnie rasistowskie wypowiedzi. Wiele z nich nie było w stanie zaakceptować, że wojna secesyjna skończyła się ponad sto lat temu, a potomkowie dawnych niewolników zyskali – przynajmniej formalnie – pełnię praw obywatelskich. Wmawiano mi, że jestem kimś gorszym. Kiedyś na głównej ulicy mojego rodzinnego Newport News usłyszałem, że Bóg musiał o Ameryce zapomnieć, skoro tacy jak ja nie chodzą w kajdanach i potrafią mówić zamiast szczekać.

To było w latach 80. ubiegłego wieku, gdy prezydentem kraju był Ronald Reagan.

Gdy mówię, że idąc na nasze spotkanie, widziałem na ulicach Richmond wiele samochodów z flagą Konfederacji przyklejoną na tablicach rejestracyjnych, S.A. odpowiada krótko: –To wszystko wróciło, gdy w Białym Domu urzędował Barack Obama. Pojawiły się teorie spiskowe, a w mediach rozgościli się ludzie, którzy zaczęli powtarzać, że trzeba odebrać czarnym wpływ na amerykańską rzeczywistość. Szambo wybiło, gdy prezydentem został Donald Trump. Dziś jest tylko gorzej, wracamy powoli do najgorszych czasów naszej historii.

TĘSKNOTA BIAŁYCH MĘŻCZYZN

„Kolczaste łzy” (oryg. „Razorblade Tears”) to czwarta powieść Cosby’ego. Zdaniem Marty Bratkowskiej pisarz „stworzył genialną parę bohaterów – przypadkowych współników mścicieli, którzy pokonują zalaną krwią wrogów ich dzieci drogę od niechęci do przyjaźni i od pogardy dla homoseksualistów do pełnej akceptacji i zrozumienia”.

Mścicielami są Ike Randolph i Buddy Lee, czarny i biały. Ich synowie, Isiah i Derek, zostali brutalnie zamordowani, gdy – świętując kolejną rocznicę ślubu – opuszczali lokalną restaurację.



Osierocili czteroletnią córkę. Buddy i Ike, którzy poznali się dopiero na pogrzebie swoich najbliższych – w obliczu ogromnej tragedii – nie są w stanie poradzić sobie z tym, że odwrócili się od własnych dzieci, że przez lata nie byli w stanie zaakceptować tożsamości seksualnej synów oraz ich związku. Gdy jednak stało się jasne, że Isiah oraz Derek padli ofiarą homofobów i rasistów, którzy dodatkowo niedługo po pogrzebie zbezczeszcili ich rodzinny grób, zrozpaczeni i przechodzący metamorfozę ojcowie postanowili działać. Zaprzysięgli zemstę tym, którzy ich wnucze odebrali rodziców. „To, jak tropią winnych zbrodni i okazują się w tym śledztwie o wiele skuteczniejsi niż

policja, stanowi fabularną, piekielnie wciągającą kanwę >>Kolczastych łez<<. S.A. Cosby to jednak nie tylko spec od szalonych, uzależniających fabuł, ale też genialny obserwator współczesnego Południa USA z jego rasowymi problemami, co dało mu miejsce wśród najlepszych twórców gatunku Southern noir” – pisała w „Wyborczej” Marta Bratkowska.

Śledztwo przynosi zaskakujące efekty. Na jaw wychodzą fakty związane z działalnością lokalnych polityków, którzy marzą o dostaniu się na Kapitol. Bez względu na to, czy są biali, czy czarni, heteronormatywnych mężczyzn, którzy najchętniej sprawdziliby kobiety do roli służących, czarnych wysła-

MICHAŁ NOGAŚ



li do czworaków, a lesbijki i gejów spalili w ogniu piekielnym, są wyznawcami rosnącej siły politycznej, która stanowi trzon ruchu nazywanego MAGA – najbardziej zagorzałych zwolenników byłego i być może przyszłego prezydenta USA.

– To, czego chcą, to całkowite zaprzeczenie idei współczesnej Ameryki, kraju wieloetnicznego, w którym wszyscy powinni mieć równe szanse – wyjaśnia S.A. Cosby. – Na Południu, które dosłownie i w przenosi było złączkiem późniejszych Stanów Zjednoczonych, spotykają się najważniejsze problemy USA: bezrobocie, podziały klasowe, nienawiść rasowa i etniczna, homo- i transfobia. To mikrokosmos i żaden powód do dumy.

ECHA FAULKNERA I FLANNERY O’CONNOR

Cosby, choć tworzy zupełnie inną literaturę, pisząc o mroku, zbrodniach i złu, w znacznym stopniu czuje się spadkobiercą wielkich autorów Południa. – Tworzę kryminały w duchu Southern noir, ale w moich książkach pobrzmiewają echa dzieł Williama Faulknera, Flannery O’Connor, Carson McCullers czy Ernesta J. Gai-nesa, jednego z najważniejszych czarnych autorów drugiej połowy XX wieku, nazywanego „literackim głosem Luizjany” – mówi. – Wszyscy, choć często z różnych perspektyw, pisaliśmy o grzechach założycielskich Ameryki, ludobójstwie rdzennych mieszkańców, zniewoleniu Afroamerykanów, o budowaniu świata w oparciu o nieludzkie wartości. Ja opowiadam o współczesności, o hańbie, która powraca, o satysfakcji, że czarnemu czy tęczowemu znów można przyłożyć, nie ukrywając się i czekając na brawa ze strony najbardziej konserwatywnych polityków.

– Tu, gdzie mieszkam, niecałe 40 mil od Richmond, stoi kościół. Zbudowano go zaraz po zakończeniu wojny secesyjnej, a jedną z osób zaangażowanych w to przedsięwzięcie był mój prapradziadek, szanowany członek lokalnej społeczności. Niedługo potem, gdy ponownie nastały mroczne czasy i Południe postanowiło walczyć z równouprawnieniem, na drzewie obok kościoła linczowano czarnych, w tym przyjaciół mojej rodziny. Przez dekady, mniej więcej od zakończenia II wojny światowej, gdy na różnych frontach zginęło wielu czarnych żołnierzy, miejsce to było pomnikiem hańby, miało zaświadczać o czasach, do których Ameryka nigdy nie powróci. Niestety, od kilku lat jest miejscem pielgrzymek tych, którzy stali się najbardziej gorliwymi wyborcami Republikanów – kontynuuje Cosby.

UPOKORZENIE

Sukces, który odniósł pisarz z Wirginii, wielotygodniowa obecność na listach bestsellerów, uznanie, które okazali mu nie tylko krytycy najważniejszych amerykańskich dzienników, ale i czytelnicy zrzeszeni w prężnie działających klubach książkowych, sprawił, że S.A. stał się regularnym gościem stanowych uniwersytetów. Zwykle fetowany, witany z honorami, z największym upokorzeniem zetknął się właśnie na Południu. Wspomina: – Przyjechałem na kampus jednej z tutejszych szkół wyższych, a ponieważ była to moja pierwsza wizyta w tym miejscu, poprosiłem osoby z ochrony o pomoc w znalezieniu sali wykładowej. Mężczyźni, biali i rośli, natychmiast podeszli do mnie i zapytali, co ja w ogóle robię na uniwersytecie. Jeden z nich próbował złapać mnie za rękę i wyprowadzić poza teren. Wziął mnie za intruza. Przeszkadzał mu kolor skóry. Gdy organizatorzy przybyli z pomocą, usłyszałem, jak mruczał pod nosem, że czarni rozplenili się wszędzie i „zaraz wejdą nam do domów”... – Jak zareagowały władze uczelni? Otrzymałem oficjalne przeprosiny, a w nieformalnej rozmowie usłyszałem, że nikt nie spodziewał się, że – jak to nazwano – „aktywny rasizm” trafił nawet na teren uczelni wyższej. Przyznam, że byłem zdziwiony tą naiwnością, nie dałem wiary tym słowom.

Cosby przyznaje, że znajomi od lat namawiają go, by opuścił Południe. – Słyszę, że

czekają na mnie w Nowym Jorku albo w San Francisco. Ale nie byłbym w stanie żyć z dala od domu. Dobrze czuję się tylko tu, na Południu.

Choć życie w Wirginii, z miesiąca na miesiąc, staje się coraz trudniejsze. Nie do końca umiem sobie wyobrazić, co stanie się w ostatnich dniach kampanii, jeśli naprzeciw siebie staną, tak jak wszyscy się spodziewamy, Biden i Trump – mówi. – Ktoś jednak przecież musi prowadzić tę walkę, inaczej Ameryka przyszłości będzie nie tylko niedemokratycznym, ale i prawdziwie rasistowskim oraz mizoginistycznym krajem.

NIE CHCEMY, ŻEBY BABCI DOTYKALI CZARNI

– Dlaczego w ogóle Southern noir, czyli proza gatunkowa? Co sprawiło, że zdecydowałeś się opowiadać o zbrodniach i nadużyciach popełnianych na Południu? – pytam pisarza.

Śmieje się: – Może to dlatego, że tak często mam kontakt z martwymi ciałami? Dom pogrzebowy, który prowadzi moja żona, założył teść. Nie ukrywajmy, śmierć to jedyne, co nas łączy – białych i czarnych, hetero-

To opowieść o współczesności, o hańbie, która powraca, o satysfakcji, że czarnemu czy tęczowemu znów można przyłożyć, nie ukrywając się

i nieheteronormatywnych. Można też spojrzeć na to w sposób stricte biznesowy – ten interes będzie się kręcił do końca świata. Czy też raczej do końca obecności naszego gatunku na ziemi, bo wydaje mi się, że w obliczu rozpędzonej katastrofy klimatycznej to nie to samo. A jednak domy pogrzebowe to w zasadzie jedyne dziś w Stanach Zjednoczonych miejsca, w których segregacja rasowa jest nadal akceptowana. Doświadczamy tego każdego dnia. W jaki sposób? Och, to bardzo proste. Biali po prostu nie chcą, by czarni zajmowali się zwłokami ich najbliższych. Choć mamy dobre oferty, o ile nie przymusi ich do tego sytuacja, nie wybierają zakładu mojej żony. Wielokrotnie słyszałem, jak zrozpaczone rodziny mówiły wprost: „Zapłacimy nawet dwa razy więcej. Ale nie chcemy, by babcią zajmowali się obcy. Nie chcemy, by dotykali jej czarni. Musimy do końca dbać o jej komfort”.

Cosby, dostrzegając zdumienie w moich oczach, dodaje: – Smutne, ale przynajmniej nie spotkało nas dotąd nic złego. Gdy czarny mężczyzna w 1927 roku otworzył w naszej okolicy restaurację, po prostu mu ją spalono, a on cudem uniknął linczu.

Gdy to słyszę, przypominają mi się zdania z książki Natalii Judzińskiej „Po lewej stronie sali. Getto ławkowe w międzywojennym Wilnie”. W latach trzydziestych ubiegłego wieku polscy studenci sympatyzujący z endecją żądali od władz uniwersyteckich, by ich żydowscy koledzy nie mogli – w ramach zajęć na kierunkach medycznych – uczyć się zawodu na ciałach zmarłych Polaków. Doszło do zamieszek, polala się krew.

– To dokładnie ten sam model zachowania – zgadza się Cosby. – Na Południu wciąż żyjemy w cieniu wojny secesyjnej. Każdy „inny” automatycznie staje się kimś „obcym”. I to sprawiło, że synowie bohaterów „Koleczastych łez” padli ofiarą brutalnej zbrodni.

Biały mężczyzna z czarnym? Małżeństwo? Na Południu? Do tego jeszcze córka? Dla ludzi, którzy dziś skupiają się wokół Donalda Trumpa to najlepszy dowód na istnienie szatana.

Chcą czystej białej Ameryki, zapłacą każdą cenę, by Demokraci utracili wpływ na rzeczywistość.

– Czy ktoś z twoich sąsiadów brał udział w ataku na Kapitol 6 stycznia 2021 roku?

– Znam kilka osób, które wybrały się tego dnia do Waszyngtonu. Nie niszczyli budynku Kongresu, ale byli niezwykle dumni, że pokazali „tym złym”, gdzie jest ich miejsce. Dziś mówią, że jeśli Trump nie „odbije” Białego Domu, zrobią wszystko, by rozpętało się piekło. Mówią to z uśmiechem na twarzy, gdy spotykamy się w kolejce do kasy w lokalnym supermarkecie. Syn mojego znajomego usłyszał od kolegi mieszkającego w tej samej okolicy: „Szykuj się na niewolnika!”.

STARZY LUDZIE U STERU

Fakt, że w tak wielu miejscach w Richmond – od naklejek na tablicach rejestracyjnych po wlepki w, jak mogłoby się zdawać, hipsterskich kawiarniach – zauważyłem flagi Konfederacji, nie daje mi spokoju. Cosby wzrusza ramionami: – Bez wątpienia mamy dziś do czynienia z kultem generałów, którzy w wojnie secesyjnej brali udział po stronie Południa. Biały Dom

Konfederatów, miejsce smutne i zapomniane przez los, a prowadzone przez ludzi niezwiązanych z dzisiejszą Partią Republikańską, jest jednym z najczęściej odwiedzanych obiektów muzealnych w tej części Stanów. Ale ci, którzy tęsknią za Ameryką pełną niewolników, nie wchodzi do środka, nie chcą na własne oczy oglądać dowodów na porażkę poniesioną przez Davisa i jego współpracowników. Fotografują się przed, uśmiechają się i przekonują, że tamte czasy już wkrótce powrócą.

– To możliwe?

– Skłamałbym, gdybym przyznał, że nie boję się powrotu Trumpa.

To realna groźba, ten człowiek prze do nominacji z ramienia Partii Republikańskiej i sam na pewno się nie zatrzyma. Nie ukrywa nawet, że nie traktuje swoich rywali osobiście, grozi, że jeśli odzyska władzę, to tylko przez jeden dzień nie będzie działał w sposób demokratyczny. Przecież nawet ludzie związani z tą partią przyznają, że Trump to zagrożenie dla Ameryki, którą znamy – wystarczy posłuchać Liz Cheney, która miała odwagę sprzeciwić się narracji byłego prezydenta w sprawie zejść z 6 stycznia 2021 roku, a teraz powtarza niczym mantrę, że „ten człowiek nie daruje nikomu, kto go rzekomo zdradził” – mówi Cosby. – 60 proc. ludzi, którzy zamierzają głosować na Trumpa to rasisci, którzy w żadnej mierze nie ukrywają swoich poglądów. Ameryka, w której czarni, osoby pochodzenia latynoskiego czy azjatyckiego, nie mają czego szukać, to spełnienie ich marzeń. Podoba im się to, co zrobili ze sprawą aborcji sędziowie mianowani przez Trumpa do Sądu Najwyższego, podobają im się ataki na osoby nieheteronormatywne, są zwolennikami pełnego dostępu do broni i atakowania – nie tylko w formie słownej – tych polityków, którzy myślą inaczej.

Cosby podkreśla jednak, że sprawa nie jest jeszcze przegrana. – Owszem, Trump idzie z Bidenem łeb w łeb. Ale 60 proc. to nie cały elektorat Republikanów, a ci z kolei nie stanowią większości wszystkich głosujących. Ostatnie wybory na szczeblach lokalnych pokazały, że zwycięstwo nad kan-

dydatami ruchu MAGA jest możliwe. Myślę, że w chwili ostatecznej konfrontacji siły dobra raz jeszcze zyskają przewagę i Biden wywalczy reelekcję. Choć nie ma sensu ukrywać, że nie jest idealnym kandydatem nawet dla sporej części Demokratów. Ameryka jest zwyczajnie zmęczona, że ster władzy dzierżą ludzie w bardzo podeszłym wieku. Obecny prezydent jest tylko o cztery lata starszy od swojego głównego konkurenta, którego zwolennicy przedstawiają jako pełnego sił, rzeźkiego i gotowego do walki o wszystko.

TAJEMNICA KUZyna

Choć nasza rozmowa toczy się przede wszystkim wokół spraw społeczno-politycznych, którymi na początku 2024 roku żyje Ameryka, na zakończenie pytam Cosby’ego, co było bezpośrednim impulsem do napisania „Koleczastych łez”. Pisarz przyznaje, że ogromne znaczenie miały wydarzenia, które rozegrały się w jego najbliższej rodzinie.

– Chodzi o mojego kuzyna, równolatka. Siedem lat temu postanowił przestać milczeć na temat swojego życia prywatnego. Jako młody człowiek wyprowadził się z Wirginii do Atlanty, z tym miastem związał swoją przyszłość. Wiedzieliśmy, że ma kogoś, ale na wszelkie rodzinne spotkania przyjeżdżał sam. I nikogo do siebie nie zapraszał. Czasem przyznawał, że ma współlokatora, nic więcej. W końcu nie wytrzymałem i przy okazji świąt Bożego Narodzenia razem z moim bratem wyciągnęliśmy go do naszego lokalnego baru na piwo. Spytałem wprost: „Co przed nami ukrywasz? Dlaczego zawsze, gdy przyjeżdżasz, sprawiasz wrażenie nieobecnego i nieszczęśliwego?”. Wtedy, ze łzami w oczach, powiedział, że jest gejem, że od lat kocha tego samego mężczyznę, i że bardzo chciałby wziąć z nim ślub. Ale nie w tajemnicy, bo ma już dość udawania, marzy o tym, by w uroczystości wzięła udział cała nasza rodzina. Przyznał, że wykańcza go ciągle życie w lęku. Spytał, czy przy wigilijnym stole okażemy mu wsparcie. Wtedy to ja się rozplakałem, bo zrozumiałem, w jak tragicznym położeniu znajdował się od lat.

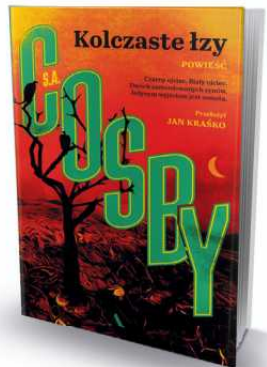
– Wszystko ułożyło się dobrze?

– Nie, niestety. Wielu członków naszej rodziny nie zaakceptowało jego tożsamości seksualnej. Choć podejrzewali, woleli nie wiedzieć. Wybrali własną wygodę nad szczęście bliskiego człowieka. Na ślub kuzyna pojechałiśmy niewielką grupą, ale daliśmy mu namiastkę szczęścia. Dziś, gdy widzę, w jak fatalnym kierunku poszły sprawy w Wirginii i innych stanach zdominowanych przez zwolenników Trumpa, cieszę się, że nie wrócił do domu, i że może żyć ze swoim mężem w bezpiecznej, oswojonej przestrzeni. Bo przecież ta książka w dużej mierze wzięła się z tego, że moja wyobraźnia zaczęła podpowiadać mi wizję, która mogłaby stać się jego udziałem.

Gdy S.A. Cosby odprowadza mnie na parking, którym mam wrócić do Waszyngtonu, w okolicy dworca przy E Main Street mija nas pickup na kalifornijskich tablicach. Cały oklejony jest tęczowymi wlepkami, a na obu bokach znajdują się napisy „F*ck Homophobia” i „F*ck Racism”.

– Widzisz – mówi pisarz. – Nie wszyscy chcą, by Ameryka znów była wielka. Niektórym wystarczy, by była normalna. ●

Autor jest dziennikarzem Programu 3 Polskiego Radia



WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Jacy są młodzi ludzie w dzisiejszych Chinach?

INNI NIŻ CHCE PARTIA

Nie jest łatwo zdefiniować chińską młodzież. Trudno sobie nawet wyobrazić, że to jakieś spójne pokolenie. Aby uzyskać wyobrażenie o skali, warto zauważyć, że Chińczyków w wieku od 15 do 34 lat jest więcej niż wszystkich mieszkańców USA.

Guillermo Abril

EL PAÍS

Młoda kobieta spogląda to na swój telefon, to na okno. Na zewnątrz robi się ciemno, krajobraz jest półpustynny. Pociąg rusza. Ona jest oparta plecami o pryczę wagonu sypialnego, ma twarz człowieka przytłoczonego zmartwieniami. I jakieś 23, góra 25 lat. Nie przedstawia się, ale kiedy się odzywa, nagle się uśmiecha. „Szukam pracy”, odpowiada po angielsku na pytanie, skąd pochodzi i dokąd zmierza.

Nasz wagon to otwarte rzędy potrójnych łóżek, na których tłoczą się pasażerowie różnego rodzaju: pasterz, kobieta z dzieckiem, kierowca ciężarówki. W tym gąszczu ciężkich zapachów i pękających toreb dziewczyna opowiada, że zdecydowała się opuścić swoje życie w Yining, mieście liczącym 600 tys. mieszkańców w autonomicznym regionie Xinjiang na zachodzie kraju, aby spróbować szczęścia w Urumqi, stolicy tej ogromnej prowincji. Studiowała zarządzanie turystyką, ale w czasie pandemii nie było pracy w tej branży, mówi. Turystyka wewnętrzna została radykalnie ograniczona przez „zero-covidową” politykę Pekinu. Na tym obszarze – na którym zresztą Chiny prowadzą bezwzględną, represyjną politykę wobec muzułmańskiej mniejszości uigurskiej – miały miejsce surowe izolacje, trwające po ponad 100 dni. Moja współpasażerka zaczęła się na posadzie w banku, za 3000 juanów (385 euro) miesięcznie. Ale po ponownym otwarciu kraju postanowiła kupić bilet do dużego miasta. Wie, że nie są to najlepsze czasy dla jej pokolenia. Pracy jest mniej niż kiedyś. I niewielu znajduje pracę swoich marzeń. „To przez pandemię”, dziewczyna wzrusza ramionami – i kontynuuje swoją podróż w nieznane.

Najlepiej wykształcone pokolenie w historii ChRL

Podobnie jak rzesze innych młodych ludzi w azjatyckim gigancie. Stanowią najbardziej wykształcone pokolenie w historii Chin. Dochodzili do tego długą pracą i poprzez maraton zajęć pozalekcyjnych. Ale kiedy już zdobywali swoje dyplomy, okazało się, że muszą włożyć je do szuflad: przez pandemię, zaostarzającą się sytuację geopolityczną, zadyszkę globalizacji i szwankujący nagle model wzrostu, który wielu ekonomistów uważa za wyczerpany. Chińska gospodarka boryka się z rosnącymi problemami strukturalnymi, które nie pozwalają jej wrócić do dwucyfrowych wzrostów. Do tego dochodzi rynek pracy, który nie jest w stanie elastycznie dopasować podaży do popytu.

W lipcu zeszłego roku Pekin opublikował dane o bezrobociu wśród młodych ludzi (w wieku od 16 do 24 lat) w miastach: w czerwcu przekroczyło 21 proc. – to aż dwukrotnie więcej niż cztery lata temu. W kolejnym miesiącu spodziewano się jeszcze gorszego wyniku, bo na rynek pracy miał wejść największy w historii rocznik absolwentów uniwersytetów – ale rząd postanowił nagle zaprzestać publikowania statystyk.

Zhang Dandan, profesor w National School of Development na Uniwersytecie Pekinśkim, opublikował w piśmie „Caixin” własne szacunki, bardziej ponure: bezrobocie wśród młodzieży miejskiej to aż 46,5 proc. Liczba ta obejmuje legion młodych ludzi, którzy ani nie studiowali, ani nie pracują. W Chinach są oni znani jako tangping – termin ten, który dosłownie oznacza „położyć się”, rozprzestrzenił się w social mediach w 2021 r. jako forma kontrkulturowego protestu przeciwko społecznej presji i etosu pracy. Wobec wymagań uciążliwych i mechanicznych zająć lepiej „położyć się” i czekać, nie pragnąc ani nie konsumując zbyt wiele. Termin ten był również często używany do krytykowania rzekomego lenistwa pokolenia, które dorastało pośród większych wygód niż ich rodzice.

Mali cesarze

Nie jest łatwo zdefiniować chińską młodzież. Trudno sobie nawet wyobrazić, że to jakieś spójne pokolenie. Aby uzyskać wyobrażenie o skali, warto zauważyć, że Chińczyków w wieku od 15 do 34 lat jest więcej niż wszystkich mieszkańców USA. Ale wszyscy oni mają jedną wspólną cechę: to pokolenie jednaków, urodzonych w ramach restrykcyjnej polityki planowania rodziny. Nazwano ich „małymi cesarzami” – bo na nich przeszły wszystkie marzenia i aspiracje ich rodziców; oni także ponoszą wszystkie obciążenia i presję, nie mówiąc o tym, że nadal będą całkowicie odpowiedzialni za swoich rodziców, gdy ci osiągną podeszły wiek.

Ich rodzice byli bohaterami transformacji biednego kraju w supermocarstwo, przeszli od niedojadania i kartek żywnościowych do posiadania mieszkań i firm. I zdecydowali się zainwestować ogromne środki w edukację swoich dzieci w bardzo konkurencyjnym społeczeństwie.

„Młodzi w Chinach dziś: pewni siebie, uprzywilejowani, zamożni i dobrze wykształceni – pierwsze pokolenie w Chinach, które szuka szczęścia, a nie bogactwa”, pisze Keyu Jin, profesorka London School of Economics, w swojej najnowszej książce „The New China Playbook”. „Są dumni z rosnącej potęgi i wpływów swojego kraju, a zaniepokojenie Zachodu wzrostem znaczenia Chin budzi ich satysfakcję”.

Urodzeni w latach 90. i w pierwszej dekadzie XXI w., dorastali w Chinach, które przystąpiły do Światowej Organizacji Handlu, przyjęły korporacje międzynarodowe i zorganizowały Igrzyska Olimpijskie, w Chinach, które rozwijały się w dwucyfrowym tempie i eksportowały swoje towa-

ry na cały świat. Widzieli jednak także, jakie spustoszenie w środowisku naturalnym spowodował ten turbo rozwój i jak rozgrzana gospodarka nagle zaczęła spowalniać.

Bezrobocie wysokie, ale rąk do pracy nie ma

„Czuję, że nasze pokolenie jest rozdarte” – mówi Gong Jianan, 29 lat, doktorant archeologii na North West Xian University. „Szczęśliwie, ponieważ obserwuje dobry etap rozwoju Chin, ale jednocześnie poddawane ogromnej presji”.

Kazano im studiować – i posłuchali. Absolwentów uczelni wyższych w 2023 r. było 11,6 mln – to o 800 tys. więcej niż w roku poprzednim i o 66 proc. więcej niż jeszcze dekadę temu. Nie zadowolą się byle czym. Wielu z nich woli szukać dalej niż podając pracę poniżej kwalifikacji lub taką, którą uważają za jałową i nudną. Niedawno pewien europejski menedżer międzynarodowej firmy z siedzibą w Chinach podsumo-

To pokolenie polityki jednego dziecka. Mają wykształcenie wyższe, ale nie mogą znaleźć pracy, przynajmniej nie taką, jakiej by chcieli. Są coraz bardziej rozczarowani partią i jej apelami o „przełykanie goryczy”

wał to tak: „Bezrobocie wśród młodych jest niebotycznie wysokie, ale nie możemy znaleźć ludzi do pracy w naszych magazynach”.

W obliczu kurczących się możliwości niektórzy próbują znaleźć własną niszę. Tego lata 25-letni Mo Xue Mei przechrzątnął się z cyfrową lustrzanką w rękę po jednym z głównych punktów turystycznych w Chongqing, niemal 30-milionowym mieście w środkowych Chinach. W zamian za kilka juanów portretował legiony odwiedzających. Nosił u pasa głośnik, aby promować swój drobny biznes. W jego rodzinnym mieście „nie ma wiele opcji, jeśli nie chcesz zasuwać fizycznie w przemyśle”. Bo wielu gigantów technologicznych ma tam swoje fabryki. Mo Xue Mei woli nie, wcześniej „dorabiał w kilku miejscach”, a teraz udaje mu się zebrać „po kilka tysięcy juanów miesięcznie”. To wystarczy, by przeżyć, jeśli „rozsądnie ograniczysz wydatki”. Definiuje swoje pokolenie tak: „Walczymy o życie”. Nawet jeśli internet twierdzi, że młodzi tylko „leżą”, oni tak naprawdę „ciężko pracują, próbują i ponoszą porażki”. „Większość moich znajomych jest właśnie taka”.

Ponieważ rynek pracy dołuje, liczba młodych kandydatów do służby cywilnej gwałtownie wzrosła. W listopadzie 2023 rekordowe prawie trzy miliony ludzi zdało trudny egzamin, aby dołączyć do chińskiej służby cywilnej. Ale dostępnych miejsc jest raptem 39 tys. – czyli 70 chętnych na jedno miejsce. A testy są wymagające w kraju, którego tradycja konkursowych egzaminów na mandaryna (urzędni-ka służby cywilnej w administracji cesar-

skiej) ma wiele stuleci i wiąże się z wszechstronnym wykształceniem.

Kilka miesięcy temu w chińskich sieciach społecznościowych krążyły autoironiczne memy młodych: porównywali się do Kong Yiji, słynnej postaci z opowiadania Lu Xuna, pisarza, który na początku XX w. odnowił chińską powieść. Kong Yiji był długowłosym, zaniedbanym facetem, który przychodził do tawerny prawie każdego wieczoru, ale w przeciwieństwie do innych klientów, robotników, był człowiekiem wykształconym. Nie zdał jednak pierwszego egzaminu do służby cywilnej – i nie był w stanie zarobić na życie. „W rezultacie z czasem stawał się coraz biedniejszy, aż został prawie żebrakiem” – pisze Lu Xun.

Natychmiast wywołało to gorącą internetową debatę na temat prawdziwego znaczenia tej historii. „Pierwotnym zamiarem Lu Xuna nie była satyra na dekadence skłonności takich jak Kong Yiji, tylko wykorzystanie przykładu Kong Yiji do uderzenia w cesarski system egzaminacyjny, który tworzył rzeszy bezużytecznych ludzi” – napisali autorzy popularnego bloga o nazwie The Melancholy Tocqueville. Dodali, że sytuacja dzisiejszych studentów jest podobna. Bo nie jest już tak, jak jeszcze w pierwszej dekadzie XXI w., kiedy dyplom uniwersytecki otwierał drzwi do najlepszych miejsc pracy. Obecnie istnieje nadwyżka białych kołnierzyków w kraju, w którym lwia część PKB nadal zależy od produkcji fabrycznej.

Partia zachęca do nieuzalania się nad sobą

CCTV, państwowa stacja telewizyjna, zachęcała młodych ludzi do „zrzucenia szaty” Kong Yiji. „Powodem, dla którego popadł w kłopoty, nie było to, że czytał książki, ale to, że nie mógł pozbyć się swoich pretensji i ambicji – i nie chciał zmienić swojej sytuacji poprzez pracę”.

Partia w ogóle zachęca młodych, aby nie uzalali się nad sobą, tylko zabrali się do roboty. Niektóre slogany przypominają zgola inną epokę. W maju prezydent Xi Jinping napisał list do studentów, prosząc ich o „przełknięcie goryczy” – to chińskie wyrażenie, które można przetłumaczyć jako „przetrawić trudny czas dzięki dobrowolnemu poświęceniu”. Przy różnych okazjach oficjalna propaganda podaje jako przykład do naśladowania trudności, jakich Xi doświadczył w młodości, kiedy mieszkał w jaskini w wiosce, do której został zesłany z rodzicami podczas rewolucji kulturalnej. „Powinniśmy zachęcać młodych urzędników do pracy i zdobywania doświadczenia w lokalnych społecznościach i na obszarach, w których panują trudne warunki” – powiedział Xi na zjeździe partii w 2022 r. Komunistyczna Liga Młodzieży uruchomiła niedawno programy „rewitalizacji obszarów wiejskich”, aby zachęcić absolwentów do powrotu do swych wiosek.

Yang Mai, 32-letni artysta urodzony i wychowany w prowincji Kanton, mówi, że jego pokolenie jest „zdruzgotane” trudnościami, bez względu na to, jak usilnie propaganda przekonuje o „dostatnim kraju ze świetlaną przyszłością”. Uważa, że trwa proces „dysocjacji”, który doprowadzi młode pokolenia do kwestionowania wartości wpajanych przez władzę.

Ale ponieważ partia zdaje sobie z tego sprawę, to „jeszcze bardziej intensyfikuje propagandę, sprawiając, że ludzie czują się jeszcze bardziej zdezorientowani w konfrontacji z rzeczywistością”, twierdzi Yang. Chiński tzw. parlament przyjął np. w październi-

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



• Pekin w czerwcu: pierwszy dzień gaokao, czyli egzaminów dających wstęp na uczelnie wyższe. Co roku przystępuje do nich ponad 10 milionów młodych Chińczyków. FOT. AP PHOTO/ANDY WONG

ku nową ustawę o „edukacji patriotycznej”, mającą na celu uszczelnienie wszelkich pęknięć, które mogą niepokoić młodzież.

Postawa, którą prezentuje Yang, to w Chinach igranie z ogniem. On jednak woli nie milczeć. Uważa to za swój obowiązek jako artysty: wyrażać siebie. Dzięki studiom mógł zacząć rozwijać karierę w USA – ale był też jednym z tysięcy ludzi, którzy rok temu wyszli na ulice, aby zdemontować odrzucenie polityki „zero covid”. Akcja ta, prowadzona przez młodych w Szanghaju, Pekinie i innych miastach, była największym wyrazem niezadowolenia w ciągu dekady sprawowania władzy przez Xi. Nieśli puste kartki papieru – symbol braku przestrzeni na mówienie tego, co się chce. Podczas tego wybuchu gniewu, częściowo powodowanego sytuacją gospodarczą pogorszoną przez lockdowny, słychać było również hasła przeciwko systemowi: „Precz z Partią! Precz z Xi!”. Wiele protestujących zostało aresztowanych. Ale zaledwie kilka dni później rząd ogłosił, że polityka „zero-covid” zostaje uchylona.

Dziś Yang nadal mieszka w swoim studio na obrzeżach Pekinu. Jedną z jego prac, ogromna, składa się z mundurków szkolnych, które rozpozna każdy Chińczyk, wszystkie są identyczne, wyglądają jak ogień w jednorodnym łańcuchu. Yang mówi, że największą walką jego pokolenia jest walka o „tożsamość”. „Dorastaliśmy w Chinach w latach 90., więc nasza edukacja podążała za potrzebami przemysłu, wymazując naszą indywidualność i prowadząc do konformizmu”. Dodaje, że po blokadach covidowych wielu zdało sobie sprawę ze swojego niezadowolenia z systemem politycznym i dominujących wartości społecznych – a to utrudnia im poczucie więzi z resztą społeczeństwa. „Jesteśmy niezadowoleni z naszej sytuacji, ale bez siły, by ją zmienić”.

Krytyczni, ale nie antysystemowi

Większość w Chinach nie podchodzi jednak do tego tak radykalnie. Wręcz przeciwnie. Choć protesty były dla władz ostrzeżeniem, że młodzi nie są gotowi przełknąć dowolnej „dawki goryczy”, nie ma ogólnego kwestionowania stanu rzeczy w kraju. Młodzi chętnie są krytyczni – ale nie antysystemowi. Większość próbuje zarobić na życie, jak wszędzie na świecie.

Chen Yenru sunie z pełną prędkością na wrotkach przez alejki Międzynarodowe-

go Centrum Handlu Yiwu, największej hurtowni produkcyjnej na świecie, swoiste go hiper bazaru, na którym można znaleźć wszystko. Chen ma 18 lat, aparat na zębach i śmiałe spojrzenie. Każdego dnia musi pokonać długie na milę korytarze, od rodzinnego sklepu, gdzie pomaga matce sprzedawać mydło i powidło, do lokalu Kentucky Fried Chicken, gdzie pracuje po pięć godzin dziennie, aby pokryć swoje codzienne wydatki. Ledwo ma czas na chwilę rozmowy. Jest już spóźniona do pracy, ubrana w czapkę i koszulkę KFC. Szykuje się do gaokao, niezwykle wymagającego chińskiego egzaminu wstępnego na uniwersytet, zamierza studiować w Nankinie. Na prośbę, by opisała swoich rówieśników, rzuca: „Wszyscy są dość niezależni” – i odjeżdża jak błyskawica.

Dla wielu z nich studia wciąż są szansą na wspięciu się po drabinie społecznej. Chiny są drugą co do wielkości potęgą gospodarczą świata, wysyłają pojazdy na Marsa, a futurystyczne roboty już jeżdżą po ich niektórych megamiastach. W ostatnich dekadach miliony ludzi wydostały się tu z ubóstwa – ale nadal utrzymują się ogromne nierówności. Niedawno zmarły były premier Li Keqiang przypominał w 2020 r., że 40 proc. Chińczyków nadal zarabia mniej niż 140 dol. miesięcznie.

K-pop w Chongqing

Pewnego wieczoru tego lata w mieście Chongqing pewien napotkany świeżo upieczony absolwent ekonomii opowiadał mi, że chce wrócić do rodzinnego Tybetu, aby założyć firmę i „zerwać z rodzinną tradycją”. Na swoim smartfonie pokazał nagranie przedstawiające tę tradycję: jego wują dojącego kudłatego jaka. Zaczął uczyć się do egzaminów służby cywilnej, aby dostać się do lokalnej administracji. Mówi, że jest to trudne konkurować ze wszystkimi tybetańskimi studentami o „jedno lub dwa miejsca” dla nie-Chińczyków.

W tej części Chongqing, mrowisku restauracji położonych na stromym zboczu wzgórza, widziałem tłumy młodych ludzi. Pewna para opowiadała, że właśnie zdała gaokao „śpiewając”, a teraz przyszła kolej na cieszenie się latem przed rozpoczęciem studiów. Przyjechali z Shandong, aby wziąć udział w koncercie Lu Hana, jednego z największych chińskich idoli K-popu. Lu Han śpiewa po angielsku: „Gdyby wygląd mógł zabijać, byłbym martwy; kochanie, twoje ciało w tej sukience...”.

Przechadzając się po pekińskich barach lub zatłoczonych sklepach z iPhone’ami, można zdziwić, że chińska gospodarka ma jakiś problem. W droższych dzielnicach duże samochody. Za kierownicą często bardzo młodzi ludzie. Kawiarnie zatłoczone, restauracje zarezerwowane. A jednak, gdy zapytać, wielu wyraża niepokój. Z powodu braku dobrej pracy, wystarczającej pensji, dostępności mieszkania za rozsądną cenę. Życie w miastach jest drogie, wielu wraca do domu na prowincji, inni mieszkają w schroniskach młodzieżowych, aby obniżyć koszty podczas niekończących się rozmów kwalifikacyjnych.

Branża usług i libertyni

Często zdarza się, że to oni pytają cudzoziemca: jak wyjechać za granicę, na studia lub do pracy. Czuć coś podobnego do nastrojów po kryzysie w Hiszpanii w 2008 r.: ci, którzy stawiają pierwsze kroki na rynku pracy, grzęzną w magmie bezradności wobec braku perspektyw.

W międzyczasie rząd martwi się szybko spadającym wskaźnikiem urodzeń, ale młodzi argumentują, że wychowanie dziecka kosztuje i stanowi przeszkodę w rozpoczęciu kariery. Wskaźnik urodzeń spadł o połowę od 2016 r., kiedy Pekin zakończył politykę jednego dziecka. Radykalnie spadła również liczba zawieranych małżeństw.

Chiny to wciąż kraj totalnych kontrastów: miejski tygiel nowoczesnych wieżowców i egzystencjalnych poszukiwań studentów współlistnieje z rzeczywistością pracowników migrujących, ze wszystkich zakątków kraju, którzy zarabiają na życie jako chłopcy na posyłki jeżdżący po mieście na małych motocyklach.

Branża usług platformowych w wysocze zdigitalizowanym społeczeństwie stała się jednym z największych pracodawców w kraju. Jak wynika z badania przeprowadzonego przez Uniwersytet Jinan, cytowanego przez dziennik biznesowy „Yicai”, zapewnia pracę 200 milionom ludzi w Chinach, czyli jednej piątej siły roboczej. Niekoniecznie jest to dobra praca – ani w pełnym wymiarze, ani dobrze płatna. Jest to coś, co często określa się tu mianem pracy „elastycznej”, co jest eufemizmem dla wszystkiego, od legionu pracowników zajmujących się dostawami do domu po streamerów na żywo na platformach takich jak Douyin (chińska nazwa TikToka).

Carrie, 26-letnia mieszkanka Wuhan, spędziła większość pandemii sprzedając ubrania na żywo na Douyin. Była „live-streamerem”. Podwoiła pensję, którą otrzymywała w poprzedniej pracy. Lubiła to, ale przyznaje, że było ciężko: sesje zaczynały się od makijażu o czwartej nad ranem. Przeniósła się do firmy finansowej, która skupiła swoje inwestycje na sektorze samochodów elektrycznych. Ale potem nagle Carrie zdecydowała się zmienić swoje życie: teraz uczy paddle-surfingu, sportu, który staje się coraz bardziej popularny w Wuhan, mieście znanym z wielu jezior w okolicy. „Postanowiłam poświęcić się czemuś, co mnie pasjonuje” – mówi. Otworzyła kanał w mediach społecznościowych, na którym zamieszcza filmy o tym sporcie. Zimą wpadła na pomysł kontynuowania pracy jako instruktorka w Tajlandii lub na Malediwach. Z dyplomem uniwersytetu i doskonałym angielskim Carrie uważa, że jej pokolenie jest naznaczone „samotnością” i skazane na „podążanie naprzód w nieznaną”. Jak dodaje, największym wyzwaniem jest prowadzenie własnego życia bez wytycznych od rodziców i ich presji. „Nikt nas nie prowadzi ani nie pokazuje nam, na czym polega życie. Dyplom nie daje odpowiedzi, jak poruszać się w różnego rodzaju relacjach. Ale znajdziemy swoją drogę”.

Carrie ma swój pogląd na spadający wskaźnik urodzeń. „Kobiety są bardziej niezależne. Mogą wreszcie zarabiać pieniądze jak mężczyźni, podczas gdy dawniej ich obowiązkiem było tylko dbanie o dom. Z niecierpliwością czekam, aż więcej mężczyzn będzie chciało brać współodpowiedzialność za wychowywanie dziecka”. Carrie zaznacza ten postulat nawet w aplikacji randkowej.

Popularne w Wuhan miejsca koncertów, takie jak legendarny lokal VOX (znany jako jedna z kolebek chińskiego punka), tego lata zostały ponownie otwarte. W pewien lipcowy piątek The Bootlegs, zespół rockowy z Qingdao, serwował tam gitarowe lo-fi i surferski klimat. W garderobie, na krótko przed wyjściem na scenę, trzech członków zespołu piło piwo i opowiadało anegdoty o niezliczonych zajęciach, którymi się parali: od fryzjera, przez tatużystę, po pracownika budowlanego – mogliby zapłacić kilka stron swoimi CV. „W porównaniu do niedawnej przeszłości młodzi ludzie mają teraz więcej możliwości” – mówił mi Zhao Hong, 31-letni wokalista i gitarzysta. On sam rozpoczął studia literackie, ale rzucił je. Dodaje, że możliwość wyboru w żadnym wypadku nie oznacza większego szczęścia. „Szczęście to wiedza, co chcemy robić”. Zespół powstał w 2019 r., tuż przed pandemią. Wydali już cztery albumy i planowali zagrać 36 koncertów w całym kraju.

Zhao mówi, że ich piosenki opowiadają o „zwykłym życiu”. W jego tekstach nie ma fikcji, opowiada o własnych doświadczeniach, być może dlatego tak angażuje publiczność. Ramiona ma pokryte tatuażami. Bardzo eklektycznymi. Na klatce piersiowej napis: „Libertyn”. Przyznaje, że to na razie tylko wyraz pewnych aspiracji. Na ich występ czekało 300 nastolatków, którzy podnieśli telefony, aby uwiecznić ten moment. Gitary grały ostro, ale publiczność nie reagowała żywiołowo. Nikt nie dał się ponieść. Członkowie zespołu powiedzieli, że wszystkie teksty zostały wcześniej zatwierdzone przez odpowiedni organ cenzury.

Zawsze tak się dzieje w tym kraju. Warto o tym pamiętać.

Na jednej ze ścian podświetlony był slogan goszczącej muzyków hali: „Głos młodzieży”. ●

tłum. Łukasz Grzymistawski



Nostalgiczna Słowacja

ROSJAN NA CO DZIEŃ NIE
WIDAĆ, A NOWE MEBLE TAKSłowacka przeszłość jest uboga w dobre wspomnienia?
Premier Fico ma na to sposób

• Rok 1977, Bukareszt, prezydent Czechosłowacji Gustáv Husák (z lewej) z wizytą w Rumunii. Na prawo od niego rumuński prezydent Nicolae Ceaușescu

FOT. ROMANIAN NATIONAL ARCHIVES/WIKIPEDIA

Martin M. Šimečka*

W 1978 r. w Czechosłowacji reżim komunistyczny na czele z Gustávem Husákem – prezydentem i szefem partii – ogłosił, że nastąpi epoka „realnego socjalizmu”. Filozof i działacz opozycji demokratycznej Miroslav Kusý przetłumaczył tę nowomowę następująco: „Realny socjalizm to jest po prostu to, co teraz tutaj mamy”. Utopia przyszłego komunistycznego szczęścia została odrzucona, idee straciły sens, istnieje tylko teraźniejszość i tak już będzie na wieki. 10 stycznia – w III. rocznicę urodzin Husáka – Robert Fico odwiedził jego grób, mówiąc, że czuje potrzebę, aby „oddać mu cześć i wyrazić szacunek”. Wcześniej Fico nie chodził na grób Husáka, więc czemu akurat teraz? Ano dlatego, że wiele osób wspomina z nostalgią drętwą epokę lat 70. i 80. zwaną przez reżim „normalizacją”.

Populiści na całym świecie obiecują wyborcom powrót do szczęśliwej przeszłości, ale

Fico długo miał z tym problem, bo słowacka przeszłość jest bardzo uboga w dobre wspomnienia. Były to przeważnie czasy biedy i ucisku, więc w porównaniu z jakąkolwiek minioną epoką Słowakom najlepiej prowadzi się właśnie dziś. Nigdy nie byli tak zamożni i nie osiągnęli takiej pozycji w Europie jak obecnie.

Dlatego Fico nie odważył się dotąd otwarcie głosić pochwały lat 70. i 80. – na dodatek panowała wtedy dyktatura, obalona przez społeczeństwo podczas aksamitnej rewolucji w 1989 r.

Teraz jednak, gdy zwyciężył w wyborach dzięki krytyce Zachodu i liberalnej demokracji, najwyraźniej nadszedł czas na apel do wyborców, by odrzucili wstyd i przyznali się do nostalgii za reżimem ery Husáka. Może liczyć na pamięć starszych zwolenników, którzy przekazują ją dzieciom.

To wspomnienia ogromnego wzrostu stopy życiowej, kiedy Słowacy przenosili się z wiejskich domów bez łazienek i toalet do miast, gdzie czekały na nich mieszkania w blokach z centralnym ogrzewaniem i ciepłą wodą w kranach. Natomiast ci, którzy zostali na wsi, budowali sobie piętrowe kłocki domków, które dziś często stoją puste, ale są dowodem ówczesnego optymizmu.

Była to co prawda epoka zniemczenia, kiedy wszyscy dokładnie wiedzieli, co się znajdzie w telewizyjnych wiadomościach (to samo, co wczoraj), ale prywatnie można

było marzyć o przyszłości: że człowiek sobie kupi samochód albo telewizor czy nowe meble. Dla większości społeczeństwa „realny socjalizm” to była w sumie przyjemna epoka historyczna – okres niezwyklego wzrostu stopy życiowej. Przypominanie nostalgikom, że panował wtedy reżim totalitarny, mija się z celem. Dla wielu ludzi brak wolności był ceną do przyjęcia za ich dobrobyt i dziś uważane jest to nawet za zaletę: bo każdy wiedział, gdzie jest jego miejsce, a system był przejrzysty, z pewnością lepszy od dzisiejszego chaosu i nieustannych zmian władzy.

Oczywiście po 1968 r. byliśmy krajem okupowanym, ale większość ludzi nigdy nie widziała radzieckich żołnierzy, bo siedzieli w zamkniętych osiedlach, podobnie jak większość ludzi nigdy nie była przesłuchiwana przez służbę bezpieczeństwa, a wielu nawet nie miało pojęcia o jej istnieniu.

Więc kiedy Fico wmawia zwolennikom, że właśnie wtedy byli najszczęśliwsi, trafia w dziesiątkę. Bo to jego wyborcy najwięcej zapłacili za rok 1989, kiedy z dnia na dzień utracili pozycję społeczną. Doświadczenie całego ich życia, jak dogadać się z potężną strukturą władzy, nagle okazało się całkiem nieprzydatne. Wyborcy Fico – pokolenie rodziców i ich dzieci – należą do tych, którzy w demokracji czują się pokonani.

Fico daje im iluzję powrotu do przeszłości. Podobnie jak Husák zwraca się w stronę Rosji, wobec Zachodu jest nieprzyjazy,

a z opozycji i niezależnych mediów buduje obraz wroga. Jednak coś, czym najbardziej przypomina Husáka, to cyniczny język władzy, zacierający wszelkie różnice między prawdą i kłamstwem, dobrem i złem, bo jedyną realną wartością jest dla niego sama władza. Na tym opiera się cała reszta.

Aż do tego momentu jest to banalna próba ożywienia nostalgii za czymś, do czego nie da się wrócić. Fico tworzy tylko emocjonalne więzi z wyborcami, którzy chcą w nim widzieć nowego Husáka. To bardziej odstręczające niż przerażające. Zresztą Husák w 2019 r. w telewizyjnym plebiscyście na największego Słowaka zajął dopiero siódme miejsce.

Ta próba jest ciekawa w kontekście Europy Środkowej. Słowacja bowiem jest jedynym krajem, którego premier otwarcie przyznaje się do komunistycznej epoki jako swego dziedzictwa. Taka oficjalna nostalgia za komunistyczną przeszłością istnieje jeszcze tylko w Rosji, gdzie Putin świadomie wskrzesza kult Stalina.

Istnieje też oczywiście jeszcze ludowa nostalgia – taka, do której politycy się nie przyznają, np. w krajach dawnej Jugosławii. Tam jednak jest uzasadniona, bo była to era relatywnej wolności i stabilności – wszyscy mieszkańcy Europy Środkowej patrzyli wtedy na Jugosławię z zazdrością. Politycy nie mogą się jednak odwoływać do tej nostal-

gii, bo w ten sposób kwestionowaliby swój nacjonalizm, który od rozpadu Jugosławii utrzymuje ich przy życiu.

Podobnie na Węgrzech, gdzie ludzie z sympatią wspominają Jánosą Kádára i lata 80. Też w jakimś stopniu to zrozumiałe, była to epoka konsumpcji i swobód nieporównywalnych z czechosłowackimi – w okresie tym nazywano Węgry „najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym”. Ale Viktor Orbán nie może się odwoływać do Kádára, bo karierę polityczną oparł właśnie na twardej krytyce ówczesnego lidera komunistów.

W Polsce całkiem nie do pomyślenia jest nawiązywanie do komunistycznej przeszłości, bo w pamięci ludzi jest związana z represjami, upadkiem i materialnymi brakami.

To samo w znacznym stopniu dotyczy Czechów, którzy wciąż nostalgicznie wspominają międzywojenną Czechosłowację, kiedy mieli na czele Tomáša Garrigue Masaryka i zbudowali nowoczesne państwo demokratyczne. Komunizm wrzucił ich pomiędzy narody Europy Wschodniej, gdzie wcale nie chcieli być. W ankiecie najbardziej nie lubianych czeskich postaci historycznych Husák pojawił się w pierwszej dekadzie (choć był Słowakiem). Fico albo sobie tego nie uświadamia, albo jest mu to obojętne, że kłaniając się Husákowi, strasznie Czechów obraził.

Fico nie ma jednak żadnych zahamowań, bo w młodości był komunistą, przysięgał na wierność reżimowi Husáka i należał do warstwy uprzywilejowanej. Dlatego jest jedynym przywódcą w Europie Środkowej, który otwarcie odwołuje się do tej nostalgii i ma ku temu także osobiste powody.

Husák, nawet w porównaniu z innymi komunistami, był człowiekiem wyjątkowo bezwzględny i amoralny. Paradoksalnie najbardziej mścił się na dawnych bliskich przyjaciółach. W latach 60. czesko-słowacki historyk Milan Hübl bardzo mu pomógł po jego powrocie z więzienia.

[W 1951 r. Husák – już wysoki działacz komunistyczny – został aresztowany, a w 1954 skazany na dożywocie pod zarzutem „słowackiego burżuazyjnego nacjonalizmu”. Amnestionowany w 1960 r., trzy lata później przywrócono mu członkostwo w partii. W 1968 należał do grona współpracowników szefa partii Alexandra Dubčeka, był jednak dość sceptyczny wobec demokratycznych reform. Po wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji objął kierownictwo w partii i państwie, brutalnie rozprawiając się z przeciwnikami i społeczeństwem].

Jako członek ścisłego kierownictwa partii Hübl przyczynił się do tego, że w kwietniu 1969 r. Husák został szefem partii i przez całe 20 lat był najpotężniejszą osobą w kraju.

Trzy lata później w procesie politycznym skazano Hübla na cztery lata więzie-

nia, a Husák osobiście zabronił ówczesnemu prezydentowi ułaskawienia swego przyjaciela. Pamiętam tego człowieka o gęstej czarnej brodzie i smutnych oczach, który po wypuszczeniu z więzienia siadywał u nas w kuchni i dyskutował z moim ojcem. Nie rozumiałem, jak mógł ulec urokowi Husáka.

Robert Fico twierdzi dziś, że Husák „zapobiegł represjom” w czasie „normalizacji”. Ale było odwrotnie – to Husák był twórcą reżimu, który wysyłał ludzi do więzienia za poglądy i setki tysięcy osób pozbawił pracy.

Fico wie, że dziś w Słowacji nie może iść śladami Husáka, lecz wyrażony publicznie podziw dla niego to sygnał dla społeczeństwa, że w jakimś stopniu o to się postara.

Możliwe jednak, że wcale nie chodzi o cyniczny trik, ale że Fico naprawdę widzi w Husáku wzór. Bo łączy ich żądza władzy i pogarda dla wartości moralnych, ale także retoryczny talent i zdolność do wypowiadania bezwstydných kłamstw.

„Realny socjalizm” Husáka stanowił dla społeczeństwa komunikat, że władza jest ostateczna i wieczna, dlatego nie ma sensu liczyć na zmianę reżimu, więc najrozsądniejszą strategią życiową jest uznanie tego faktu i wycofanie się w sferę prywatną.

Narody zwykle odwołują się do wielkich postaci, które dokonały niezwykłych czy bohaterskich czynów. Do tych, którzy wierzyli – i potwierdzili to dokonaniem – że narody mają jakiś wyższy cel do spełnienia. Husák w nic takiego nie wierzył – był tylko sługusem Moskwy, a jego jedynym wielkim dokonaniem było to, że na 20 lat uwięził narody czeski i słowacki w duchowej pustce.

To jest prawdziwa przyczyna tego, że mu Fico „oddał cześć i wyraził szacunek”. Jest mu bliski nihilizm Husáka i przekonanie, że tylko on ma prawo rządzić w Słowacji.

Miroslav Kusý wspominał, że w nocy 21 sierpnia 1968 r., kiedy ulicami Bratysławy jechały czołgi radzieckie, Husák mu powiedział: „Ja muszę za wszelką cenę uratować ten naród, nawet gdyby mi wszyscy mieli napluć w twarz”. Był pewny, że wie, czego naród potrzebuje – życia w poniżeniu, lecz w materialnym dostatku.

Fico myśli tak samo, co oznacza, że w istocie gardzi narodem, bo odmawia mu prawa do jakiegokolwiek misji historycznej i wyższego sensu istnienia. W tej kwestii świetnie rozumie się ze swymi wyborcami. ●

przeł. Andrzej S. Jagodziński

***Martin M. Šimečka** – ur. w 1957 r., słowacki pisarz i publicysta. Były naczelny słowackiego dziennika „Sme” i czeskiego tygodnika „Respekt”. Pracuje w słowackim „Deniku N”. Tam też ostatnio ukazał się tekst.

Normalizacja

Niewygodnych zwolnimy albo uciszymy

Na początku lutego na specjalnie zwołanej konferencji prasowej w Bratysławie przedstawiciele słowackiego premiera Roberta Fico (został nim ponownie w październiku 2023 r.) zapowiedzieli złożenie pozwu przeciwko Martinowi M. Šimečkowi i oskarżyli go o obrażę narodu.

Miały to sprawić słowa pisarza i publicysty wypowiedziane w czasie debaty zorganizowanej przez niezależny „Denik N”, w którym ten pracuje. Krytykując słowa Fico, że Ukraina to kraj niesuwerenny, Šimečka stwierdził: „Mówi to premier narodu tchórz, który

bał się pojechać do Kijowa, i mówi to Ukraińcom, którzy umierają w obronie własnej suwerenności”.

Groźby wobec Šimečki wpisują się w całą serię ataków władz na wszelkie niezależne struktury i postaci słowackiej sceny publicznej. W ostatnim czasie Fico zwalnia policjantów i śledczych zajmujących się wyjaśnianiem afer jego poprzedniego rządu, zlikwidował urząd specjalnego prokuratora, który się tym zajmował, atakuje organizacje pozarządowe i zapowiada likwidację niezależności mediów publicznych. Po ponownym objęciu wła-

dy próbuje wprowadzić nowy wariant „normalizacji” po okresie rządów koalicji, która ujawniła wiele korupcyjnych afer jego poprzedniej ekipy.

Jak pisze naczelny czeskiego tygodnika „Respekt” Erik Tabery, „Fico skarży Šimečkę, natomiast dla swoich sojuszników przygotowuje amnestię i zmniejszenie wyroków. Komentator Šimečka nie powiedział niczego szokującego, bo opierał się na sondażu, z którego wynika, że tylko mała część Słowaków jest gotowa bronić kraju w przypadku napaści na niego”. ●

asj

Skojarzenia

Jak Trump i PiS wykorzystali śmierć Aleksieja Nawalnego.



Michał Rusinek

Śmierć Aleksieja Nawalnego, lidera rosyjskiej opozycji, wywołała olbrzymią falę komentarzy. Dominowało w nich oburzenie, zaniepokojenie i współczucie, pojawiały się także chłodne analizy jego wypowiedzi i czynów. Najciekawsze – zwłaszcza pod względem logicznym – były jednak skojarzenia, jakie śmierć ta wywołała u niektórych polityków.

Donald Trump na platformie Truth Social, nie bawiąc się w ceregiele typu wyrazy współczucia czy potępienie kogokolwiek, przeszedł od razu do rzeczy: „Nagła śmierć Aleksieja Nawalnego uświadomiła mi coraz bardziej, co dzieje się w naszym kraju”. Nie wiadomo, jak pojedyncze wydarzenie może „coraz bardziej” uświadamiać, ale gramatyka, a zwłaszcza logika, nie jest najmocniejszą stroną byłego prezydenta USA. W kolejnych zdaniach Trump opisał co się w Ameryce, jego zdaniem, dzieje: „To jest powolny i stały proces, OSZUKAŃCZY lewacy politycy, prokuratorzy i sędziowie wiodą nas do zguby. Otwarte granice, sfałszowane wybory i rażąco niesprawiedliwe wyroki sądów NISZCZĄ AMERYKĘ!” („oszukańczy”, czyli „crooked”, to jedno z ulubionych słów Trumpa). Dziennikarze agencji Reutersa usiłowali dowiedzieć się, jakie podobieństwa dostrzegł między śmiercią Nawalnego a sytuacją w USA, ale służby prasowe Trumpa nie odpowiedziały na prośbę o wyjaśnienia. Dwa dni później Trump udzielił na szczęście wywiadu stacji Fox News, w którym skrytykował decyzję nowojorskiego sądu, nakładającą na niego karę w wysokości 354,9 milionów dolarów za oszustwo finansowe, po czym dodał: „To tak jak z Nawalnym”, który był „a very brave guy” („bardzo odważnym facetem”). Rzeczywiście, rosyjski opozycjonista został z początku oskarżony o rze-kome defraudacje finansowe (następnie ob-rażę sądu, tworzenie organizacji ekstremistycznej i wreszcie „promowanie terroryzmu”). Ale to raczej on sam tropił nieprawidłowości finansowe (a ściślej „oszustów i złodziei”) na szczytach rosyjskiej władzy, na miejscu Trumpa nie szarżowałbym więc z porównaniami. Trump jednak jest specjalistą od szarż, mówił więc dalej, że w USA mamy do czynienia „z jakąś formą komunizmu czy też faszyzmu”: „Pod wieloma względami przekształcamy się w państwo komunistyczne. Przeciwno mnie toczy się osiem czy dziewięć procesów, a wszystko to przez to, że... jestem politykiem”. Wywiad z Trumpem skomentował prezydent Biden: „Czemu Trump zawsze obwinia Amerykę? Za śmierć Nawalnego odpowiedzialny jest Putin. Czemu Trump nie może po prostu tego powiedzieć?”. Cóż, chyba wiadomo, czemu.

Nasi rodzimi politycy także nie zawiedli. Na Twitterze/X Mariusz Kamiński napisał: „Aleksiej Nawalny nie umarł z przyczyn naturalnych. Został zamordowany przez reżim Putina za to, że ujawniał korupcję na szczytach władzy. Nie możemy zapomnieć o jego

śmierci. 16 lutego powinien być dniem hańby dla wszystkich dyktatorów”. Brzmi znajomo, prawda? Przecież według PiS-u Kamiński i Wąsik zostali skazani nie za nadużycie władzy w CBA, ale za „działania związane z walką z korupcją na szczytach władzy” – jak mówił, wielokrotnie potem cytowany, prezydent Andrzej Duda. Kamiński nie napisał wprawdzie, że on także był więźniem politycznym i że jego także torturowano („Bez żadnego powodu człowiekowi, który ma wady przegród nosowych, wprowadzono rurę, co powodowało wielki ból. Dokonano przymusowego karmienia, to jest tortura” – jak mówił Jarosław Kaczyński), ale zasugerował, że obaj – i Nawalny, i on – zajmowali się tym samym i za to samo byli prześladowani przez dyktatorskie władze, które uwięziły ich pod absurdalnymi zarzutami. Oprócz wskazania podobieństwa między sobą a Nawalnym, zasugerowanego cytatem z wypowiedzi Dudy, Kamiński zasugerował – w formie presupozycji – że obecne władze w Polsce mają charakter dyktatorski. Skoro Putin jest dyktatorem, a Tusk zachowuje się (wobec Kamińskiego) jak Putin, to oczywiście Tusk też jest dyktatorem. Oto *argumentum ad Putinum*.

Do śmierci Nawalnego – oraz do dyktatury – nawiązał także Jarosław Kaczyński. Na spotkaniu w Opocznie stwierdził bowiem, że Prawo i Sprawiedliwość przegrało wybory parlamentarne przez to, że jego przeciwnicy rozpowszechniali tezę, że za jego rządów panowała dyktatura. „Jaka to dyktatura, kiedy opozycja robi, co chce, nie ma żadnej cenzury?” – spytał retorycznie. I dodał: „W prawdziwej dyktaturze mógłby ich spotkać los Nawalnego, który niewątpliwie został zamordowany”. W przeciwieństwie do Donalda Trumpa, Jarosław Kaczyński raczej wie, co mówi. Wie też, czego nie mówi. Nie powiedział przecież, że rządy PiS były łagodną demokracją. Nie powiedział też, że nie były dyktaturą. Powiedział za to, że były dyktaturą nieprawdziwą, bo gdyby były prawdziwą, to liderów opozycji spotkałby taki sam los, jaki spotkał Nawalnego. Ta wypowiedź była nieokreślonym aktem mowy, można ją bowiem rozumieć albo jako podważenie sądów bylej opozycji i sprzyjających jej mediów o PiS-ie i jego rządach: „Mówiliście, że to była dyktatura, ale to nieprawda: to nie była prawdziwa dyktatura!”, albo jako rodzaj groźby: „Cieszcie się, że to nie była prawdziwa dyktatura, bo gdyby była, to skończylibyście jak Nawalny”, albo wreszcie, jako formę przyznania się do porażki: „Niestety, nie było cenzury, wciąż funkcjonowały nieprzychylnie nam media, więc nie udało się utrzymać władzy; byłoby inaczej, gdybyśmy mogli rządzić tak, jak się rządzi w dyktaturach”. Takie zdania mają to do siebie, że gdyby ktoś, usłyszawszy je, zarzucił nam, że mu grozimy (w tym przypadku nawet śmiercią), to zawsze możemy powiedzieć, że błędnie odczytał akt mowy, który wcale nie był groźeniem, lecz zwykłym odparciem nieprawdziwego zarzutu. Puszczamy jednak przy okazji oko do tych, którzy chcą w nas widzieć polityka, który jeśli chce, to umie i pogrozić.

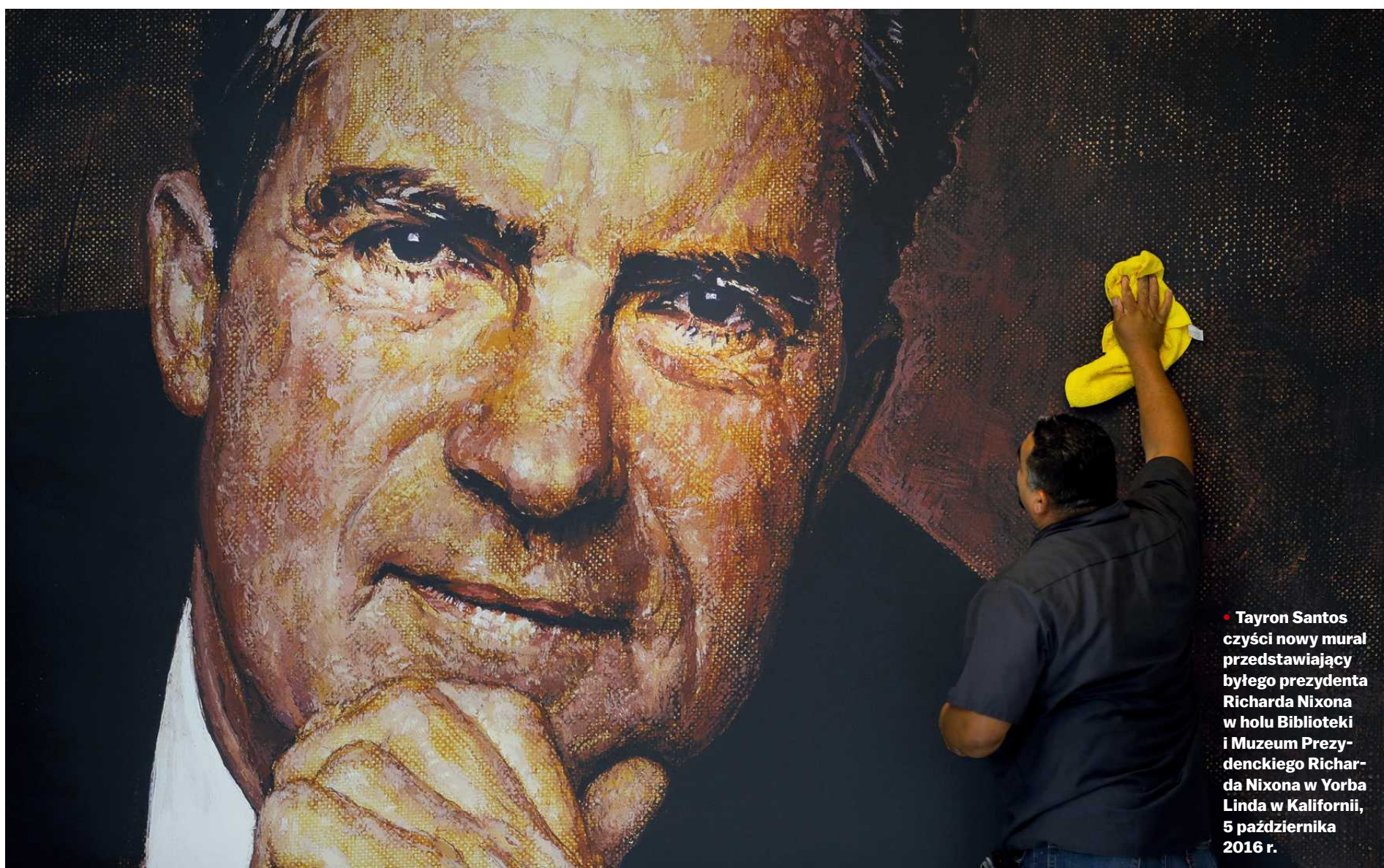
Wszystko to przykłady na instrumentalne wykorzystywanie śmierci Aleksieja Nawalnego, oparte na dość żenujących skojarzeniach z własną sytuacją: z oskarżeniami o oszustwa finansowe, z osadzeniem w więzieniu za nadużycie władzy i z przegranyimi wyborami. Nie ma w nich współczucia dla bliskich Nawalnego i nie ma żadnej refleksji nad konsekwencjami jego śmierci: dla Ameryki i dla Polski. Świat w tych skojarzeniach kończy się na granicy własnych interesów, osobistych i politycznych. Być może te skojarzenia to objaw strachu (lub, jak w przypadku Kaczyńskiego, chęć wywołania strachu) i być może psychologia dobrze zna takie objawy. Ale od polityków oczekivalibyśmy jednak czegoś więcej niż gry w skojarzenia. ●

Adam Michnik poleca

ZATĘSKNICIE ZA NIXONEM

Zwycięzca mógł być tylko jeden: prezydent albo amerykańska demokracja

Katarzyna Wężyk



• **Tayron Santos** czyści nowy mural przedstawiający byłego prezydenta Richarda Nixona w holu Biblioteki i Muzeum Prezydenckiego Richarda Nixona w Yorba Linda w Kalifornii, 5 października 2016 r.

FOT. JAE C. HONG/AP/FOTOLINK

Wyobraźmy sobie państwo, którego przywódca, stary polityczny wyjadacz, przestał rozumieć swoich obywateli i obywatelki, zwłaszcza tych najmłodszych, dorastających już w zupełnie innej rzeczywistości niż on. „Zamknięty we własnym świecie”, w obliczu rosnącego społecznego protestu czuł się „najpierw niezrozumiany, potem zdradzony”.

Na szczytach władzy narastała paranoja i szerzyły się spiskowe teorie: opozycja oraz protestujący musieli być w zмовie z wrogami zewnętrznymi, przez nich oplacani i inspirowani, nie ma innego wytłumaczenia.

Drugi, równie doświadczony lider, wyposzczony ośmioletnią przerwą w sprawowaniu władzy, potrafił wczuć się w nastroje rodaków zaniepokojonych kierunkiem, w jakim zmierza ich kraj, i wygrać wybory. Przejmując władzę, obiecał zakopanie podziałów, transparentność, spokój i otwarcie zarówno na nowe idee, jak i na krytykę. „Zapanowało powszechne przekonanie, że kraj będzie teraz cieszyć się okresem narodowego ochłodzenia nastrojów pod rządami skromnej, bezpretensjonalnej, pracowitej i praktycznej administracji”.

Nie, ten kraj to nie Polska AD 2024, tylko Stany Zjednoczone w roku 1968. Liderem, który miał chłodzić nastroje i zakopywać podziały, był 37. prezydent USA, Richard Nixon.

Poprzednik Nixona Lyndon B. Johnson był politykiem równie ambitnym, co utalentowanym. Pochodził z zapadłej dziury w Teksasie i tak długo nosił teczkę za ważniejszymi od siebie i podlizywał się tym z realną władzą, aż dochrapał się miejsca w Izbie Reprezentantów. Następny krok, zdobycie godności senatora, uczynił za pomocą bezczelnego oszustwa: wygrał różnicą 87 dosypanych do urn głosów.

W Senacie Johnson okazał się mistrzem zakulisowego dogadywania się i dowożenia ustaw, co dało mu stanowisko lidera Demokratów. W 1960 r. przegrał w prawyborach z Johnem F. Kennedym, ale przyjął ofertę zaszczytnego, choć wyłącznie tytularnego drugiego miejsca, czyli stanowiska wiceprezydenta.

Kiedy w listopadzie 1963 r. zamachowiec zabił JFK, Johnson przejął władzę (rok później potwierdził ją w wyborach prezydenckich). I przeprowadził szereg postępowych reform, które wcześniej wydawały się niemożliwe: przepchnął przez Kongres ustawę o prawach obywatelskich, która zakończyła segregację w szkołach i przy urnach, pro-

Każdy opór, sprzeciw czy krytyka były w jego oczach śmiertelnym zagrożeniem. Uważał, że wiarygodności, własnej i państwa, należy bronić wszelkimi środkami

gram walki z ubóstwem (tzw. Wielkie Społeczeństwo) i publiczną opiekę medyczną dla seniorów Medicare. Z tym dorobkiem miałby spore szanse na dołączenie do grona najwybitniejszych prezydentów USA. Miałby, gdyby nie Wietnam.

Pierwszych amerykańskich wojskowych do Azji Południowo-Wschodniej wysłał jeszcze Kennedy, ale Johnson doprowadził do eskalacji konfliktu. W miarę, jak coraz więcej młodych chłopaków ekspedowano w mundurach do Wietnamu – i coraz więcej wracało w trumnach – rósł opór przeciwko wojnie i samemu prezydentowi. W 1968 r. Johnson zrezygnował z ubiegania się o kolejną kadencję.

Republikanin Richard Nixon z kolei był przez osiem lat wiceprezydentem u boku Dwighta Eisenhowera. Przegrał z Kennedym w wyborach powszechnych i jego ka-

rierą wydawała się zakończona. W 1968 r. udało mu się jednak idealnie wstrzelić w nastroje tej części społeczeństwa, którą sam nazwie milczącą większością: osób starszych, konserwatywnych, przerażonych upadkiem autorytetów, „seksualnym rozpasaniem” młodzieży i akcjami obywatelskiego nieposłuszeństwa. Nixon wygrał wybory dzięki obietnicy przywrócenia prawa, porządku i społecznego spokoju. Kolejną kadencję, w 1972 r., zdobył w cuglach, zbierając rekordowe 520 na 538 głosów elektorskich.

A niecałe dwa lata później, w wyniku afery Watergate, odchodził w niesławie – ale nawet wsiadając do helikoptera po własnej rezygnacji do ust miał przyklejony lekko maniackalny uśmiech, a obie dłonie ułożył w znak zwycięstwa.

O prezydenturze Nixona wyprodukowano wiele grubych tomów, ale pisane na gorąco i wydane w 1975 r. „The Time of Illusion” Jonathana Schella odróżnia to, jak niewiele miejsca autor poświęca samemu Watergate i jego konsekwencjom. Schell, wówczas 32-letni dziennikarz, był już autorem „Wioski Ben Suc”, do dziś uważanej za jeden z najlepszych reportaży o Wietnamie.

W Polsce książka została wydana parę lat temu (w przekładzie Rafała Lisowskie-

go) w pakiecie z „Wojskową polową”, gdzie mniej już jest reportażu, za to więcej statystyk. Tego samego stylu – beznamietnego, oszczędnie dawkującego komentarza, za to bezbłędnie porządkującego fakty – używa w „The Time of Illusion”. I tam też osiąga jest Vietnam.

Według Schella nie da się zrozumieć prezydentury Nixona bez tzw. doktryny wiarygodności. Miała ona być odpowiedzią na problem konfliktu zbrojnego w świecie, w którym mocarstwa po obu stronach żelaznej kurtyny posiadały broń nuklearną. Wojna atomowa między USA a ZSRR była by samobójczą dla obu adwersarzy.

Dlatego, przekonywali ówcześni teoretycy spraw zagranicznych, z prezydenckim doradcą Henrym Kissingerem na czele, Stany powinny prowadzić małe, ograniczone wojny z dala od domu, które przekonają zarówno ich wrogów, jak i sojuszników, że Ameryka jest silna i gotowa do tego, by, jeśli zajdzie taka potrzeba, użyć wszelkich środków, które ma w arsenale. Dzięki temu naciśnięcie czerwonego guzika będzie już niepotrzebne: odstraszająco zadziała sama wiara Moskwy, że Waszyngton jest w stanie to zrobić.

Ten medal miał jednak drugą stronę: jeśli USA w tych odległych wojnach okażą słabość – np. wycofają się z Wietnamu po kilku latach bezowocnych walk – osmieili to ZSRR czy Chiny. Waszyngton nie może więc sobie pozwolić na porażkę. „Zgodnie z doktryną wiarygodności Stany Zjednoczone były zaangażowane w globalną PR-ową batalię, w której odwrót w dowolnej części świata, bez względu na to, jak mały, mógł podważyć całą strukturę amerykańskiej potęgi”.

Według Schella wkładem Nixona w doktrynę wiarygodności było rozciągnięcie jej na politykę wewnętrzną. Prezydent miał obsesję na punkcie podważania jego własnego autorytetu: wszystkie kryzysy, od klęsk w Wietnamie przez protesty ruchu antywojennego po opór Senatu i krytyczne nastawienie prasy, postrzegał przez pryzmat kryzysu autorytetu urzędu; reagował wybuchami gwałtownego gniewu.

Były to, dodajmy, zagrożenia symboliczne: partyzanci Wietkongu nie szykowali się do inwazji na USA, Senat nie mógł podważać prerogatyw prezydenta, a radykalna młodzież, coraz mniej zresztą aktywna, nie zdołałaby obalić rządu. Ale uderzały w obraz sprawczego lidera wolnego świata, i w ślad za tym w wiarygodność amerykańskiej potęgi i władzy prezydenta.

Nixon był najpotężniejszym człowiekiem na planecie, ale, pisze Schell, prześladowały go kastracyjne niemal lęki: wizje własnej bezsilności w polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Autorytet prezydenta, podobnie jak mocarstwa, według Nixona przypominał wysłużoną tamę na rwącej rzece, gdzie najmniejsze nawet pęknięcie oznaczało groźbę zawalenia się całej konstrukcji. Każdy opór, sprzeciw czy nawet krytyka były więc w oczach Nixona śmiertelnym zagrożeniem. A wiarygodności, własnej i państwa, należało bronić wszelkimi środkami.

Środki te należą do stałego repertuaru prawicowych populistów o autorytarnych tendencjach; PiS również czerpał z niego pełnymi garściami.

Nixon mianował się przedstawicielem ludu, owej milczącej większości, soli ziemi, którą establishment pogardza i której się boi. Lub, jak kto woli, emanacją woli suwerena, której należało podporządkować polityczne instytucje. Dla większości Amerykanów co prawda to administracja prezydenta była establishmentem i elitami, ale urzędnicy Nixona uważali siebie za ludowych bojowników zwalczanych przez broniące własnej pozycji liberalne salony.

Liberałowie owi byli, również tradycyjnie, jednocześnie wszechpotężni oraz słabi i zniewieściali. W ich krytyce celował zwłaszcza wiceprezydent Spiro Agnew,

bulterier od brudnej roboty, który w przemówieniach zwalczał „arogantów” dotkniętych „masochistyczną kompulsją niszczenia siły swojego kraju niezależnie od tego, czy ta krytyka jest konstruktywna”, „ideologicznych eunuchów” czy „bezczelne snoby, które uważają się za intelektualistów”.

I tak w polowie pierwszej kadencji, ocenia Schell, Nixon uznał, że wrogowie Ameryki i jego przeciwnicy to właściwie ta sama sieć zła. Partyzanci z Wietkongu oraz moskiewscy i pekińscy towarzysze w jego wyobraźni maszerowali ramię w ramię z politykami Demokratów, upartymi sędziami, beczelnymi pismakami, smarkaczami demonstrującymi na ulicach i przestępcami zagrażającymi życiu i mieniu dobrych obywateli. A wrogowie wewnętrzni byli dużo bardziej niebezpieczni.

Nixon był przekonany, że najważniejsze amerykańskie instytucje – Kongres, wymiar sprawiedliwości, media, organizacje pozarządowe – zmagają się, by sparaliżować jego prezydenturę i zniszczyć go osobiście.

To przekonanie podzielał jego najbliżsi współpracownicy. „Najpotężniejsi ludzie w kraju we własnych umysłach wmanewrowali się w pozycję ofiar, których prawa były zagrożone przez uzurpatorów w studiach telewizyjnych, nieposłusznych obywateli na ulicach, początkujących kongresmenów i sabotażystów w federalnej biurokracji. Wychodzowali w sobie lęk, że prezydent może być bezsilny – że może zostać zamieniony w żalosnego, bezradnego olbrzymia”, pisze Schell.

Biały Dom stosował więc manewry wyprzedzające. Podważał obiektywizm mediów. „Prasa to wróg”, powtarzał Nixon podwładnym, a jego urzędnicy pisali tony listów krytykujących sposób pokazywania prezydenta w telewizji czy w gazetach. Inwigilowano opozycję, dziennikarzy, a nawet własnych urzędników, wykorzystując do tego rządowe agencje, od FBI po IRS (urząd podatkowy).

Wobec demokratycznych kandydatów do prezydenckiej nominacji w wyborach z 1972 r. ludzie Nixona stosowali selektywną kampanię oczerniania, tak by wyeliminować tych, którzy mogli prezydentowi zagrozić. Jeden z jego podwładnych, Gordon Liddy – odpowiedzialny też za Watergate – zaproponował bicie demonstrantów zakłócających konwencję Republikanów i zatrudnienie wysokiej klasy prostutek, które miały się pojawić dla odmiany na konwencji Demokratów i zwabić ich na jacht naszpikowany aparatami fotograficznymi i sprzętem nagrywającym. Plan został odrzucony, ale nie dlatego, że był nieetyczny, tylko... za drogi.

Ponieważ polityczni przeciwnicy prezydenta byli też z samej zasady przeciwnikami państwa, Nixon uważał te działania za usprawiedliwione, nawet jeśli stanowiły przekroczenie konstytucyjnych uprawnień. A członkowie jego administracji wiedzieli, że to prezydentowi zawdzięczają pozycję, więc byli lojalni i nie zadawali zbędnych pytań.

Watergate, uważa Schell, nie było więc wcale jednorazowym nadużyciem, tylko elementem szerszego systemu. Logicznym skutkiem utożsamienia interesu własnego z interesem państwa i w konsekwencji uznania osób dzierżących władzę za stojące ponad prawem. Tym, co odróżniało włamanie do kwatery głównej partii demokratycznej, by założyć tam podsłuchy, od innych form mniej lub bardziej beczelnego przekraczania uprawnień w imię bezpieczeństwa narodowego, było głównie to, że włamywacze dali się złapać.

Schell podkreśla krytyczną rolę erozji instytucji, do której doszło za prezydentury Nixona: „Jeśli kontrolny, formujący wpływ prawa maleje, kontury samego systemu politycznego rozmywają się i ostatecznie zanikają. Instytucje, które nie są już w sta-



WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Machej*

Rosja podpisuje

*Rosja podpisuje
z tobą przymierze,
Europo, podpisuje
z tobą układ*

*ręką ukraińskiego jeńca,
którą odrąbała siekierą,
ponieważ był na niej tatuaż
„Sława Ukrainie”,*

*a swoją ręką wysyła
przeciwko tobie
bombowce,*

*aby sprawdzić refleks
twoich sił
szybkiego reagowania.*

***Zbigniew Machej** - ur. w 1958 r. w Cieszynie. Poeta, eseista, tłumacz poezji. Wydał kilkanaście zbiorów wierszy. Był m.in. wicedyrektorem Instytutu Polskiego w Pradze i dyrektorem Instytutu Polskiego w Bratysławie.

Wiersz za jego zbiorem poezji **„2020”**, wyd. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi / Dom Literatury w Łodzi, seria „Szumy, zlepy, ciągi”, tom 35, Łódź 2021.

nie wypełniać swoich obowiązków, stają się niechlujne i zniekształcone, i oddalają się od wyznaczonych im w systemie konstytucyjnym zadań. Role i kompetencje zderzają się i stają się niejasne, władza trafia do tego, kto ją zgarnia, a system wypacza się i chwieje, zmierzając ku upadkowi”.

Zimnym prysznicem, zarówno dla owych instytucji, jak i narodu, było Watergate. A i tak od złapania włamywaczy do prezydenckiej rezygnacji upłynęły ponad dwa lata. Gdy w lipcu 1974 r. Nixon wreszcie został zmuszony do ujawnienia całości taśm z nagraniami rozmów prowadzonych w Białym Domu, gmach kłamstw, oszustw i półprawd, na których opierała się jego władza, runął. Nie doszłoby do tego jednak, gdyby Republikanie w Kongresie nie postawili interesu państwa nad interesem partii i nie byli skłonni do zgłoszenia za impeachmentem, a potem odwołaniem prezydenta. Ostatecznie głosowania nie było, Nixon sam złożył urząd.

Schell pisze, że w 1974 r. gra toczyła się o przetrwanie i że zwycięzca mógł być tylko jeden: prezydent albo amerykańska demokracja. A Nixonowi niemal udało się obalić konstytucję i wprowadzić dyktaturę.

Dziś, po prezydenturze Donalda Trumpa, który został trzykrotnie poddany procedurze impeachmentu i trzykrotnie zabrał głosów Republikanów w Senacie, by go zdjąć z urzędu, po nieudanej próbie zamachu stanu z 6 stycznia 2021 r. i wobec realnego ryzyka, że wróci on do władzy, na czasy Nixona patrzymy niemal z nostalgią. W latach 70. amerykańskie instytucje – te same, które Schell krytykuje za apatię – ewidentnie jeszcze działały, ustrojowe bezpieczniki funkcjonowały sprawnie, a partyjna polaryzacja nie była aż tak toksyczna. Dziś Ameryka podzielona jest na dwa obozy, które żyją w dwóch różnych rzeczywistościach: ten pierwszy uważa Joe Bidena za demokratycznie wybranego prezydenta, a Donalda Trumpa za zagrożenie

dla demokracji, ten drugi jest przekonany, że Biden ukradł wybory, a Trump przywróci Amerycę dawną wielkość (cokolwiek to znaczy).

Oba obozy łączy brak zaufania do instytucji: poparcie dla Kongresu szoruje po dnie (popiera go 15 proc. Amerykanów i Amerykanek), niewiele lepiej jest z zaufaniem do Sądu Najwyższego (27 proc.). Tylko 7 proc. rodaków i rodaczek Schella deklaruje „duże zaufanie” do tradycyjnych mediów.

Ustrojowe bezpieczniki zadziałały w 2020 r., kiedy mimo nacisków Trumpa urzędnicy odmówili fałszowania wyborów. Zadziałały też w październiku zeszłego roku w Polsce: dzięki ogromnej mobilizacji obywateli i obywaterek PiS przegrał wybory i nie zdołał domknąć autorytarnego systemu. Ale w obu przypadkach niewiele brakowało.

„The Time of Illusion” pokazuje też, jak złudne bywają wyborcze obietnice, zwłaszcza te dotyczące zgody narodowej i zakopania podziałów. Nixon używał ich potem jak pałki do walenia krytyków: niepotrzebnie znów mąćcie wodę, podburzacie ludzi, niszczyćcie spokój, na który zagłosował suweren; czepiacie się po prostu, bo nie możecie się pogodzić z tym, że przegraliście.

Zbyt chętnie też uwierzył w to, że jest mędzem opatrnościowym, którego nie obowiązują reguły wiążące maluczkich: jeśli na moich barkach, rozumował, spoczywa ciężar powstrzymania wojny nuklearnej, czymże jest małe nagięcie lub złamanie prawa?

Wreszcie, prezydentura Nixona to dowód na to, jak ważna jest, przepraszam za patos i autopromocję, czwarta władza. Tylko upór dziennikarzy „Washington Post”, którzy jako jedyni drążyli temat – reszta gazet włamanie do Watergate i faktycznie komiczny proces jego sprawców relacjonowała skromnie i raczej jako miczałki – sprawił, że administracji Nixona nie udało się zamieść sprawy pod dywan. I jak ważne jest patrzenie władzy – każdej władzy – na ręce. ●

MAGIA TABLETKI

Nie jest tak, że depresja wynika z niedoboru serotoniny, a psychoza z nadmiaru dopaminy,
a leki ten niedobór, czy nadmiar wyrównują



Z **KATARZYŃĄ PROT-KLINGER***,
PSYCHIATRKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Czy leki psychiatryczne są nadmiarowo przepisywane przez lekarzy, a więc i niekiedy niepotrzebnie przyjmowane przez pacjentów? Taką tezę stawia w swojej głównej książce pt. „Zmącony obraz” amerykański dziennikarz Robert Whitaker.**
– Tak, uważam, że te leki są przepisywane nadmiarowo i czasami niepotrzebnie przyjmowane. Taka sytuacja wynika częściowo z przekonani niektórych lekarzy dotyczących przede wszystkim biologicznego charakteru zaburzeń psychicznych, a także z niedomogi systemowej, która nie pozwala na szybką pomoc psychoterapeutyczną.

Kiedy po raz pierwszy zetknęła się Pani z tą książką?
– Przeczytałam ją tuż po tym, jak została wydana po angielsku, czyli ok. 2010 roku. Powiedziała mi o niej matka osoby chorującej psychicznie. Obie uznałyśmy, że książka jest warta przelumaczenia na polski i szerszej dyskusji. Szukałam takich możliwości, ale wówczas nikt nie był tym zainteresowany. Wydawnictwa odpowiadały, że to jest problem amerykański, nie nasz. Od tego czasu świadomość w Polsce dotycząca zażywania leków psychiatrycznych wyraźnie uległa zmianie.

Whitaker przeanalizował dziesiątki badań nad pacjentami psychiatrycznymi i metodami ich leczenia od lat 50. XX wieku do dziś i – w dużym skrócie – wykazał, że po pierwsze sporo pacjentów nie reaguje na leki psychiatryczne (np. przeciwdepresyjne, antypsychotyczne). Po drugie – na dłuższą metę część z tych leków nasila objawy, zamiast je redukować. I generalnie jakość życia części pacjentów na skutek długotrwałej farmakoterapii się pogarsza. Coś z tego panią zaskoczyło?
– Wyjściowo Whitakera zainteresowało to, co oczywiście wszystkich nas w tej chwili interesuje, czyli skąd się wzięła taka epidemia zaburzeń psychicznych. Czy to jest tak, że my, psychiatrzy, po prostu więcej ich rozpoznajemy? Czy może jednak problem się nasila? Szukając odpowiedzi autor przyjrzał się systemowi świadczeń wypłacanych w Stanach Zjednoczonych w związku z niepełnosprawnością spowodowaną zaburzeniem psychicznym i zauważył, że jest ich z roku na rok coraz więcej. A potem powiązał ten wzrost z nadużywaniem leków psychiatrycznych.
Wydaje mi się jednak, że nie to jest kluczowe w jego książce.

A co?
– To, co naprawdę robi wrażenie, to zebranie tych badań razem. Sama ich treść nie jest zaskakująca, bo my klinicyści wiemy, że jest dużo pacjentów, na których leki nie działają. Wiemy też, że niektórzy pacjenci przy dłuższym stosowaniu leków zaczynają się czuć gorzej. Natomiast świadomość, jaka jest skala tego, co obserwujemy w gabinecie – naprawdę daje do myślenia.

Przygnębia?
– To chyba zależy od tego, jaki kto ma stosunek do leczenia. Ja, dzięki swoim nauczycielom, nigdy nie uważałam leków za coś najważniejszego, co psychiatra może dać pacjentowi. Nie urażało mnie też, gdy ktoś twierdził, że psychiatria to trochę odrębna część medycyny. Nie odebrałam więc tej książki jako ataku. Przeciwnie, wieloma wskazówkami, jakie daje Whitaker, jak to leczenie powinno wyglądać, kierowałam się już wcześniej, więc jeśli już – tylko utwierdziłam się w swoim podejściu.

Na przykład, w czym?
– Zawsze było dla mnie oczywiste, że projekt leczenia, który omawiam z pacjentem, powinien zawierać również jego zakończenie. Tak mnie uczono. Tymczasem, coraz częściej mam do czynienia z pacjentami, którym psychiatra wiele lat temu zapisał leki, na przykład na depresję. Pacjent te leki kontynuował, już nawet bez konsultacji z psychiatrą, bo może je zapi-

sać lekarz rodzinny i nikt się potem nie zastanawiał, czy on rzeczywiście powinien je dalej przyjmować, jaki to ma sens i dokąd prowadzi.

Whitaker zwraca uwagę, że czasem nie tak prosto jest z tych leków zrezygnować. Z wielu powodów. Jeden jest taki, że gdy po odstawieniu leków przychodzi pogorszenie, mówi się, że to „choroba wróciła”. Tymczasem autor, powołując się na liczne badania pokazuje, że nawrót objawów może być efektem długiego stosowania tych leków i ich odstawienia.
– I z jednej strony psychiatrzy to wiedzą, a z drugiej – tak jakby za mało to wiedzą. To znaczy często interpretują tę sytuację tak, jak to pani opisała. Także dlatego, że pacjent też ją tak interpretuje: odstawiłem leki, jest źle, to znaczy, że choroba trwa i muszę do nich wrócić. Analogicznie do leków przeciwgorączkowych: odstawiłem leki przeciwgorączkowe, nadal gorączkuję, to znaczy, że choroba wciąż mnie toczy.

A to są zupełnie inne choroby i inne leki.
– No, właśnie. Tylko, że z jakiś powodów pomysł, że samo odstawienie leków psychiatrycznych mogło spowodować pogorszenie, i że trzeba po prostu przetrwać ten moment, się nie pojawia. A pacjenci powinni to wiedzieć po to, żeby wraz z lekarzem mogli zde-

było bardzo rozsądnych. Zadawano zasadne pytania. Okazało się, że wiele osób leczonych lekami psychiatrycznymi w ogóle nie wie, jak one działają, bo lekarz im tego nigdy nie wyjaśnił. Nie wiedzieli też, skąd ta czy inna choroba może się brać oraz czy istnieją inne możliwości leczenia. I moim zdaniem to nas w tej całej dyskusji powinno najbardziej zaniepokoić. Jestem przekonana, że większość pacjentów wolałaby dostać takie informacje od psychiatry, niż szukać ich w Internecie. Pacjenci chcą znać prawdę, żeby móc podejmować racjonalne decyzje dotyczące swojego leczenia.

A jak ona brzmi?
– Choroba, czy zaburzenie psychiczne to nie jest kwestia jakiejś „nierównowagi biochemicznej w mózgu”. Nie jest tak, że depresja wynika z niedoboru serotoniny, a psychoza z nadmiaru dopaminy, a leki ten niedobór, czy nadmiar wyrównują. Jednocześnie, póki co, leki psychiatryczne są jedynymi substancjami, jakie znamy, które w wielu stanach pomagają, choć nie do końca wiemy, jak. A czasem ratują życie.
W różnych programach edukacyjnych często porównuje się zaburzenia psychiczne do chorób somatycznych, na przykład do cukrzycy. W cukrzycy organizm nie wytwarza insuliny, więc trzeba ją suplementować.

Samo zastosowanie leków nie jest błędem. Błędem jest przewlekłe ich stosowanie, bez planu odstawienia i budowanie w pacjencie przeświadczenia, że musi je brać, bo stanowią dla niego coś w rodzaju suplementu diety

cydować, na przykład: dobrze, rozumiem, że przez jakiś czas będę się czuł gorzej, wiem, z czego to wynika, ale jestem gotów się tego podjąć. Albo – nie jestem gotów. Bo bardzo istotne jest, a gdzieś często umyka, że leczenie powinno się opierać na współpracy lekarza z pacjentem. Ten wątek pojawił się zresztą w dyskusji, która rozpoczęła się w Polsce po publikacji badań Joanny Moncrieff i współpracowników.

Proszę przypomnieć, bo nie wszyscy tę sprawę znają.
– W 2022 roku brytyjska psychiatrka Joanna Moncrieff wraz z zespołem na podstawie dużej metaanalizy badań, jak to opisywano – „obalila serotoninową koncepcję depresji” – czyli przekonanie, że depresja jest skutkiem niedoboru serotoniny w mózgu. W Polsce najpierw zareagowali psychiatrzy, którzy powiedzieli, zgodnie z prawdą, że ta teoria już dawno została obalona. I, że w zasadzie nie ma o czym mówić. Sądząc po temperaturze dyskusji – jednak było. Potem ta temperatura się jeszcze podniosła, kiedy głos zabrała podróżniczka Beata Pawlikowska, która nawiązując do badań Moncrieff, powiedziała coś w stylu, że leki na depresję nie działają i że lepiej jest zażywać ruchu. Spadły na nią gromy, że przez takie wypowiedzi pacjenci zaczęli masowo odstawić leki i, że to się może źle skończyć.

Pani też zabrała głos w tej dyskusji.
– I z jednej strony uważałam, że na takie tematy powinny się wypowiadać osoby, które się na tym znają, a więc przede wszystkim lekarze. A z drugiej – miałam wrażenie, że to wzmoczenie sugerujące, że pacjenci będą zachowywać się nieodpowiedzialnie, jest absolutnie nadmiarowe.
Śledziłam komentarze pacjentów w dyskusjach na ten temat i wiele wypowiedzi

Analogicznie opisuje się depresję i psychozy. To bardzo mylące. Wszystkie zaburzenia psychiczne mają dużo bardziej złożony charakter, w którym rolę odgrywają też inne czynniki, nie tylko biologiczne.

Przyznam, że czytając książkę Whitakera miałam podobną obawę, jak przy dyskusji wokół Pawlikowskiej: Jak zareagują na nią pacjenci? Czy nie będą podejmować pochopnych decyzji?
– Mogę podać przykład osoby, która latami brała leki przeciwdepresyjne i po lekturze tej książki stwierdziła: już naprawdę długo je biorę, a może spróbowałabym je odstawić? Psychiatra przystał na ten pomysł. Zaczęli je powoli obniżyć. Poczuli się gorzej i wtedy uznała, że może jeśli nie jest odpowiednią porą roku. Wróciła do leków, ale jak tylko pogoda się poprawi, podejmie kolejną próbę. I o to właśnie chodzi, żeby móc podejmować te decyzje świadomie. Przecież Whitaker nigdzie nie pisze, że te leki są uszkadzającą trucizną.

Na pewno znajdą się tacy, którzy będą z tym polemizować.
– Ja tak tego nie czytam. Ciekawe zresztą, że zagorzały krytyk Whitakera – psychiatra i zwolennik myślenia biomedycznego o zaburzeniach psychicznych Edwin Fuller Torrey daje podobne wskazówki, jak powinna być prowadzona prawidłowa farmakoterapia – leki powinno się przepisywać w jak najmniejszej dawce, na jak najkrótszy okres, a u starszych osób zdecydowanie redukować dawkę. Przy tym Torrey uważa też, że powinno się wprowadzić prawo nakazujące przymusową farmakoterapię u osób z psychozami, więc trudno o większego orędownika leków.

Whitaker pisze też o alternatywach do farmakoterapii.

– Na przykład o „otwartym dialogu”. To fiński model leczenia psychoz oparty o bardzo wczesną interwencję. Kiedy tylko spostrzegamy u bliskiej osoby jakiejś niepokojące objawy, możemy od razu wezwać do domu zespół składający się z lekarza, psychologa, pielęgniarki psychiatrycznej, który porozmawia z nami i z osobą w kryzysie i pomoże zrozumieć, co ona swoim niezrozumiałym zachowaniem czy wypowiedziami próbuje wyrazić, ale też co takiego w ogóle dzieje się w rodzinie.

W „otwartym dialogu” nie wyklucza się stosowania leków.
– Trzeba podkreślić, że o ile światowym standardem przy pierwszym epizodzie psychotycznym jest natychmiastowe podanie leków, o tyle w modelu „otwartego dialogu” tylko jedna trzecia pacjentów je otrzymuje. U pozostałych dwóch trzecich, po takiej interwencji, która trwa różnie w zależności od potrzeb (czasem wystarczy parę dni), nie ma takiej konieczności. Zasada tej metody jest też taka, że wszystko omawia się przy pacjencie i przy jego bliskich. Na przykład, psychiatra z psychologiem dyskutują, czy podać leki, czy się wstrzymać. Pacjent i bliscy się temu przysłuchują, każdy ma swoje argumenty, potem zapada decyzja.

Pacjenta traktuje się podmiotowo.
– Nie tylko pacjenta, ale i rodzinę. Nikt też

nie ulega obawie- „to straszne, że pacjent słyszy, że jest różnica zdań pomiędzy psychiatrą a psychologiem”.

Wydaje mi się, że u nas powszechnie jest przekonanie, iż wszystkie osoby chorujące na schizofrenię muszą brać leki do końca życia.
– W obecnej klasyfikacji chorób i zaburzeń psychicznych schizofrenię rozpoznajemy, jeśli ktoś przez miesiąc ma charakterystyczne objawy psychotyczne – na przykład urojenia czy halucynacje. Mnie, ale nie tylko mnie, koncepcja, że człowiek który przez miesiąc ma psychozę, ma brać leki do końca życia – wydaje się bardzo radykalna.
Od kiedy rozpoznajemy schizofrenię badania pokazują, że mniej więcej jedna trzecia osób zachoruje tylko raz, czyli będzie mieć ten jeden epizod psychotyczny. Jedna trzecia będzie chorować w sposób nawrotowy, czyli będzie mieć epizody co jakiś czas. A pozostała jedna trzecia będzie chorować w sposób przewlekły, czyli nawet pomiędzy nawrotami będzie doświadczać objawów. Pomysł, że ta pierwsza grupa ma brać leki dożywotnio, jest naprawdę dziwny. Na szczęście, wielu lekarzy nie traktuje tego w ten sposób. Ale, jeśli jest to już drugi epizod, grupa lekarzy decydujących się na odstawienie leków po ustąpieniu objawów psychotycznych jest dużo mniejsza.

Choć pacjent może mieć kolejny epizod za dziesięć lat.
– No właśnie. I co, ma brać leki przez te dziesięć lat? Które, umówmy się, uchronią go albo i nie przed kolejnym epizodem, bo nie ma gwarancji.

I to jest kolejne częste zdziwienie: „jak to możliwe, że znów znalazł się w szpitalu,

przecież brał leki?” Albo – „jak to możliwe, że znów ma napady paniki, przecież brała leki?”

– Leki to nie jest żadna magia, ale rozumiem, że przy tak poważnych objawach jakie występują w psychozie czy w depresji istnieje poku-sa, żeby tak je traktować. Bardzo chcemy mieć amulet, który zapewni nam bezpieczeństwo, a tym współczesnym „naukowym” amuletem mogą być właśnie leki. Ciekawa w tym kontekście wydaje mi się różnica w stosunku do leków stosowanych w medycynie somatycznej. Nikt się nie dziwi, że pomimo przewlekłego stosowania leków kardiologicznych, ktoś miał skok ciśnienia, czy dostał zawału. Oczekiwa-nia wobec leków psychiatrycznych mają jed-nak charakter magiczny. Może dlatego, że sa-me te choroby są tak trudne do zrozumienia?

Pytanie, jaką mamy alternatywę? Do psy-choterapii dostęp jest ograniczony, wiele osób na nią nie stać, a na państwową można się nie doczekać. Niektórzy chcą szybko poczuć się dobrze i wierzą, że leki im to zapewnią, a o konsekwencjach ich długoletniego zażywania właściwie się nie mówi.

– Problem jest systemowy. Próbowалам zwróci-cić na to uwagę w dyskusji wokół wypowie-dzi Pawlikowskiej. Chodzi też o to, że w Pol-sce leki przeciwdepresyjne często stosowane są w stanach, które niekoniecznie tego wyma-gają. Nie mówię o zdiagnozowanych ciężkich depresjach leczonych na oddziałach. Mówię o tym, że dla osób, które mają zasadniczo in-ne rozpoznanie, na przykład zaburzenie oso-bowości, a które od czasu do czasu mają ob-jawy lękowo – depresyjne, właściwszym le-czeniem byłaby psychoterapia. To znaczy leki mogą być pomocne, ale na chwilę, w trud-niejszych okresach. Na dłuższą metę – psy-choterapia jest skuteczniejsza.

Na nią można się nie dostać.

– I czasami jest tak, że lekarz stosuje leki ze zwyczajnej bezzadności. Wie, że byłoby znacz-nie lepiej, gdyby pacjent- na przykład psycho-tyczny- miał możliwość skorzystania z takiej interwencji jak w „otwartym dialogu”, wte-dy być może leki nie byłyby potrzebne, ale co zrobić, skoro w Polsce nie ma takiej możliwo-sci? Albo wie, że gdyby pacjent od jutra roz-począł psychoterapię, to być może skończy-łoby się na przyjmowaniu jakiegoś leku uspo-kajającego przez tydzień i tyle.

Przyczyna, tak jak powiedziałam, tkwi w systemie. I książka Whitakera może za-chwiać naszym dobrym samopoczuciem – nas lekarzy, ale i pacjentów, w ogóle spo-łeczeństwa – że jest ok, mamy leki, leczymy nimi i jak tylko zapewnimy ludziom do-bry dostęp do psychiatry, to będą zdrowieć. A to chodzi raczej o zmianę podejścia do le-czenia. Zmiana ta polegałaby na pierwszeń-stwie psychoterapii wobec leczenia farma-kologicznego. Obecnie łatwiej o taką alter-natywę tym, którzy mają na to środki. Psy-choterapia w Polsce jest kontraktowana i re-fundowana w niewystarczającym zakresie.

Co jeszcze poza psychoterapią?

– W niektórych sytuacjach pomocne może być wsparcie, czy poradnictwo psychologicz-ne. Poza takimi oddziaływaniami niektórym pacjentom pomóc może zmiana stylu życia, ruch. Ciekawe, że gdy zalecenia dotyczące „zdrowego trybu życia” daje lekarz zajmujący się chorobami somatycznymi, spotyka się to z pełnym zrozumieniem. Natomiast psychia-tra dający takie porady musi uważać, żeby nie został posądzony o propagowanie „alterna-tywnych” czy „nienaukowych” metod lecze-nia. Z drugiej strony, wiele ośrodków zajmu-jących się traumą, propaguje na przykład jo-gę, badania pokazują też, że ruch może prze-ciwdziałać wystąpieniu choroby Alzheimera. Psychoterapia może być długotrwałym od-działywaniem, ale i stosunkowo krótką inter-wencją, jak w przypadku „otwartego dialogu”, który – co ciekawe- jest metodą psychiatrycz-ną, gdyż praktykuje się go w ramach placó-wek psychiatrycznych, a jednocześnie „an-typsychiatryczną”, gdyż jego twórcą Jaakko Seikkula twierdzi, że choroba psychiczna nie istnieje. Istnieją wyłącznie objawy.

Które, jak rozumiem, są rezultatem do-świadczeń...

...- i pewnej podatności biologicznej też.

Jest dla mnie oczywiste, i tak ucze stu-dentów, że przyczyny zaburzeń psychicz-nych są biologiczne, psychologiczne i spo-łeczne. A dziś wielu psychiatrów mówi: no wiadomo, że psychologia, czy środowi-sko są ważne, jednak podstawowe przyczy-ny mają charakter biologiczny. Nazywam to pseudo- ugodą ze strony psychiatrii bi-ologicznej. Polega ona na tym, że osoby, któ-re mają takie podejście powiedzą: „psycho-terapia jest przydatna”. Ale nie powiedzą już, że „psychoterapia jest podstawową me-todą leczenia, a leki pełnią funkcję pomoc-niczą”. To się nie dokonało, choć moim zda-niem powinno.

Jest chyba nawet gorzej. Dlatego może choć 14 lat temu nikt nie był zaintere-sowany wydaniem u nas książki Whitakera, dziś już tak. W tej chwili leki, na przykład przeciwdepresyjne bywają proponowa-ne osobom, które mają po prostu gorszy moment w życiu- zostają się, straciły pracę, niekoniecznie są w depresji.

– Bo leki przeciwdepresyjne mają też znaczny potencjał przeciwlękowy. W związku z tym, jeżeli ten lęk zredukujemy, to ta osoba poczu-je się lepiej w tej stresującej dla siebie sytuacji.

Ala czy tak powinno być?

– Staje się to pewnego rodzaju koniecznością w sytuacji, gdy nie możemy zaproponować adekwatnej metody, którą byłaby psychote-rapia, czy chociażby jakiś rodzaj poradnictwa psychologicznego. Samo krótkotrwałe zasto-sowanie leków nie jest błędem. Błędem jest przewlekłe ich stosowanie, bez planu odstawienia i budowanie w pacjencie przeświad-czenia, że musi je brać, bo stanowią dla nie-go coś w rodzaju suplementu diety.

Jaka może być korzyść z książki Whitake-ra i dla pacjentów i dla specjalistów?

– Czy wierzę, że doprowadzi ona do jakiejś zna-czącej zmiany systemowej? Do tego, że nagle wszyscy się obudzą i powiedzą: no nie, musi-my zbudować taki system, w którym psycho-terapia będzie bardzo ważnym elementem, przeznaczyć na nią dużo pieniędzy? Nie wie-rzę, ponieważ to się nigdzie nie wydarzyło. Na-wet w Finlandii „otwarty dialog” praktykuje się tylko w jednym małym okręgu.

Myślałam, że powie pani coś o fir-mach farmaceutycznych.

– Oczywiście, to też są siły, których nie sposób nie doceniać. Ale poza tym, wydaje mi się tak naprawdę, że opowieść o biologicznej natu-rze chorób psychicznych i skuteczności lecze-nia farmakologicznego wszystkim trochę pa-suje. Pacjenci i ich rodziny też na niej korzy-stają – te kłopoty psychiczne mają jakąś na-zwę, to jest choroba, są na nią leki, i tak dalej. Bardzo chciałabym uniknąć takiego podzia-łu, który jest moim zdaniem nieprawdziwy, że tylko lekarze, czy firmy farmaceutyczne trzymają się tej opowieści, a uciskane rodzi-ny i pacjenci się bronią.

Myślę też, że na przykład serotoninowa koncepcja depresji jeszcze długo będzie się miała dobrze.

Ja wciąż o niej słyszę.

– Bo to jest fajna i prosta opowieść tłumaczą-ca to, co skomplikowane. Nie sądzę więc, że-by coś się zmieniło w skali makro. Natomiast liczę na to, że może się zmienić w skali mi-kro. Na refleksję. To znaczy, co by mnie bar-dzo cieszyło, że psychiatrzy, którzy tę książkę przeczytają, jeszcze raz przemyślą sobie swo-ich pacjentów i się zastanowią – czy oni wszy-sczy naprawdę muszą brać leki? Może niektó-rym można zaproponować ich odstawienie? Albo inne formy leczenia? Że znajdują się pa-cjenci, którzy powiedzą swoim psychiatrom: przeczytałam taką książkę, długo już biorę te leki, może spróbujemy inaczej? W tym sensie, wydaje mi się, może ona odegrać ważną rolę.

I nie boi się pani tego samowolnego, masowego odstawiania leków przez pa-cjentów?

– Absolutnie nie.

Trafiają do pani pacjenci, którzy wcze-sniej leczyli się gdzieś indziej. Czy są jakieś praktyki, które szczególnie pa-nią niepokoją?

– Głównie niepokoi mnie, że ta opieka zrobi-ła się tak rozproszona. Kiedyś duża część pa-cjentów leczyla się jednak w poradniach. Mia-ło się wtedy poczucie, że to leczenie odbywa się pod kontrolą jednego lekarza, z którym pa-cjent buduje relację. Dziś coraz częściej pacjen-ci za każdym razem trafiają do kogoś innego. To leczenie jest nieskoordynowane, bez pla-nu. A czasem pacjent przychodzi do lekarza rodzinnego z informacją, że dostał zalecenie od psychiatry, żeby brać leki psychiatryczne na stałe. I nie wiadomo, czy rzeczywiście ten psychiatra tak zdecydował, czy pacjent tak to usłyszał i po prostu wygodniej mu w ten spo-sób uzyskać receptę.

Whitaker podkreśla, że bardzo szanuje kwestię świadomej zgody pacjenta na leczenie. Ale żeby móc wydać taką zgodę, trzeba mieć wiedzę, jak te leki działają, jakie mogą być długofalowe skutki ubocz-ne, itd.

– Dokładnie. A żeby to wyjaśnić, trzeba po-święcić temu pacjentowi trochę więcej cza-su. I zdarzyło mi się mieć pacjentów, którzy byli przekonani, że przychodzą po leki, bo po co się idzie do psychiatry, a po naszej rozm-o-wie wychodzili bez recepty i byli bardzo za-dowoleni. Pacjenci chcą być leczeni, po pro-stu. I można z nimi porozmawiać o tym, że istnieją też inne formy tego leczenia.

Co by pani chciała, żeby się zmieniło w ochronie zdrowia psychicznego, przede wszystkim?

– Wie pani, ja się wywodzę z psychiatrii śro-dowiskowej i naprawdę bardzo wierzę w to, że większość zaburzeń psychicznych można opanować w domu.

Albo w warunkach, które są jakoś zbli-żone do warunków domowych. I że to jest lepsze i dla pacjenta i dla jego rodziny. My-się, że gdyby nastąpił taki realny zwrot w kierunku psychiatrii środowiskowej, któ-ra zakłada szeroko pojęte oddziaływania psychoterapeutyczne, to by miało ogrom-ny sens. Kiedy wiele lat temu pracowałam w zespole leczenia domowego, który funk-cjonował właśnie w oparciu o takie założe-nia, w zespole mieliśmy i psychiatrę i pie-lęgniarkę psychiatryczną i filozofa. I w ta-kim składzie jeździliśmy do osób w stanach ostrej psychozy.

Te zespoły cały czas funkcjonują?

– Gdzieśgdzie. Natomiast to jest trochę tak, jak z tym „otwartym dialogiem”. Jeśli się nie rozumie, że taki zespół musi posiadać prze-strzeń i czas na interwencję, co oznacza, że działa trochę jak Pogotowie Ratunkowe, a nie jest rozliczany przez NFZ z liczby wizyt, to właściwie zamienia się w taką trochę bardziej aktywną poradnię. I dobrze, że coś takiego istnieje. Tylko, że to nie była pierwotna idea.

Od kilku lat w Polsce trwa pilotaż re-formy psychiatrii, która miał ją pchnąć właśnie w kierunku psychiatrii śro-dowiskowej. Idea była taka, że szpital będzie ostatecznością, a podstawowym miejscem leczenia będzie dom i środowi-skowe centrum zdrowia psychicznego. Takich centrów jest około stu, a docelo-wo mają być w każdym powiecie. Jedną z form pomocy mają być właśnie zespo-ły mobilne.

– Ten pilotaż na pewno dużo wniósł. Nawet, jeśli nie wszędzie wszystkie formy pomocy zostały uruchomione, to samo to, że i pacjen-ci, i rodziny, i pracownicy mogli doświadczyć innej opieki, jest ważne i zmienia perspekty-we. Natomiast wydaje mi się, że to za mało. Poza pieniędzmi na doprowadzenie tej refor-my do końca, poza stworzeniem odpowied-nich struktur, potrzebujemy jeszcze zmiany mentalnej – że leczenie zaburzeń psychicz-nych naprawdę nie sprowadza się do stoso-wania leków. I w tym sensie Whitaker mo-że dołożyć do tego swój wkład.

Potrzebujemy też chyba w ogóle przede-finiować, czym jest zdrowienie. Bo dziś często oczekuje się, że człowiek po kryzy-sie psychicznym błyskawicznie dojdzie do siebie, wróci do pracy. Myśl, że ktoś może zdrowieć rok albo i dwa nie mieści się w głowie. Rzadko się też dopuszcza, że ktoś może funkcjonować pomimo objawów.

– Wydaje mi się ważne, że idea „zdrowienia” („recovery”) została pierwotnie sformułowana przez osoby chorujące psychicznie dla okre-ślenia ich celów czasem innych, niż cele pra-cowników służby zdrowia. Według osób cho-rujących profesjonalści są często nadmiernie skoncentrowani na eliminowaniu tak zwanych objawów choroby, często pokrywających się z obszarem, na który działają leki (w przy-padku psychozy – urojenia czy halucynacje). Idea „recovery” uwzględnia natomiast to, co ważne dla osoby chorującej – dobre samopo-czucie i bycie w społeczeństwie – co czasem nie oznacza ustąpienia wszystkich objawów.

Badania Joanny Moncrieff zamiast stać się przyczynkiem do merytorycznej dyskusji o aktualnym stanie wiedzy na temat zaburzeń psychicznych poskutko-wały awanturą, z której nic w sumie nie wyniknęło. Losy książki Whitakera mogą być podobne. Łatwo mi sobie wyobrazić, że jej odbiorcy podzielą się na dwa obozy: absolutnych zwolenników farmakote-rapii i absolutnych jej przeciwników, a to co ważne w tej książce – na przykład pokazanie jak istotna jest podmiotowość pacjenta w procesie leczenia, albo że istnieją alternatywy do biomedycznego myślenia o zaburzeniach psychicznych – przepadną. Co musiałoby się stać, żeby konstruktywna dyskusja na te tematy stała się możliwa?

– Byłabym ostrożna ze stwierdzeniem, że w dyskusji na temat serotoninowej koncepcji depresji nic nie wyniknęło. Może medialnie niewiele, ale nie wiemy, ile osób zwróciło się do swoich psychiatrów z prośbą o wyjaśnie-nie, dlaczego właściwie biorą leki przeciwde-presyjne. Książka Whitakera też nie spowo-duje rewolucji w myśleniu o leczeniu zabu-rzeń psychicznych, jednak mam nadzieję, że zwiększy świadomość dotyczącą skuteczności farmakoterapii i sensowności innych metod leczenia. Ale realna zmiana dokona się wte-dy, kiedy każda osoba doświadczająca pro-blemów w obszarze zdrowia psychicznego będzie mogła szybko i nieodpłatnie skorzy-stać z różnorodnej pomocy psychologicznej. A tak naprawdę ta zmiana dokona się wów-czas, gdy będziemy przeciwdziałać przemo-cy wobec dzieci, wspierać matki i rodziny na wczesnym etapie rozwoju dziecka, przeciw-działać biedzie i wykluczeniu społecznemu. Nastąpi, kiedy pomoc przyjdzie przed wystą-pieniem objawów, kiedy będziemy się stara-li zapobiegać, a nie leczyć. Może co do tego chociaż możemy się zgodzić? ●



FOT. OŚRODEK MYŚLI PSYCHOANALITYCZNEJ IFIS 2020

*Katrzyzna Prot-Klinger

● psychiatrka i psychoterapeutka, analityczka grupowa, profesorka w Instytucie Psychologii Akademii Pedagogii Specjalnej w Warszawie. Zajmuje się problemem indywidualnej i grupowej reakcji na wydarzenia traumatyczne. Prowadzi psychoterapię osób z doświadczeniem psychozy



Książka Roberta Whitakera pt. „Zmącony obraz. Leki psychotropowe i epidemia chorób psychicznych w Ameryce**” ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Czarne

Sztuka schodzenia z linii strzału

Mam 61 lat. Dziś syn powiedział mi, że jestem w okresie ochronnym i nic nie możecie mi zrobić. Nie, żadnej ulgi. Przyzwyczailem się, że zrobić można wszystko każdemu

Mikołajewski

Jakiś czas temu usłyszałem o kimś, kogo pracodawca próbował zwolnić, zdaniem tej osoby – krzywdząco. Osoba ta miała 52 lata. Osoba ta podejrzewa, że chciano się jej pozbyć pod byle pretekstem przed 61. rokiem życia, kiedy zwolnić jej już nie będzie można. Kiedy wejdzie w tzw. okres ochronny. Zaczęłam stawiać uszu i łowić podobne historie. I jeszcze inne – o ludziach, którzy mają 61 lat i więcej. Wspomniałem o tym na facebooku i poprosiłem, żeby czytelnicy opowiadali mi o własnych doświadczeniach.

Dostałem mnóstwo świadectw, ze straszeniem procesami za fikcyjne przestępstwa w przypadku, gdy kandydat do wyrzucenia nie zwolni się własnymi rękami. Opisane zachowania pracodawców ułożyły się w dość jednolity schemat, podobnie jak mechanizmy wewnętrznego rozpadu ludzi zachęcanych do odejścia – upokorzenie, lęk, podważenie własnej wartości, zastraszenie, zniechęcenie... Przy czym stałym elementem wszystkich opowieści była prośba, wypowiedziana z poczuciem śmieszności i lękiem w oczach, żeby nie przekazywać dalej. A jeśli, to za rok, za dwa, ze zmianą płci, imienia, okoliczności, miasta... Anonimowość nie wystarczy, bo „ona / on się domyśli”. I zemści się. Zrobi rzeczy straszne...

Dziś – po roku, który odczekałem zgodnie z prośbami tych, którzy powierzyli mi własne perypetie – przekonany, że mamy do czynienia ze zjawiskiem społecznym, podaję do druku poniższy tekst. Napisany na podstawie opowiedzianych mi historii. Sporządzony powierzchownie, zdawkowo. Tak, żeby nikt nikogo nie rozpoznał. A raczej – żeby ktoś z moich rozmówców, kto rozpozna siebie, nie żył przez następny rok z lękiem rozpoznania. Żeby nie myślał / myślała za każdym razem kiedy szef czy szefowa spojrzy spod oka, że jest w tym spojrzeniu coś w rodzaju „czytałem, rozpoznałem...”.

Nie umiem zajmować się sprawami, które mogą mieć konsekwencje prawne. Z drugiej strony nie umiem pomijać milczeniem spraw, które mogą być źródłem krzywdy. Sugeruję więc temat i natychmiast oddaję go więc koleżankom, kolegom. A temat jest duży i piekielnie toksyczny. Druzgocący. I nie może pozostawić go bez próby zmiany społeczeństwo wolne, demokratyczne, życzliwe, które – wierzę – zaczyna się właśnie odradzać.

Jeżeli da mi taką szansę, pragnę przedstawić go ministrze rodziny, pracy i polityki społecznej. Lub niech zrobią to inni.

Dobrze więc, być może mnie macie. Pracowałem bez nagany przez 50, 40, może 30 lat. Również bez pochwał, lecz mniejsza o nie. Nauczyłem się, że dzień udany to dzień bez przykrości. Że największą nagrodą jest moja niezauważalność...

Dawałem z siebie wszystko. To prawda, nie zawsze. Bywałem lepiej przygotowany, gorzej. Czasami ledwo pedałowałem, niewiele brakowało, a spadłbym z siodelka. Ale dojechałem do półmetka. I znów wsiałem na rower. Przetykałem gorzkie słowa, nadmierne (może jednak słuszne?) oczekiwania, niesprawiedliwe oceny, poczucie krzywdy... I oto mam lat 61. Albo 64.



• Gustave Courbet, Kamieniarze, 1849 r. FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Może 54... Jestem kobietą, mężczyzną. I oto – jako się rzekło – macie mnie. Pomyliłem się. Zaczęłam się mylić. W piątek. Może we wtorek w ogóle nie zrozumiałem co do mnie mówicie. Zapisuję dwa spotkania na ten sam dzień i tę samą godzinę. Nie umiem opanować excela. Żeby to ukryć, dostarczam raporty w – przyznaję – archaicznych formach. Ale liczby to liczby, ich sens jest niezmienny. Utrudnia wam to pracę? Przykro mi. Głupio. Dawniej formy odręczne były najwyżej cenione. Nie raz widziałem wasze zniecierpliwione spojrzenia, słyszałem nieprzeznaczone do słyszenia (a może?) docinki. Czy wiecie, że kiedy zaczynałem pisać, miałem palce bez przerwy pomalowane korektorem na białe? Zdajecie sobie sprawę, że moim „kopiu i wklej” było „wytnij nożyczkami i zaklej”? I zapach kleju... Dobrze, już nie marudzę. Wspominałem tylko tak, na marginesie. I jeszcze te szkolenia. E-learningi. I badania, te pozorne akty troski o zdrowie.

Dziś syn powiedział mi, że jestem w okresie ochronnym i nic nie możecie mi zrobić. Nie, żadnej ulgi. Przyzwyczailem się, że zrobić można wszystko każdemu, jeśli tylko się chce... Prawo do procesu? Dobrze wiecie, że ni-

komu nie wytoczę sprawy. Nie umiem. Jestem z czasu, kiedy sprawa sądowa była rzeczą poważną, dotyczyła kradzieży, zabójstwa. Poza tym, jak mówiłem, mam 63 lata, czasu coraz mniej, nerwy coraz słabsze, krew szybko uderza do głowy. Jeśli wybucham gniewem, to z upokorzenia. Z bezradności. Szkoda czasu na procesy. Każdego czasu. Chciałbym jeszcze coś zobaczyć, napisać, przeczytać. Chciałbym spokojnie spać, bo wiecie, bo wiesz, Marku, Grzesku, Beato: kiedy w nocy sen przerwie mi jakaś przykra myśl, to już koniec. Nie potrafię znosić oczekiwań na kontrę i, jeśli spodziewam się przykrego maila, w ogóle nie podchodzę do komputera. Zakreślam go kredowym kołem.

Tak, wiem, leczę się. Biorę proszki (w domyśle: lekarstwa). Zresztą – no właśnie – przecież ten okres ochronny jest między innymi za te zszarpane nerwy. Tak wiem, doceniam.

Co ja takiego mówiłem? Aha – że to nie jest tak, że ten okres ochronny to za nic. Wstawiałem rano, przychodziłem w niedzielę, starałem się, i w końcu się starłem. Zużyłem. I gdybym teraz miał wylecieć z pracy, nikt by mnie nie przyjął na tych samych warunkach, i przyznaję, że mogłem sporo stracić na wartości. Ale to nie jest tak,

że mam te 63 lata i możecie wytykać mi, że nie pracuję tak szybko i nie myślę tak precyzyjnie, jak kiedy miałem 50. Tak, wiem, Stefan jest jeszcze starszy i w ogóle się nie myli, a co do tempa, to ho ho... Mógłby jeszcze wziąć udział w Wielkiej Pardubickiej. Co? Że to nietaktowne odnosić wyścigi konne do człowieka? Nie zorientowałem się nawet, że tak powiedziałem. Nie czuję, że to nietaktowne. Nie mówcie, proszę, Stefanowi, może być mu przykro. A zresztą, co do taktowności, to nie jesteście moimi wzorami. W każdym razie to nie tak, że jeśli Kazik, który jest starszy, rozwała excela jak maturzysta mat-fizu, to ja, który jestem młodszy, powinienem rozwałać go cztery razy szybciej. Ja na przykład potrafię opowiadać o młodzięńczych latach Marii Skłodowskiej-Curie, o strajku studentkim w 1981, w którym brałem udział. Czy wy wiecie, że chodziłem na spotkania z Herbertem? Że widziałem go na własne oczy, słyszałem na własne uszy. Że – wiercie czy nie – uściśnalem mu rękę?

Dziś oszczeakały mnie psy. Myślę, że przez to, że od jakiegoś czasu utykam. Mojego sąsiada, jest o rok młodszy, zaatakowały wrony i ściągnęły mu beret. To prawda – sam nie widziałem, ale widziała sąsiadka z drugiej klatki schodowej. I ten sąsiad mi mówił, że kiedy skończył 50, jakieś 10 lat temu, próbowali zwolnić go pod byle pretekstem właśnie po to, by uwolnić się od niego w okresie ochronnym. I sąsiadka dodała, że tak właśnie zrobili z jej młodszym kolegą z biura.

Przeglądałem zdjęcia – byłem nie do wiary. Patrzę w lustro – jestem dziś częścią tamtego siebie. Co? Powiedziałem „szczęścią”? Nieźle. Może „nieszczęścią” ha ha ha?

Okres ochronny. Okres bezbronny. Okres, w którym skazany jesteś na uprzejmość, szacunek, rzecz nieopisaną w kodeksie. To znaczy – opisaną, jeśli ktoś je naruszy, lecz o tym już mówiłem: nie umiałbym wytoczyć sprawy. Jedyne co potrafię, to uczyć się na starość sztuki schodzenia z linii strzału. ●

Jarosław Mikołajewski

Wstawiałem rano, przychodziłem w niedzielę, starałem się, i w końcu się starłem. Zużyłem. I gdybym teraz miał wylecieć z pracy, nikt by mnie nie przyjął na tych samych warunkach, mogłem sporo stracić na wartości

Więc ja – proszę bardzo.
Albo na jedynekę, albo na siódemkę, albo na via Carpatię – i lecę w dół. I nic mnie nie powstrzyma.

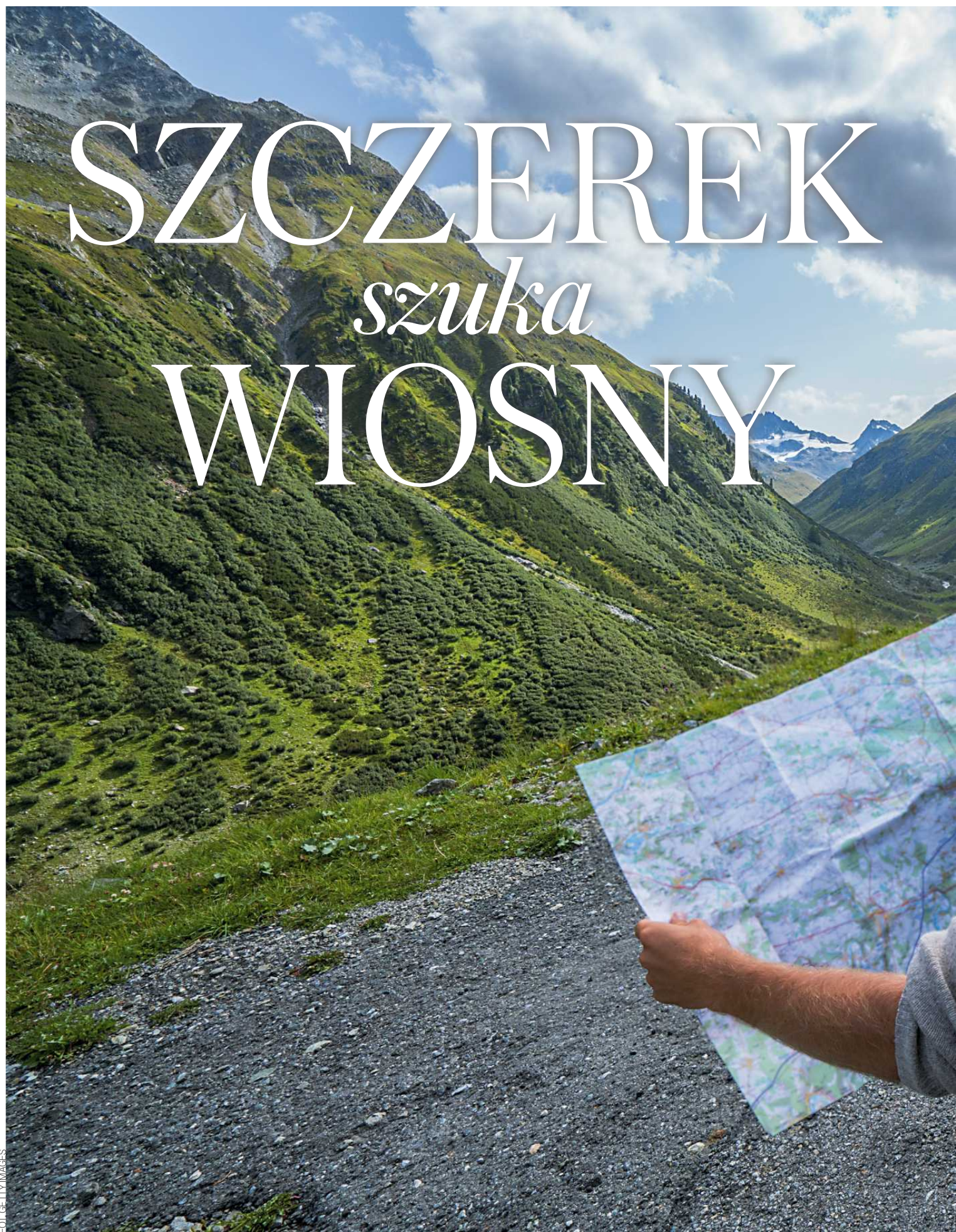
Ziemowit Szczerek

W maju pewnie jeździłbym na tylnej platformie tramwaju, gdyby tramwaje nadal miały platformy. Ale w maju to jest w maju, a teraz mamy koniec zimy. A zimą, polską zimą, szczególnie właśnie tą zimą późną, drażniącą już swoją późnozimowością, czarnobiałością, wysiłonym demonizmem, groteskową już lutością, wcale już nie straszną, ale nieco śmieszną i męczącą, jak komunizm w latach osiemdziesiątych – zimą uciekam.

Nie muszę nawet uciekać daleko. Bo tak, wiem, też mam Facebooka i widzę, dokąd ucieka większość mojej socmedialnej bańki, tak często podkreślającej dbałość o planetę i ślad węglowy – jakaś Azja Wschodnia, Indonezja, Karaiby, Ameryka Południowa, to, tamto, czasem Afryka, jeśli ktoś bardziej antykolonialny i alternatywny, tak. Nie to, że wszyscy Polacy uciekają, oczywiście. Tak dobrze to nie ma. Niestety. Ale bańka artystyczno-dziennikarska, ta szerująca posty ze wszechmiar godnych szacunku aktywistów klimatycznych – i owszem, bardzo chętnie. Nic, oczywiście, nie mam przeciwko temu, żeby czasem człek marny wydosłał się samolotem z biurości swej codzienności w jakąś egzotykę. I tak bardzo możliwe, że i tak już po nas, a poza tym pilka w tej grze jest raczej po stronie wielkich tego świata, fabryk i krowich bąków. Ale mnie osobiście latać taki kawał w poszukiwaniu wiosny czy wręcz lata – jakoś się nie chce. Bo latanie trzeba wcześniej zaplanować. Kupić bilety, zaszczepić się na te choroby tropikalne, kupić przewodniki, zebrać pieniądze, dowiedzieć się czy w wybranym przez nas raj tropikalnym nie odbywa się aktualnie jakiś przewrót wojskowy, czy konflikt zbrojny, a jeśli tak, to a) ocenić konflikt pod kątem moralnym i wyrazić głośno i dobitnie poparcie dla słuszniejszej sprawy, b) niby mimochodem wyrazić zaniepokojenie śladem węglowym c) wybrać inne miejsce późnozimowego wypoczynku. Słowem – trzeba się przygotować.

Ja natomiast nie bardzo się lubię przygotowywać, a wiosnę znajduję znacznie bliżej. Czekam po prostu, aż mnie w tym lutym/marcu cholera weźmie z tego późnozimowego półzycia- półniezycia i daję w długą. Zwyczajnie – na południe. Wsiadam w auto, jadę na stację, otwieram bak, wewnątrz którego mam – jako przypominajkę – naklejoną wścieklą Gretę pytającą „how dare you”, szepczę do niej improvisedą modlitwę przebiegłą, tankuję do pełna – i ruszam w dół mapy. Szukać wiosny.

Wszyscy narzekają na położenie geograficzne Polski. No bo faktycznie – siedzimy prawie u nasady europejskiego subkontynentu, nie tak już daleko od miejsca, gdzie on, ten subkontynent, się rozszerza i rozpląszcza, rozciąga w kontynent właściwy, w Eurazję, co z kolei sprawia, że jesteśmy na samym środku europejskiej sceny, przez którą z zadziwiającą regularnością przetacza się coś, co nazywamy historią świata. Ale są też plusy naszego położenia. Mamy otóż całkiem blisko w fajne miejsca. Idealne do poszukiwania wiosny.



FOU/GETTY IMAGES

Weźmy bowiem takich Finów. Żeby Fin mógł pojechać szukać wiosny, musiałby najpierw albo popłynąć promem do Szwecji (albo ciąć naokoło przez Laponię), potem przez most nad Sundem, Danię, do Niemiec, potem jeszcze dalej, za Alpy. Ewentualnie promem do Estonii i przez wszystkie republiki bałtyckie, gdzie jest wszędzie ograniczenie do dziewięćdziesięciu i krajobraz monotony, bo jedzie się przez same lasy i się można na którejs sośnie już nawet nie rozbić, po prostu powieść. Potem jeszcze przez Polskę, na niedobudowanym, acz kluczowym odcinku Via Baltica w przesnyku suwalskim wlec się razem z tirami – i dopiero potem rozwinąć skrzydła. Szwed, Norweg – szkoda gadać. Francuz też: może szukać wiosny we własnym kraju, owszem, ale co to za przyjemność jechać wiosną na własne południe, które mówi takim samym językiem jak ty i głosuje na tych samych polityków. Albo taki Niemiec, który na południu ma tylko Włochy. Ja mam na własnym południu

cały świat. Kilkanaście krajów. O czym tu w ogóle mówić. Co tu porównywać.

Więc ja – proszę bardzo. Albo na jedynekę, albo na siódemkę, albo na via Carpatię – i lecę w dół. I nic mnie nie powstrzyma.

Najpierw zawsze Czechy albo Słowacja. I albo winietka na autostrady, albo dupami. To znaczy – bocznymi drogami. Kiedyś więcej nimi jeździłem, ale cóż, trochę niebezpiecznie zagłębić się w bocznych drogach w Czechach albo na Słowacji, bo może się okazać, że się tę wiosnę znajdzie o wiele za szybko. Ba, szczególnie w marcu jest już prawdopodobne, że się wpadnie na nią już gdzieś w okolicy południowej Słowacji, już gdzieś nad Dunajem. Już gdzieś, powiedzmy, w okolicy Rymawskiej Soboty, zaraz po zjeździe z pięknie zapuszczonych starych gwarkowskich miasteczek słowackich Rudaw. I wtedy co – ledwo się wyjechało, już wracać? A tam już na drzewach mogą być pąki, już dziadki mogą siedzieć na ławeczkach pod blokami. A to jednak za szybko. Za blisko.

Kiedyś, dawno temu, nawet mi te Czechy czy Słowacja wystarczały. Zaszywałem się gdzieś na kilka dni. Pod Lewoczą, pod Rimawską Seczą, w okolicy Czeskich Budziejowic, Krumlowa, Mostu, różnie. Siedziałem tam i patrzyłem. Małpowałem lokalnych, po to chyba się jeździ w obce strony. Żeby patrzeć jak ludzie żyją i ich trochę małpować. Więc wychodziłem rano na kawę, na presso, i podsłuchiwałem, podpatrywałem. Czytałem ich gazety, a wieczorem płem ich piwo i coś tam z nimi próbowałem gadać. Gorzej było wyżej, w górach. Tam było jeszcze zimno. Na przykład w słowackich Rudawach. Chyba najmniej docenionych słowackich górach. Zimno, choć o wiele ładniej, mimo, że biedniej. Ba, czasem wyglądało to tak, jakby się tam stare Węgry jeszcze nie skończyły. Stare kościoły, domy z rudą dachówką i ten szarm dawno zaginionej cywilizacji, po której przyszły dwie Czechosłowacje ze swoim modernizmem, ale nie odcisnęły tu prawie żadnego piętna. Tylko, że tam nie było gdzie mał-



pować ludzi tak, żeby nie zauważyli. Bo co, miałem jak lokalni Cyganie na przykład, siadać sobie na połupanych schodkach i patrzeć przed siebie? Oglądać świat, jakbym telewizor oglądał? W sumie mogłem i pewnie po chwili sami by podeszli, i zapytali co tu robisz, i po co. Tylko co ja bym im wtedy powiedział? Że wiosny szukam?

No ale tak, kiedyś mi Słowacja wystarczała do poszukiwania wiosny. Ale teraz jest już zbyt blisko. Za blisko jest też na Węgrzech, a tam też wiosna przychodzi wcześniej. Jakies dwa-trzy tygodnie wcześniej niż u nas już się zieleni. I zaróżawia.

Ale nie, trzeba jechać dalej. Bo coś Węgry. Wjedziesz, przejedziesz, miniesz, i tylko mandat ci jakiś z nich może przyjść, jeśli nie kupisz winietki, a niechcący wjedziesz na autostradę. Można, owszem, gdzieś się rozłożyć na chwilę na Puszcze, gdzieś pod Hajduszoboszło, powiedzmy. Znaleźć jakiś stary dom, opuszczony jeszcze w czasach Kadara, taki z poobrywanymi tapetami i leżącymi tu i tam stronami z gazet z lat

80., pobuszować po nim nie wiadomo po co, popatrzeć jak przez okno z wybitą szybą wdzierają się oblepione świeżymi pąkami gałęzie, wyciągnąć z bagażnika krzesło składane i małą kuchenkę gazową, robić sobie kawę, wdychać świeżą wiosnę i rozmyślać o wszystkich diablach i szatanach, którzy byli i są tu czynni.

Właściwie nie bardzo wiadomo co konkretnie robić podczas tego szukania wiosny. Poza jej wyglądem. Bo czymś się trzeba zająć, przecież wiadomo, że przez cały czas się nie obserwuje: są to już pąki na drzewie, czy nie? Czy już, skurwysyny, wylażą, czy jeszcze nie? No więc coś. Trochę czytam, trochę popijam, trochę podglądam ludzi, trochę z kimś gadam, szczególnie jeśli przy okazji wypadnie mi do głowy napisać jakiś reportaż. Czasem nawet się wkręcę w jakąś sprawę, typu szukanie na Słowacji upiórów propytinowskich Nocnych Wilków, powiedzmy.

■
*Trasa na Brno, Wiedeń, Graz,
Maribor i dalej, w stronę
Adriatyku, to mógłby być
nasz środkowoeuropejski
odpowiednik Route 66.*

Albo rosyjskich wpływów w Serbii, Kosowie, Bośni czy Macedonii. Ale najbardziej lubię po prostu być w tych miejscach. Być i tyle. Zająć jakiś przyczółek i patrzeć na to, co się dzieje. Podśluchiwać. Patrzeć, jakie im ich przodkowie wybudowali miasta i wsie. Albo, jeśli to nie ich przodkowie budowali, na to, jak podchodzą do tego, co było tu zbudowane zanim się pojawili. Kto był tu przed nimi i z kim się mieszcza.

I jaki jest tego efekt. Na czym budują swoją tożsamość i wokół czego okręcają swoją symbolikę. I państwowe mitologie. Rozmyślać o tym skąd się tu wzięli i co ich kształtowało. O ich językach i ich konstrukcjach. Uczyc się tych języków, tak, ale nie jakoś na siłę. Nie w trybie zakuć i się popisywać. Po prostu: rozgryzać je, czytać o nich, w końcu czytać w nich. Czytać w nich prasę. Kupować komiksy. Potem książki. Jeść ich jedzenie i pić ich alkohol. Próbować z nimi rozmawiać. Nie tak, to inaczej. Nie w tym języku to w innym. Nie mając za bardzo ambicji stać się jednym z nich. Choćby dlatego, że nie wiadomo, co by to miało znaczyć. Zresztą – tak czy owak, jako Polak (cokolwiek by to nie znaczyło) jestem jednym z nich. Jednym z nich wszystkich, do kupy.

A poza tym – nie mam specjalnych ambicji. Ja tam tylko szukam wiosny. Parę lat temu znalazłem ją, na przykład, nad Dunajem, ale już daleko na południu, pomiędzy Serbią, Bułgarią a Rumunią. Tam, gdzie Żelazne Wrota i przełom Dunaju. Przez całe Węgry i Serbię było jeszcze bladorudawo, późnozimowo, zimne krople w powietrzu, na jezdniach i trawach, a nagle, jakoś przed Belgradem, zazieleniło się wszystko i rozkwitło, jakby ktoś w sam środek załązka wiosny bombę wsadził i zdetonował. W samym Belgradzie ludzie już siedzieli w ogródkach i gadali. Nie robili nic konkretnego i nie mieli z tym żadnego problemu. Ja czasem mam. Oni nie mieli i to mi się podobało. Paplali ze sobą. A może i nie paplali, może to paplanie to były w rzeczy samej najistotniejsze rozmowy na ziemi. Krzyżówki rozwiązywali. Papierosy palili. Pili kawę. A właściwie nie pili, bo gdyby pili to by ją w końcu wypijali, a oni siedzieli wieki przy jednej kawie. Może dlatego kelnerzy im zawsze na tych Bałkanach dają do tych kaw szklankę wody. Litują się, żeby mieli co sączyć przez te długie godziny siedzenia przy stolikach przy jednej kawie.

Ciemne okulary, kurtka i szalik – na szyi, bo to jednak chłodek jeszcze. Kiedyś tak miałem w Chorwacji. Też szukałem wiosny. Przyjechałem do któregoś z tych dalmatyńskich miasteczek i siedziałem ze znajomym Chorwatem. Zamówiliśmy cappuccino, bo to jednak Chorwacja, tam się kawy po turecku, czyli „domowej”, raczej nie pije. Kawę parzoną w dżezwie to już bardziej, tradycyjnie, na potureckich Bałkanach, choć, szczerze mówiąc, teraz to już tak czy owak dżezwy się kończą, bo ekspresy do kawy wypierają je powoli nawet w Macedonii czy Bułgarii. No ale nic, zamawiamy to cappuccino, ja wypijam swoje w kilka minut, a Chorwat patrzy na mnie jak na idiotę: to przy czym, pyta, ty będziesz teraz siedział? Nową kawę sobie zamówisz? A potem kolejną? To ile ty tych kaw chcesz wypić? Przecież zawalu dostaniesz.

– No ale ile ty tu chcesz siedzieć? – pytam, nieco zdziwiony.

– No a co mamy innego robić? – pyta, też zdziwiony, on.

No więc tak to jest. No ale wtedy, jak wyjechałem już z tego Belgradu, z tym jego bałkańskim siedzeniem i tak dalej, pojechałem na wschód. Do Banatu, dawnego południowego kąta habsburskich Węgier. Graniczącego z Bułgarią, a dawniej – Ottomanią. Zasiedlanego Niemcami i Czechami. Słowem: niby Bałkany, a Europa Środkowa.

I tak jest do tej pory. Przejeżdżam przez Dunaj tą wiosną kwitnącą, w głowie szaleństwo, przejeżdżam granicę, rumuński strażnik graniczny, niby mój, bo unijnym, a jakiś bucowaty, tkwi w tej świeżej wiosnie jak wspomnienie lutego. Ale w ko-

lejných miejscowościach już siedzą, porozpinani, pod domami, pod tymi napisami po rumuńsku, że Alimentara, że Drum Bun, pod rumuńskimi flagami tu i ówdzie, ćwierkają ptaki, z prawej – połyskuje Dunaj, z lewej – wznoszą się pagóry, myślę – wjadę na górę, lepiej będzie Dunaj widać, będzie widać Serbię. Wjeżdżam więc na górę, wspinam się do miejscowości Sfant Elena – a tam, nagle i niespodziewanie – Czechy. Czeskie flagi, czeskie napisy, czeskie domy – niskie, podłużne, kryte klinierem. Czeskie chłopcy siedzą w ogródku zamkniętej jeszcze gospody, widocznie właściciela wiosna tak samo zaskoczyła, jak zima drogowców w Polsce. I po czesku gadają. Wokół Rumunia, Serbia, Bułgaria, a ci, jak gdyby nigdy nic: „prišlo jaro, pane Havráнку, ahoj”. Wchodzę do sklepu, a tam się manifestuje czeskość nad czeskościami, bo sklepikarz wygląda jak Szwajk z ilustracji Josefa Lady, albo jak i sam Josef Lada, bo ma na sobie białą koszulę i spodnie z szelkami. A na nosie staromodne pingle. Nie ma kasy, ma liczydło, jak sto lat temu, jak w czasach Franca Josefa, gdy jego pradziadek przybył tutaj ze Środkowych Czech. Wyszedłem oszołomiony, cholera, myślę, jakbym wylazł mu na dach czerwoną dachówką kryty, to bym Bułgarię prawie zobaczył, a tu – wiosenne Czechy jak w pysk strzelili. I wiodą ci Czesi swoje czeskie życia na samym kraniuszku Rumunii, wciśniętym między Serbię a Bułgarię, witają czeską wiosnę w czeskiej wiosce nad czeskim, jak się okazuje, kawałkiem Dunaju, i mówią po czesku, jak gdyby nigdy nic.

No więc tak: wiosny szukać to raczej nad wodą. Rzeki, morze. Raczej nie w górach. Czyli nie Bośnia, nie Transylwania, nie w Alpach na granicy Austrii i Słowenii. Raczej wzdłuż Dunaju albo Cisy, dobrym miejscem jest Tokaj, gdzie do Cisy wpada Bodrog. Można tam, co prawda, umrzeć z nudów, ale można też się gapić jak ten Bodrog się do Cisy wpompowuje powoli, jak się wody o różnych kolorach mieszają, i patrzeć, jak ta bujna przyroda zaczyna szaleć, jak tej zieleni węgierskiej zaczyna odpierdalać, jak starzy Węgrzy wsiadają na rowery i jadą znikąd donikąd, pozdrawiając się wzajemnie, i czasem, niechcący, z rozpędu, pozdrawiając też nas. Ale jeśli ktoś lubi jakieś bardziej emocjonujące wrażenia, to nie. To nie polecam Tokaju. Bo poza wiosną raz w roku, Bodrogiem, Cisą, winem w winnych piwniczkach i mapami Wielkich Węgier w domach ich właścicieli i gadaniem na ten temat każdemu, kto tylko chce tego słuchać – niewiele tu jest.

Lepiej już jechać w stronę morza. Do Adriatyku. Na Triest, na Rijekę. W stronę Istrii, Kopru. Krk. Jak się da – to jeszcze dalej. To kawał podróży, bo najpierw trzeba przejechać te nudne Czechy, nie jakieś bałkańskie Czechy, a te jak najbardziej zwyczajne. I żeby mieć z tego radość, dobrze jest się nastawić na tę piękną estetykę podróży. Tak jest, ta trasa na Brno, Wiedeń, Graz, Maribor i dalej, w stronę Adriatyku, to mógłby być nasz środkowoeuropejski odpowiednik Route 66. Bo to naprawdę coś w rodzaju szosy do lepszego, piękniejszego świata. I trochę nie rozumiem, dlaczego nie mamy, jak Amerykanie, powieści, które się na tej trasie wydarzają. Filmów. Przecież poszczególne kraje Unii Europejskiej są o wiele ciekawsze od tych nudnych Stanów. Zawsze, gdy tamtędy jadę, to wyobrażam sobie, że będę pisał takie rzeczy. Siedzę, powiedzmy, jeszcze w Czechach, na tej stacji pod Brnem, tam na górze,

czeskie jakie mają, do skórzanej torby, wybiegam, wskazuję do auta i tnę na Mikulov, Brzeclaw albo Znojmo. Wszyscy pewnie myślą, że ucieknę do Polski, bo peelki na rejestracjach celowo nie zachlapałem, ale nie, ja jadę, ja uciekam na południe szukać wiosny, więc jadę w stronę Austrii, myśląc w ten sposób pogoń, i gdy czeska policja, z tym swoim wypisanym na burtach hasłem „pomáhat a chránit” w końcu się orientuje gdzie jestem, i gdy rzucają się za mną w pościg, migając światłami, czeskie policyjne radiowozy, ja już zbliżam się do austriackiej granicy. A oni stają na niej, dalej nie jadą, bo to już nie ich jurysdykcja, a ja znikam im na horyzoncie, pędząc w stronę Alp, i tylko za mną zostaje kilka unoszących się na wietrze banknotów o nominale pięć tysięcy koron z Tomaszem Garrigue Masarykiem.

Zaraz za granicą, oczywiście, próbowaliby przejąć mnie Austriacy. Wcześniej zaalarmowani przez Czechów. Ale

rywalibyśmy oligarszátka węgierskie, upasione na Orbanowej służbie za wyłudzone z Unii pieniądze. A wszystko, co byśmy tym bogaczom pozabierali, oddawalibyśmy, na przykład, słowackiej i węgierskiej opozycji, żeby się w końcu ogarnęła i stanęła na nogi.

No więc tak. O tym rozmyślałam na stacjach benzynowych w Czechach, Austrii, Słowenii, Węgrzech, Chorwacji i Słowacji w drodze w poszukiwaniu wiosny. W Austrii jem na tych stacjach bułkę z Leberkäse z musztardą i zapijał armdudlerem, sprzedawanym przez chwilę i w Polsce jako „napój alpejski”, w Słowenii na stacjach pojawiają się już burki i robi się jakoś tak luźniej, a w Chorwacji w ogóle stacje są już jak kafany, przed którymi na chromowanych, srebrnych krzesłach siedzą te wszystkie typy w ciemnych okularach, udający mniej odpicowaną wersję

Porywalibyśmy oligarszátka węgierskie, upasione na Orbanowej służbie za wyłudzone z Unii pieniądze.

gdzie jest jadalnia, bodajże OMV albo Benzina, jeszcze nieprzemianowana na Orlen, dopiero co minąłem wielkie figury żołnierzy spod Austrelitz wykonane ze zrolowanej słomy, popijam vineq parka v rohliku albo co innego i patrzę przez okno stacji na podjeżdżające pod nią samochody. Wiosny jeszcze tu, co prawda, nie ma, ale za to wyobrażam sobie za tym oknem jakąś powieściową narrację. Albo filmową. Powiedzmy – policyjne pościgi. Wyobrażam sobie, że zajeżdżam do Brna, gdzieś na przedmieścia, na pewno nie do zavalonego samochodami i tramwajami centrum, ale gdzieś na przedmieścia. Do jakiejś filii małego banku, powiedzmy, Česká Sporitelna. Mam dokumentnie zachłapane błotem tablice rejestracyjne. Zakładam na głowę jakąś pończochę, kupioną jeszcze w polskim supermarkecie, wyjmuję przedmiot przypominający broń, terroryzując obsługę i klientów, zabieram wszystkie korony

ja ich – myk, myk, zgrabną fintą ominąłbym Wiedeń i przez nieszczęsne Wiener Neustadt śmignąłbym przez węgierską granicę na Sopron, tylko by mi stare wieże strażnicze, pilnujące dawnej żelaznej kurtyny, mignęły. Na Węgrzech czekaliby już na mnie dwaj zaprzyjaźnieni węgierscy betyarzy, Arpad Attila i Attila Arpad, i razem z nimi napadalibyśmy przez jakiś czas, pomiędzy Gyorem a Tatabanyą, na pociągi wiozący Viktorowi Orbanowi unijną kasę. Z którą następnie skrylibyśmy się w słowackich Rudawach, gdzie razem z lokalnymi Cyganami spod Brezna i Słowakami z Detvy (albo odwrotnie) utworzylibyśmy mały, niepodległy zbrojnikat. W ramach zbrojnikatu napadalibyśmy na słowacko-włoskich mafiozów powiązanych z ludźmi z rządzącego SMER-u, którzy terroryzują pokojowo żyjących obywateli wschodniej Słowacji i kradną im orne ziemie, kumulując je pod unijne dotacje, i po-

Włochów, popijają kawę i popalają czerwone marlboro. Tak, stacje benzynowe w Chorwacji to już jest miejsce, z którego można by się w ogóle nie ruszać. Szczególnie te dalmatyńskie, z których widać morze i suche góry, które kiedyś, w kręconych w Jugosławii filmach o Winnetou, udawały Dziki Zachód. To całe porno śródziemnomorza. Tutaj można siedzieć wiecznie przy stolikach wystawionych przed stacją. Palić czerwone marlboro, gapić się na całe to piękno, wystawiać twarz na to cudowne, wiosenne światło, czasem powiedzieć coś, co się od wieków mówi w tych (i naszych) stronach, czyli wygłosić jakąś generalną mądrość geopolityczną, socjologiczną czy historiozoficzną, wypowiedzieć się na temat najnowszych cen niemieckich marek samochodów, dodać coś o piłce nożnej, a następnie powtórzyć to wszystko aż do usranej śmierci.

Wiosna zniesie wszystko. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ/34295976

TEN AUTOR
TO ODKRYCIE

PODGÓRSKA MIEJSCOWOŚĆ, SŁOWIAŃSKA MITOLOGIA
I DETEKTYW O CIĘTYM JĘZYKU
ORAZ TALENCIE DO PAKOWANIA SIĘ W KŁOPOTY.

»

Prywatny detektyw, na którego nie czekaliśmy,
a którego potrzebowaliśmy. I intryga tak mroczna jak
beskidzka noc. Doskonały kryminał
w mocno chandlerowskim klimacie. Trzeba!

WOJCIECH CHMIELARZ

MICHAŁ ZGAJEWSKI

STRĄŻNIK
JEZIORA

Dokładny Artykuł w mrocznym
chandlerowskim klimacie. Trzeba!

FOT. LESZEK PASKO

PIERWSZA CZĘŚĆ NOWEJ SERII KRYMINALNEJ OSADZONEJ W BESKIDZIE ŻYWIECKIM.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYSZ NA

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA

WWW.WYDAWNICTWOAGORA.PL

Wydawnictwo
Agora

1RP

eprasa.pl 85ea1a96c5

Spotykamy się w OFF Marinie, w pofabrycznym kompleksie w Szczecinie, zagłębiu pracowni artystycznych. Rezyduje tu malarka, artystka interdyscyplinarna, profesora w Akademii Sztuki w Szczecinie, Katarzyna Szeszycka. Przy herbacie, w surowych przestrzeniach, rozmawiamy o stracie. We wrześniu 2019 r w tragicznych okolicznościach ginie Tomasz Szeszycki. Od 1983 roku nadleśniczy Nadleśnictwa Rokita w Puszczy Goleniowskiej. Dzięki jego zaangażowaniu powstało 6 rezerwatów przyrody, 7 zespołów przyrodniczo- krajobrazowych i kilkadziesiąt pomników przyrody. Był autorem monografii cisa pospolitego, jarzębu brekinii, czerwieni ptasiej. Napisał trzy książki o powstańcach wielkopolskich: „Zapomniani zwycięzcy”, „Dowódcy spod Gniezna”, „Dowódca mojego dziadka”. Pisał gawędy leśne i przewodniki turystyczne. Tworzył ścieżki przyrodnicze, trasy spacerowe i szlaki rowerowe. Szeszycka namalowała serię obrazów „Nocą będę opisywał słońca” poświęconą pamięci ojca. Można je obejrzeć do 23 marca w Galerii BWA w Bydgoszczy.



FOT. OLGA IWANOW

NIE BĘDZIE NAS, BĘDZIE LAS

Jestem postsuicydalną pólsierotą. Tata skutecznie postrzelił się w serce z broni długiej po osiągnięciu wieku emerytalnego

Z MALARKĄ, PROFESORKĄ SZTUKI **KATARZYNA SZESZYCKA***, REŻYSEREM, ROZMAWIA **AGATA CAŁKOWSKA**

AGATA CAŁKOWSKA: Współczesna kultura odsuwa od siebie temat śmierci, a pani robi na jej temat wystawę?
KATARZYNA SZESZYCKA: Kultura popularna, masowa odsuwa śmierć, ale cywilizacja się w niej pławi. Prywatnie dotyczy każdego z nas. Ale te obrazy nie są o śmierci. Powstały z podnoszenia się po stracie, po traumie. Początkowo chciałam po prostu uporządkować wycinek dorobku taty, dotyczący powołania realnych miejsc objętych ochroną prawną. Objąć tę wrażliwość i niezłomność, które patrzą dalej niż jedno pokolenie. Zaczęłam jak dokumentalistka, ale spotkania z miejscami, z ludźmi okazały się w żalobie zbyt obciążające. Kiedy nie poradziłam sobie w terenie, bo uruchomiłam depresję, weszłam do pracowni.

Co oznacza tytuł „Nocą będę opisywał słońca”?
– To tytuł książki francuskiego neuropsychiatry Borisa Cyrulnika. Jego koncepcja rezylencji odnosi się do odporności psychicznej na traumę. Cyrul-

nik, badając ludzką zdolność do podnoszenia się po katastrofie, interesował się również rolą twórczości w tym procesie. Dowiedziałam się o tej koncepcji z wywiadu z nim, co znamienne, na chwilę przed śmiercią ojca i przed wojną w Ukrainie.

Była pani tam?
– Bywałam jeszcze przed wojną, zawodowo i prywatnie, w podróży. Po wybuchu wojny pojechałam z konwojem z pomocą. Dotarliśmy do Sławuty na Wołyniu, stamtąd podano pomoc dalej na Donbas. Jestem dobrym kierowcą, mam doświadczenie podróżnicze, przydało się. Ale córce powiedziałam, gdzie byłam, dopiero po powrocie, wiedział tylko partner i zakład pracy.

16 marca 2022 roku Rosjanie zbombardowali Teatr Dramatyczny w Mariupolu pomimo, że na dachu znajdował się napis „????”, „Dzieci”. Odtworzyła go pani przed Teatrem Współczesnym w Szczecinie.

– Na długo przed wojną z innymi szczecińskimi artystami pisaliśmy na murach Wiskordu – to taki pofabryczny budynek w Szczecinie – „Nie mam czasu na wojnę”. Wtedy mieliśmy na myśli wojnę polsko-polską, dzielenie społeczeństwa przez polityków, o wojnie w Ukrainie rozmawialiśmy rzadko, była daleko, w Donbasie. Gdy przyszła bliżej, zapisałam się do sportowego klubu strzeleckiego. Wychoďte z założenia, że kiedy będziesz zmuszona porzucić dom, tylko umiejętności zabierzesz ze sobą.

Jaki był pani rodzinny dom?

– Inteligencki na wsi – leśniczówka w Puszczy Goleniowskiej, północny zachód Polski. Rodzice poznali się na studiach leśnych w Poznaniu. Poszli do pracy w lesie w latach 70. – wtedy mówiło się, że to praca dla ideowców, trudna, słabo płatna. Obydwoje kochali las, ale w domu największej przestrzeni zajmowała praca ojca. Las pali się każdego lata, więc od małego przyglądałam się zarządzaniu kryzysowemu. Moje wakacje w dzieciństwie to ciągle zagrożenie pożarowe i walka z ogniem. Ciągłe lekcje o odpowiedzialności, sile i słabości natury, o skuteczności i o bezradności.

Czyli szacunek do przyrody to zasługa rodziców?

– Szacunek, wrażliwość i związane z nimi empatia, tolerancja, otwartość. To było dla nas tak naturalne, że właściwie ciężko o tym powiedzieć coś ciekawego. Dopiero pod koniec pracy nad wystawą zdołałam odsłuchać wywiad rzekę z moim ojcem, który dostałam po pogrzebie. Tata wspomina tam między innymi, jak świeżo po studiach jako adiunkt technolog przyjechał na zrąb i zobaczył pozostawione jedno drzewo. Rzadka sytuacja, bo mówimy o czasach sprzed „Zarządzenia w sprawie doskonalenia gospodarki leśnej na podstawach ekologicznych” z 1995 r., wcześniej cięto równo, od linijki. Ojciec zapytał o to drzewo starszego drwala, a ten przyłożył palec do ust: „cii, posłuchajmy”. Usłyszeli ptaki – drzewo dziuplaste.

Ojciec zawsze podkreślał, że wrażliwości nie nauczył się na studiach, tylko korzystając z mądrości drugiego człowieka. Starsi leśnicy kombinowali, żeby od tej linijki nie ciąć, wymyślali wersje do zaakceptowania przez system, na przykład „drzewostany nasienne”. Dzięki takiej postawie jest dzisiaj co chronić.

Dziś Lasy Państwowe przez PiS kojarzą nam się bardzo negatywnie.

– Wzrost wrażliwości ekologicznej w społeczeństwie prawdopodobnie wymusi na Lasach dialog, miejmy nadzieję, reformy. Oby, bo zarządzają dobrem wspólnym. Właściciel prywatny szuka zysku na przestrzeni swojego życia, a lasy je przekraczają. Przez to, że są państwowe – nie w rękach prywatnych – trwają. Pod zaborami ominęła nas rewolucja przemysłowa, która oddawała drzewa piecom i maszynom parowym, a wraz z niepodległością lasami zaopiekowało się państwo.

Starsi leśnicy mówią, że na przestrzeni lat Lasy Państwowe zmieniły się w korporację i ich odbiór społeczny to wynik tej przemiany. Ludzie, którym las jest bliski, mają świadomość, że

Lasy Państwowe chciała zawłaszcząć każda opcja polityczna i tym bardziej będą patrzeć również Tuszkowi na ręce. Idea się nie zmienia, to nasze wspólne dziedzictwo. Las, jak rzeki czy czyste powietrze, jest nasz wspólny. Młode pokolenie zupełnie inaczej podejmuje te dyskusje. Starzy leśnicy będą im kibicować.

Pani ojciec kibicowałby młodym obrońcom przyrody przykuwającym się do drzew?

– Był społecznikiem, wspierał lokalne organizacje, inicjatywy, kluby sportowe. I nigdy nie chciał iść wyżej, do regionalnej dyrekcji – to były już stanowiska polityczne. Robił swoje w lesie przez 37 lat. Zmieniały się pokolenia, ustroje, partie rządzące, poddał się dopiero za Ziobry.

Ostatnią rzeczą, którą pilotaował, była wycinka pod drogę krajową S3 na jego terenie. Przy jednym z wiaduktów inwestor zоставił piękną sosnę, lata temu objętą ochroną prawną jako pomnik przyrody. Mijałam ją z dumą po śmierci taty, myśląc sobie, że to jego środkowy palec pokazany dla tej budowy. Ale w końcu i tak ją wycięli, po prostu uzyskanie pozwolenia na wycięcie pomnika przyrody trwało dłużej.

Ale ojciec rozumiał też potrzebę rozwoju infrastruktury, choćby – jak w przypadku drogi S3 podciąganej do gazoportu w Świnoujściu – dla bezpieczeństwa energetycznego Polski. Żył tak, jak my wszyscy, w konflikcie potrzeb aktualnych i tych, które odraczamy.

Jak wyglądała codzienność w leśniczówce?

– Dzieci przyjmują stan zastany, dopiero później, spotykając się z innymi wersjami dzieciństwa w opowieściach znajomych, uświadamiamy sobie różnice. Teraz wiem, że nasze dzieciństwo było wyjątkowe: wśród zwierząt, przyrody, z jej rytmem, z szacunkiem dla tradycji i z otwartością na inne.

To był dom otwarty, ale na periferiach wszystkiego. Doskwierało mi wyalienowanie, brakowało kontaktu z rówieśnikami. Chciałam do świata, jak chyba każdy młody człowiek.

Co to znaczy?

– Eufemistycznie – wysokoenergetyczny temperament połączony z czasowym brakiem uwagi rodziców zaowocował rozmaitymi przygodami w okresie dojrzewania, włącznie z taką, która skończyła się obchodzeniem osiemnastki w ośrodku leczenia uzależnień.

Jak rodzice zareagowali na pani problemy?

– Po pierwszej degustacji alkoholowej odmówili mi możliwości wyboru szkoły średniej. Uznali, że muszę zostać pod czymś okiem, nie w internacie. Byłam dzieckiem z najlepszą średnią w swojej podstawówce, więc odebrałam to jako niesprawiedliwość, weszłam z nimi w cichy konflikt. Wybrałam Świnoujście jako jedyną opcję nauki poza domem rodzinnym. Trafiłam do dziadków, odkryłam subkulturę punk oraz koncepcję wagarów, bezsensowną w szkole wiejskiej.

Niestety wtedy miałam w sobie imperatyw robienia rzeczy możliwie najlepiej, więc wchodząc na tory autodestrukcji, zaszłam daleko w bardzo krótkim czasie. Po



• Wystawa prac Katarzyny Szeszyckiej „Nocą będę opisywał słońca” w Trafostacji Sztuki w Szczecinie, październik 2023 r. FOT. FILIP KACALSKI

Starsi leśnicy kombinowali, żeby nie ciąć od linijki, wymyślali wersje do zaakceptowania przez system, na przykład „drzewostany nasienne”. Dzięki takiej postawie jest dzisiaj co chronić

roku rodzina wypowiedziała mi stancję, jasno komunikując, że nie będą brać odpowiedzialności za moje destrukcyjne zachowania.

Musiała pani wrócić do rodziców?

– Jeszcze chwilę dojeżdżałam pociągami, godzinę w jedną stronę, opowiadając rodzicom legendę o poprawie. Później zrozumieli, że muszą dostosowywać strategię do rozwoju wypadków. W zasadzie na tym polega rodzicielstwo: weryfikujesz w czasie rzeczywistym, czy twoja postawa działa na młodego człowieka wspierająco – jeśli nie, to trzeba szukać innego sposobu komunikacji, i tak do skutku, nawet jeśli aktualnie bez skutku. Było trochę przygód z uciezkami w Polskę z detoksów i poszukiwaniami mnie przez ojca jak z filmów akcji. Bilans poświęcania uwagi został wyrównany.

Co panią uratowało?

– Uratowało mnie to, jak zapakowano mi plecak wartości w dzieciństwie, dzięki temu macierzyństwo w klasie maturalnej zamknęło drzwi nieodpowiedzialności i obudziło konieczność projektowania przyszłości – podjęłam studia. Spotkałam tam ludzi o podobnej wrażliwości – mądre kobiety, i koleżanki z roku, i wykładowczynie. A jednocześnie, wzrastając jako matka, odbudowywałam i rozwijałam relację z rodzicami po kilku latach konfliktu.

Spodziewałam się odpowiedzi, że uratował panią talent?

– Rysunek był jedyną aktywnością, która przetrwała młodość, którą kontestację w myśl idei no future. Autoterapeutyczna funkcja twórczości pozwalała mi działać przez lata po skończeniu turnusu w ośrodku leczenia uzależnień, a przed uzupełnieniem podstawowej wiedzy z psychoedukacji. Bo kiedyś w monarach czy w rodzinach ona była szczątkowa.

Akademia Sztuk Pięknych w Poznaniu – skąd ten wybór? Nie poszła pani w ślady rodziców w ramach buntu?

– Rodzice też wybrali inne zawody niż dziadkowie. Tłumaczyli nam, że praca to duża część życia, więc wybierzcie taki zawód, żebyście miały satysfakcję z poświęcania jej czasu. Oni tak wybrali. Oczywiście wynika to także z większego uprzywilejowania każdego kolejnego pokolenia, tego, że możemy wybierać niekoniecznie stawiając za priorytet względy ekonomiczne. Jednak w ekonomii wydatkowania energii zawsze lepiej wypada opcja profesjonalizowania pasji.

ASP było idealistycznym wyborem. Stało za nim przeświadczenie, że poprzez działania artystyczne możesz mieć realny wpływ na rzeczywistość. Nie wiedziałam wówczas nic na temat tej branży. Jednak w miarę wzrostu doświadczenia specyfika obiegu sztuki – instytucjonalnego, krytycznego czy komercyjnego – schodzi na dalszy plan.

Mieszka pani w Szczecinie?

– Wychowując córkę i studiując zaocznie krążyłam między leśniczówką w Rokicie, uczelnią w Poznaniu, galeriami w Warszawie i Berlinie, wystawami i festiwalami. Ale baza była tam, w lesie, blisko Szczecina, w połowie drogi z niego nad morze. Po studiach działałam w nurcie guerilla artu, czyli anarchistycznej partyzantki miejskiej. Do dziś pierwsze rooftopy, które wtedy zrobiliśmy, można obejrzeć w przestrzeni miasta. Ale równolegle wkrótce miałam za sobą Grand Prix na Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego, wyprawy z berlińską galerią COLLECTIVA na targi sztuki w Europie, streetartowe akcje na festiwalach w Azji.

Kusił mnie Berlin i nie wiązałam kariery ze ścieżką akademicką. Etat to wynik poczucia odpowiedzialności rodzicielskiej, wyniesionego z domu. Z czasem dydaktyka stała się dla mnie czymś naturalnym i satysfakcjonującym, a praca naukowa dała mi strukturę porządkującą w czasie koncepty i priorytety artystyczne.

Jak zmarł pani ojciec?

– Jestem postsuicydalną pólserotą. Tata skutecznie postrzebił się w serce z broni długiej po osiągnięciu wieku emerytalnego – zszedł ze służby. Był wówczas dziekanem korpusu nadleśniczych przy szczecińskiej Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, najdłużej urzędującym nadleśniczym w Polsce. Zaskakujący dla mnie był fakt, że społeczność, której był częścią szukała

innego wytłumaczenia: że to był wypadek, że intencjonalność tej śmierci nie mogła mieć miejsca. W jakiś sposób jestem wdzięczna tym ludziom za wiarę w niego. Choć można też zobaczyć w tym zbiorowy mechanizm wyparcia społeczności, której był spoiwem. Ja potrzebowałam wtedy prawdy, jaka by ona nie była.

Oczywiście wiem, że taka decyzja to nie tylko odwaga przekroczenia granicy, ale również rozpacz, słabość i egoizm, kto szczególnie tego nie doświadczył, może o tym poczytać w „Bogu bestii” Ala Alvareza – niemniej ojciec przeżył życie, którym obdzieliłby czterech innych, ciekawe, satysfakcjonujące, intensywne. Dlatego – choć jestem odległa od konceptu osławiania samobójstwa – łatwiej mi mówić o tej tragedii.

Jak zniosła pani pogrzeb?

– To była adrenalina. Trudniej było potem, kiedy musiałyśmy zdać mieszkanie służbowe, czyli leśniczówkę, w której moja rodzina mieszkała ponad trzydzieści lat. Rodzice nigdy jej nie wykupili, chociaż Lasy Państwowe sprzedawały mienie pracownikom za 5 procent wartości, bo nie chcieli fragmentować kompleksu pałacowego, którego była częścią. Przy różnych okazjach, na przykład, gdy słyszę o bracie pana Obajtka i jego gdyńskiej leśniczówce, zastanawiam się, czy następni lokatorzy też będą tego samego zdania.

Porzucenie domu rodzinnego potraktowałam zadaniowo. Skasowałam artefakty prawie 40 lat życia rodziców i naszego dzieciństwa jak mały żołnierz.

Samobójstwo ojca coś w pani zmieniło?

– Kryzysy nas wykuwają – albo się zawijasz, albo wstajesz mocniejsza, ale wcześniej trzeba odrobić pracę domową. Moja polegała na tym, że zwijasz się aż do kości, wszystko zamiera i słuchasz siebie, swojej historii, wodospadów pytań: dlaczego? I odpowiedzi w różnych wersjach i wariantach. To odmiana takiej zimnej depri, która cię unieruchamia, bo potok myśli nie pozwala ci podnieść się z pozycji leżącej. Trzeba wówczas dużo koncentracji, bo przecież jesteś matką, żeby nie wejść na przejście dla pieszych na czerwonym świetle, tylko po to, aby się te myśli zatrzymały.

Zawsze wolałam wkurw niż smutek, a musiałam nauczyć się żyć z tym drugim. Złość bywa kreatywna, rozpacz jest jak czarna dziura, natomiast smutek łączy się z namysłem – ależ ja się z tym namęczyłam. Zatrzymać kogoś z nadpobudliwym umysłem i nauczyć go refleksji nad tu i teraz... W naszej kulturze nie praktykujemy medytacji, do tego dochodzi rosnące tempo cywilizacji, technologii, potrzeba sporo świadomości i zacięcia, żeby dbać o higienę psychiczną. Jej elementy widzę w sportach indywidualnych, aerobowych, jak bieganie czy pływanie, ale łatwiej byłoby, gdyby nauka o niej była w edukacji podstawowej.

Na szczęście nasze pokolenie już sporo wie i zatrzymuje rodzinne sztafety, zabiera się za rebusy o pokoleniowych obciążeniach. Terapie są jak dochodzenia detektywistyczne o historii rodzin.

Pani odnalazła w historii rodziny coś, czego nie wiedziała?

– Na terapii dostrzegłam spłoty, zależności. Rozmawialiśmy o tym, jak dziedziczyć się przeżycia przodków i jak przypadek zmienia wektory rodzinnej historii. Ale kiedy historia twojej rodziny jest dynamiczna i ma wiele punktów zwrotnych, samemu bez psychoedukacji trudno to ułożyć.

Ot, dziadek taty. Był najpierw rybakiem na Jeziorze Powidzkim, potem przemysłowikiem, a potem powstańcem wielkopolskim. Podczas II wojny światowej momentalnie wszedł w podziemie i skończył w KL Gross-Rosen. Tam przypadek sprawił, że ktoś go rozpoznał, wyciągnął z kamieniołomu do złej pracy przy koniach, stamtąd marsz na zachód przez trzy obozy, doczekał wyzwolenia w Dachau i dożył lat 70. Piękna historia rodzinna i etos silnego mężczyzny mogą cię budować, ale i obciążać – a przecież to dopiero fragment układanki, jeden pradziadek.

Jaki był pani tata?

– Skromny, ale dusza towarzysstwa, podpora, zaufany rodzic, partner, mądry. Wrażliwy i najwyraźniej kruchy. Aktywny na wielu polach, ale ile lat można żyć w zalewie kortyzolu? Zapewne przez lata balansował dzięki twórczości, lecz w końcu wyczerpały się inne zasoby. My z siostrą w swoich życiach, mama przy jej 90-letnich rodzicach, rodzeństwo daleko, jego mentorzy wymarli.

Miała pani poczucie winy, że nie rozpoznała problemów ojca?

– Widziałam symptomy, ale nie rozumiałam ich. Samobójstwo? Tego nikt z nas się nie spodziewał. Siostra była w zaawansowanej ciąży, a ojciec był bardzo rodzinny. Chociaż teraz z perspektywy czasu wiem, że zarejestrowałam zmianę, subtelną. Miałam też rodzaj intuicji w kontakcie z nim. Przegadałam z nim jeszcze raz stare sprawy, widziałam się z nim jako ostatnia z rodziny.

Bliskich łatwiej oszukać. Dystrans pozwala zobaczyć. Nie roztrząsam już tego, że w nocy zadzwonił na pogotowie i usłyszał: „proszę rano zgłosić się do lekarza rodzinnego”. Nie rozbiegam już tego na części. Wydarzyło się. Teraz namawiam przełożonych na uczelni, żeby przeszkolili nas, kadrę dydaktyczną, która ma pierwszy kontakt z wrażliwą przecież młodzieżą, z rozpoznawania kryzysu suicydalnego.

Ojca żegna pani nie tylko obrazami.

– Integralną częścią wystawy jest wideo z uroczyska. Drzewa, którym woda zalewa korzenie, usychają. Taki las jest nadal piękny, ale już inny – bez mojego ojca.

Seria malarska to pejzaże po obecności człowieka, oddające moment przełomu, między nocą a dniem, przed świtem lub tuż po zachodzie. Światło na nich jest nikle. Niekiedy są na nich elementy zdegradowanej małej architektury, jak ambona myśliwska czy steła billboardów.

Chciałam, żeby ta wystawa miała walor kojący. Nie ma łamać tabu, nie ma w niej suicydalnych tropów. Jeśli w ogóle ma być po coś być, to po to, żeby móc się zatrzymać, odtańczyć. Piękno natury to najbliższe, najłatwiej dostępne remedium.

Korzystajmy, póki możemy, bo za jakiś czas ono może przestać być dostępne. Nawet nie z powo-

du kolejnego wielkiego wymierania gatunków, tym razem uruchomionego przez nas, tylko dlatego, że się na nie załapiemy, bo ostatecznie to nie my naturę, ale ona nas zrówna z ziemią.

Dlaczego wystawa w Bydgoszczy ma inny tytuł? Czymś się różni od szczecińskiej?

– Otwarcie wystawy w Szczecinie okazało się dla mnie cezurą, domknięciem etapu, w którym zadaje się pytania, a rana pozostaje otwarta. Uświadomiłam sobie także istnienie dynamiki żaloby, jej zmienności w czasie. Nie godziłam się z nienegocjowalnym, więc chciałam chociaż zrozumieć. To uwalniające. Dlatego teraz to już jest dla mnie inna wystawa, nawet jeśli jej składowe pozostają te same. Ale tytuł – „Chęć zrozumienia jest aktem oporu” – też jest z Cyrulnika.

Ojciec uczył panią szacunku do przyrody, a pani czego uczy studentów?

– Staram się uczyć ich samodzielności, stawiania własnych pytań, bo studia artystyczne to studia nad własną wrażliwością i kreatywnością. I że wolność wybo-

ru wiąże się z odpowiedzialnością. Wiem, że następnej generacji towarzyszą inne niż mojej problemy natury praktycznej: obsługi rynku, języka komunikacji, priorytetów, dostępnych narzędzi – więc staram się im przekazać, że nasza codzienność jest zmianą.

A przede wszystkim mówię im, że żeby malować, trzeba żyć, czyli doświadczać, czuć. Malarstwo jest emocjonalne i zmysłowe. Można o nim pisać traktaty, teoretyzować, niemniej ono albo działa, albo nie działa. Dopiero na kolejnej warstwie – interpretacyjnej, jest wiedza o jego składnikach formalnych, historii, konteksty uwzględniane przez twórcę. W toku studiów artystycznych poznaje się składowe budowy profesjonalnego dzieła, ale ob-raz wciąż pozostaje światłem, kolorem, strukturą i skrótem do naszych emocji. Pierwszej oceny – przemawia do ciebie czy nie, uruchamia ci się chęć kontemplacji czy odchodzisz – dokonujemy w ułamku sekundy.

A rzemiosło, które jest w nim zawarte, czyli komponent czasu, potrzebny na jego wykonanie, to rodzaj namacalnego dialogu mię-

■

Mówię studentom, że żeby malować, trzeba żyć, czyli doświadczać, czuć. Malarstwo jest emocjonalne i zmysłowe. Wiedza o składnikach formalnych, historii, kontekstach – można o nim pisać traktaty, teoretyzować, niemniej ono albo działa, albo nie działa. Pierwszej oceny – przemawia do ciebie czy nie – dokonujemy w ułamku sekundy

dzy człowiekiem autorem a człowiekiem odbiorcą, którego nie będzie w obszarze sztucznej inteligencji. Jeszcze przez jakiś czas będziemy to doceniać, a być może z tego powodu stanie się to jeszcze bardziej elitarnym, niestety, doświadczeniem.

Dla wielu, jeśli nie większości z nas Szczecin to nieco enigma. Miasto wielu skojarzeń, ale zwykle teoretycznych, nie zweryfikowanych, bo z takiej centralnej, południowej czy wschodniej Polski jedzie się tam cały dzień. To jakoś wpływa na emocje w sztuce, która tam powstaje?

– Być może. O Akademii Sztuki mówimy z dumą, że jest najbardziej progresywną, bo najmłodszą artystyczną uczelnią w kraju, ale też, po raptem dekadzie, jest jedną z trzech najlepszych, z oceną A i A+ w ewaluacji ministerialnej.

Szczecin to otwarte, zielone miasto, możesz je przejść nie wychodząc z parków, a mały nie jest. Jeśli zobaczysz Szczecin od strony wody, to wiesz, że jego urok jest bezapelacyjny. Żyje się tu spokojnie, ale osoby, które mają pomysł na siebie, znajdują możliwości rozwoju. To tu, równoległe z Trójmiastem i Warszawą, od United Clan zaczęło się polskie graffiti, to tu na wjeździe do miasta czujesz czekoladę – no dobra jak trafisz gorzej, to końcówkę Odrzy – tu usłyszysz najczystszą, bo napływową polszczyznę, a do Berlina na falafele mamy najbliższą z was wszystkich. No i jak głosi miejska legenda, Szczecin leży nad morzem, co, uważam, jest jego najmocniejszym atutem. ●

• **Obraz Katarzyny Szeszyckiej, bez tytułu (ambona), 2021 r.**





W 843 roku w Verdun podzielono ostatecznie imperium, które zbudował Karol Wielki, władca Franków i Longobardów. Dzielili je między siebie nie, jak u nas w przypadku Bolesława Krzywoustego, synowie władcy, a wnukowie Karola, synowie zaś jego następcy, Ludwika Pobożnego.

I tak Lotar otrzymał środkową część ziem imperium, od Morza Północnego aż po Alpy, wzdłuż rzeki Ren, wraz z Italią oraz tytuł cesarski; Ludwik, później zwany Niemieckim, dostał ziemie na wschód od terytorium Lotara, zaś na zachód od niego rozciągało się władztwo Karola Łysego.

Układ w Verdun kładł podwaliny pod przyszłe państwa – Francję, Niemcy i Włochy, ale my nie o tym, jakby to powiedział klasyk.

Otóż 2 marca roku 986 na tron królestwa zachodniej części spuścizny Karola Wielkiego wstąpił Ludwik V. Z początku rządził wspólnie ze swym ojcem, Lotarem (zwanym Lotarem II, III albo IV – tak, serio, taką miał tytułaturę), potem, po śmierci ojca właśnie 2 marca 986 roku, został samodzielnym władcą.

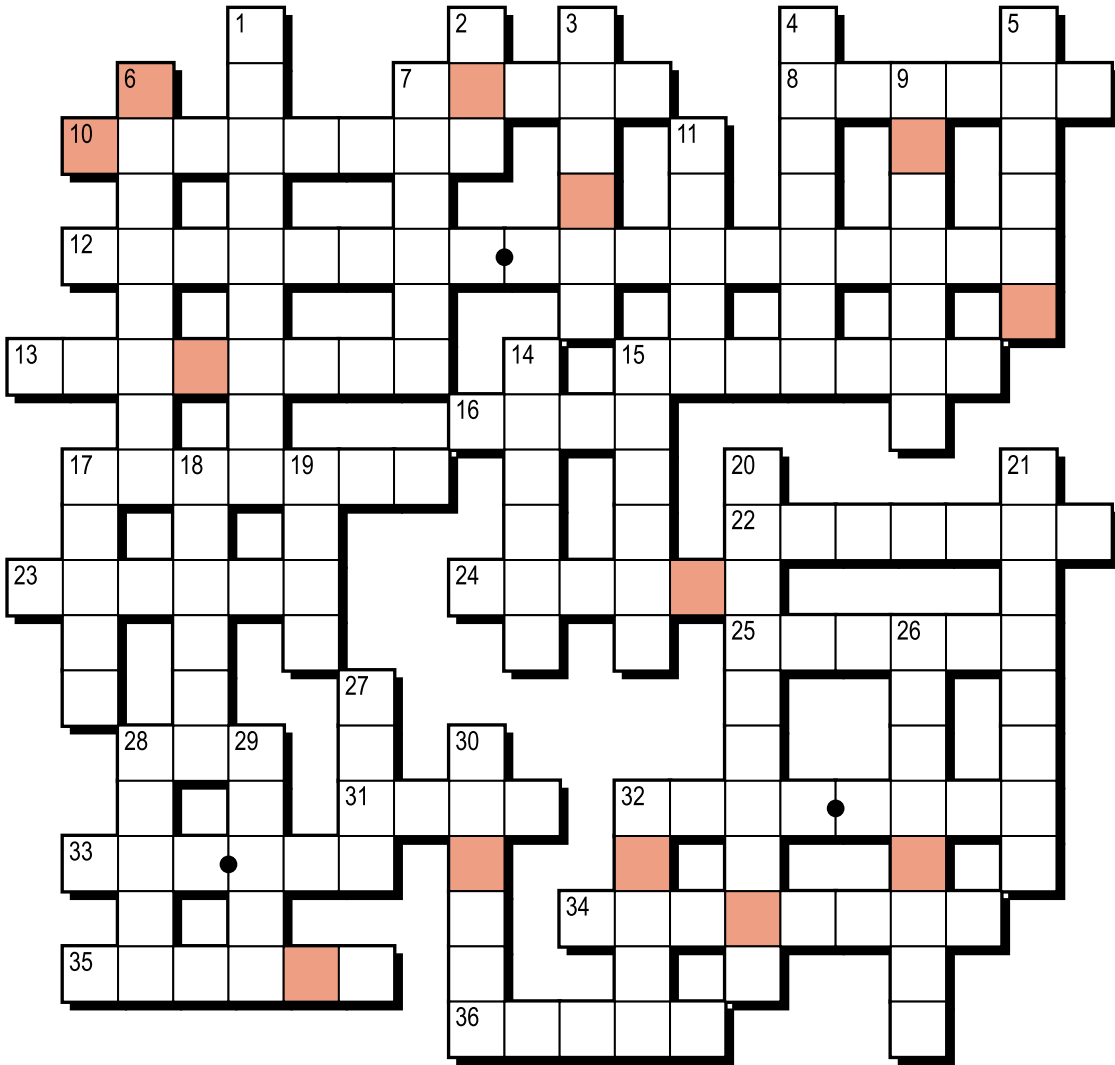
I cóż, nie za wiele zdążył uczynić. Był rozdartym między frakcją dowodzoną przez arcybiskupa Reims Adalberona, wspierającego cesarza rzymskiego Ottona II (wtedy już władcy wschodniofrankijscy tytułowali się mianem cesarzy rzymskich właśnie – wcześniej uczynił to ojciec Ottona II, Otton I (tu już wchodzimy w dynastię Piastów, ale to inna historia), a ich przeciwnikami, chcącymi właśnie rozszerzać kraj o podboje na wschodzie.

Tegoż arcybiskupa chciał niejako osądzić (niejako, bo generalnie był mało stanowczym władcą), dlatego zwołał w Compiègne – jejku, ależ tam się działo – nad owym Adalberonem. Nie dożył owego sądu. Spadł z konia podczas łowów w lasach Halatte w północnej Francji, choć plotka głosi, że został otruty przez własną matkę, Emmę, małżonkę owego Lotara II, III, tudzież IV. Zmarł 22 maja 987 roku. Rok po objęciu władzy.

Owo krótkie panowanie sprawiło, że Ludwik V ochrzczony został mianem Ludwika Gnuśnego, Ludwika The Do-Nothing (nic nie robiącego) lub Louis le Fainéant – Ludwika Leniwego.

A my dzisiajś « Weekendówkę » poświęcamy wszelakim przydomkom, pseudonimom i ksywkom. Będą dotyczyły bardzo różnych dziedzin więc apel o czujność! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 92 z 24.02 :

Poziomo:
7) pirat, 8) mrówka,
10) Janosik, 12) wieczory,
13) Hegemon, 14) grabież,
16) gangi, 17) Hanka,
18) Nędza, 19) walki,
20) Jama, 24) Schiller,
26) Skąta, 29) placek, 30) autobusie, 32) banda, 34) skarb,
36) aktor, 37) piwnica,
39) zbiry, 40) kiesa, 44) pan,
45) Ronja, 46) Dyzma, 47) jaskinie, 48) Adamik

Pionowo:
1) piosenka, 2) wikingowie,
3) Marcin, 4) przygody,
5) Martinka, 6) kapela,
7) piwo, 9) wataha, 11) Kociniak, 15) żona, 17) herszt,
20) Juraj, 21) Madej, 22) Ali, Baba, 23) napad, 25) Har-nasie, 27) Anna, 28) cesarz,
31) Scott, 32) banita,
33) Alain, 34) ssak, 35) ciurpaci, 37) Pyzdra, 38) przywódca, 41) Igła, 42) Skok, 43) łożo

HASŁO:
ONDRASZEK

ZBÓJOWANIE
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
7) epoka, w której władał Zygmunt August o przydomku Dojutrek
8) Erwin, niemiecki feldmarszałek nazywany Lisem Pustyni
10) imię Małego Kaprała
12) król, którego synami byli m.in. Władysław Wygnaniec i Kazimierz Sprawiedliwy
13) Harald ..., król Danii i Norwegii w X w.
15) przydomek Michała Kazimierza Radziwiłła
16) Margaret Thatcher, Żelazna ...

17) Shirley Temple (nazywana Złotowłosym Brzdącem) lub Boska Greta
22) król Lwie Serce
23) Albrecht II ... (zm. 1358), austriacki książę
24) przydomek Władysława Odonica, księcia wielkopolskiego
25) ... I Długonogi, król Anglii
28) Mieszko Płatonogi, ... Władysław Wygnańca
31) ... Widłobrody, władca Danii, Anglii i Norwegii
32) przydomek Attyli, wodza Hunów
33) Robert MacGregor, szkocki Robin Hood
34) Krwawy Topór, Wróg Księży i Jagnię
35) ... VI Prawodawca lub ... III Bosy, na tronie Norwegii

36) imię Lady Di, królowej ludzkich serc

Pionowo:
1) Jasne ..., czyli Stalin
2) król ... bez Ziemi
3) ... Wspaniały nazywany Diabłem, książę Normandii z XI w.
4) Jane ... Dziewięciu Dni i Elżbieta Rakuszanka zwana Matką Królów (wpisujemy w liczbie mnogiej)
5) ... V Brzuchaty, z dynastii Piastów Śląskich
6) Vlad ..., gospodar wołoski
7) Ludwik IX ..., władca Bawarii
9) Laskonogi lub Lambert
11) Mieszko II ..., książę opolsko-raciborski (XIII w.)

14) ... II Bułgarobójca, cesarz bizantyński
15) ... Lodbrok, duński władca (w wolnym tłumaczeniu: Włochate Gacie)
17) ... Jakub, król Szwecji nazywany Węglarzem
18) Ruprecht II ..., elektor Palatynatu Reńskiego (XIV w.)
19) jego cesarzem był Kaligula (czyli Bucik)
20) przydomek Stefana Czarnieckiego (jak przyrząd kuchenny)
21) ... Barbarossa (Rudobrody)
26) Maria ..., zwana Madame Deficit

27) Karol II ..., władca Franków, syn Ludwika Pobożnego
28) Harold Zajączka ..., był królem Anglii
29) Miedzianobrody z „Quo vadis”
30) ... II Girej zwany Tłuściochem, rządził Chanatem Krymskim
32) Czerwony ..., czyli Manfred von Richthofen, as lotnictwa
Leszek Rydz

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**